

De. II 1.

TOM CCLV

ROK 64

SERYA 9

ZESZYT 765

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

L I P I E C.

1904.

TOM III.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1904.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
1. IMMANUEL KANT ORAZ DZIEJOWA DONIOSŁOŚĆ JEGO KRYTYCYZMU, — przez prof. Henryka Struvego	1
2. A GDY W GŁĄB DUSZY WNIKNIEMY... Powieść współczesna (dokończenie), — przez Gabriellę Zapolską	36
3. MARZENIA SENNE, — przez d-ra Karola Rozenfelda	71
4. DRAMAT I OPERA, — przez Władysława Bogusławskiego	100
5. SŁOWACKIEGO „BEATRYX CENCI“, — przez d-ra Kazimierza Jareckiego	130
6. PISMIENICTWO:	
ADOLF SKALKOWSKI: Jan Henryk Dąbrowski. Część pierwsza. Na schyłku dni Rzeczypospolitej (1755 — 1792). Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Tom IV, — przez A. R.	166
„Pamiętniki majora S. T. Kierzkowskiego“. Warszawa, 1904, — przez A. R.	174
ŚWIATŁOMIR: Ciemnota Galicji. Lwów, 1903, — przez Władysława Studnickiego	179
IGNACY MATUSZEWSKI: Twórczość i twórcy, studia i szkice estetyczno-literackie. — Cele sztuki. — Psychologia krytyki. — Mickiewicz w literaturze wszechświatowej. — Wzniosłość u Słowackiego. — Fantastyczność u Prusa. — Sieroszewski. — Reymont. — Żeromski. — Weysenhoff. — Daniłowski. — Berent. — Witkiewicz. — Rozprawy i rozprawki. (Polemika i estetyka. — Sława. — Don Kiszot i Robinson. — Bajki indyjskie. — Notatki artystyczne. — Lenartowicz. — Kamiński. — Botticelli. — Moreau), Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 1904, str. 379, — przez Henryka Gallego	186
7. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Monografia publicystyczna Łodzi. — Towarzystwo popierania wydawnictw Akademii Umiejętności. — Opieka nad zabytkami sztuki kościelnej. — Nowe piśmo. — Budowa trzeciego mostu. — S. p. Stanisław hr. Puttkamer	191
8. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	206

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA


BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

1873 - Tom III

Wydawnictwo Biblioteczne

ANNEE 1888

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 255.



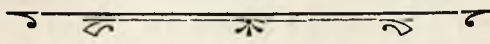
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1904. — Tom III.



WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE N. 5.

—
1904.



№ 105

Дозволено Цензурою.
Варшава 20 Июни 1904 года.

IMMANUEL KANT

oraz dziejowa doniosłość jego krytycyzmu.

I.

FILOZOFIA KANTA W STO LAT PO JEGO ŚMIERCI.

W roku 1797 Kant, mając lat 73, rozmawiał o filozofii współczesnej z młodym poetą, a późniejszym znanym mężem stanu, Fryderykiem Staegemanem (ur. 1763 r.). W rozmowie tej Kant wypowiedział między innymi następujące pamiętne słowa: „Zjawilem się ze swemi pismami o cały wiek zawcześnie; dopiero za lat sto zrozumieją mnie należycie, a wtedy nanowo studyować będą książki moje i poznają się na ich doniosłości“.

Słowa te wywołane zostały niewątpliwie pewnem zniechęceniem, które zawładnąć musiało sędziwym myślicielem wobec najnowszych prądów ówczesnej filozofii w Niemczech. Pomimo uznania, jakie zdobył sobie krytycyzm w szerokich kołach świata uczonego, pojawiały się właśnie w tym czasie pierwsze zawiązki owej metafizyki idealistycznej, która, wychodząc wprawdzie z filozofii Kanta, zagrażała jednak niebezpiecznym powrotem do dogmatyzmu, zamiast dalej poprowadzić pracę myśli w kierunku krytycznym.

Właśnie w tym czasie, Fichte, od r. 1794 profesor filozofii w Jenie, wygłaszał z zapalem nową zasadę filozoficzną jaźni, jako podstawę całego swego poglądu na świat i pociągał za sobą młodzież uniwersytecką. Schelling, mając zaledwie lat 20, wydał w r. 1795 pierwszą swą pracę filozoficzną w duchu Fichtego, a w następnym roku ogłosił „Listy o dogmatyzmie i krytycyzmie“ w których występuje otwarcie przeciw Kantowi.

Taki zwrot najmłodszej generacji myślicieli tem bardziej musiał zniechęcić mędrca królewieckiego, że przecież ten sam Fichte przed sześciu laty przyjechał umyślnie do niego z Warszawy, aby poznać go osobiście i złożyć mu do oceny rękopis pracy p. t. „Krytyka wszelkiego objawienia“, napisanej w duchu filozofii Kanta ¹⁾. Gdy praca ta w następnym roku wyszła na widok publiczny, bez nazwiska i przedmowy autora, wskutek podstępnej kalkulacji nakładcy, żeby książka uchodziła za pracę samego Kanta, świat naukowy w samej rzeczy sądził, że on jest jej autorem, tak się zbliżała do zasad jego filozofii. Tej też okoliczności zawdzięczał Fichte głównie swe powołanie na katedrę filozofii do Jeny, gdyż po odsłonięciu anonimów, okazało się, że on to napisał dzieło, które uznano za pracę najgłośniejszego w swoim czasie myśliciela.

Tymczasem, krótko potem, bo z rozpoczęciem wykładów w Jenie, Fichte ogłaszał prace, w których filozofię, jako naukę nauki (Wissenschaftslehre), rozwijał w kierunku metafizycznym subiektywnego idealizmu, odstępującego zasadniczo od krytycyzmu Kanta. Wprawdzie sam Fichte powoływał się na Kanta i dowodził, że w imię jego zasad uznać należy jaźń za jedyną podstawę filozofii. Kant zaś już począwszy od r. 1798 otwarcie występował przeciw Fichtemu i wykazywał zasadniczą różnicę swego krytycyzmu z „nauką nauki“ Fichtego. We wspomnianej rozmowie ze Staegemanem niewątpliwie miał na oku ten, tak popularny naówczas zwrot do idealistycznej metafizyki, przewidywał jej dalszy rozwój i wypowiedział powyższe słowa, pełne ducha proroczego o należytem zrozumieniu jego filozofii dopiero po upływie całego wieku.

Bo też w samej rzeczy potrzeba było całego wieku od wygłoszenia owych słów przez Kanta, aby mózdz powiedzieć, że rozumiano należycie jego krytycyzm, że wyprowadzono z niego ostateczne wyniki i że wyniki te zastosowano wszechstronnie zarówno do specjalnych zagadnień filozofii, jak i do badań naukowych wogóle. Świadczy o tem wymownie dzisiejszy stan filozofii i naukowości, ujawniający wyraźny wpływ krytycyzmu Kanta na najrozliczniejsze kierunki

¹⁾ J. G. Fichte, starszy, ur. 1762 r. W r. 1791 był on w Warszawie, jako pedagog, w domu hr. Platerów, a będąc z powołania teologiem, wygłosił też d. 23-go czerwca t. r. kazanie w kościele ewangelickim. Od d. 13-go lipca do 18-go sierpnia napisał pracę p. t. „Versuch einer Kritik aller Offenbarung“. Pracę tę krótko potem, w drodze powrotnej do Niemiec przedstawił w Królewcu Kantowi, który ją korzystnie ocenił i do druku polecił.

myśli badawczej. Zdajmy sobie tedy przedewszystkiem sprawę z tego stanu rzeczy w celu faktycznego zaznaczenia, czem jest filozofia Kanta dzisiaj, w sto lat po jego śmierci. Takie zaś aktualne dane będą najlepszą zachętą do bliższego zapoznania się z zasadami filozofii Kanta, oraz z doniosłością jego krytycyzmu dla życia umysłowego wieku ubiegłego.

*

*

*

Oryentując się myślą w chaosie najrozmaitszych kierunków filozoficznych i naukowych naszego czasu, z trudnością odnalezionoby taki, któryby nie wchłonął w siebie zasad krytycyzmu Kanta i nie ukształtował się przy ich udziale. Naturalnie wyłączam tu kierunki, które opierają się z góry na wierze w pewne dogmata religijne i wskutek tego nie mają charakteru niezawisłej samodzielności, gdyż jest to konieczny warunek, *conditio sine qua non*, filozofii w różnicy od teologii.

Czy rozpatrzymy współczesny pozytywizm i naturalizm, rozwijający się na tle wyników przyrodoznawstwa, lub też spokrewnione z nimi szkoły tak zwanej filozofii naukowej i empiryokrytycyzmu; czy zwrócimy się do idealizmu filozofii immanentnej lub do kierunków, wznawiających metafizykę Fichtego, Hegla lub Herbartą; czy wreszcie śledzić będziemy współczesne formy pesymizmu, sceptycyzmu lub bezwzględnego indywidualizmu, nie mówiąc już o nowokantyzmie i jego odcieniach — wszędzie zasady filozofii Kanta stanowią bądź ostateczną podstawę, bądź punkt wyjścia dla samodzielnej pracy myśli i wywierają wyraźny wpływ na ukształtowanie się poglądów na świat i życie.

Jeżeli w tym chaosie szkół nie ma żadnej bezwzględnie górującej nad innemi; jeżeli nie można powiedzieć, że ta lub owa filozofia jest panującą w chwili obecnej; to jednak z drugiej strony, odszukując wspólności duchowej, łączącej wszystkie te kierunki ze sobą i nadającej im pewne jednolite piętno, jako wynik tak zwanego ducha czasu, uznać musimy, że takim wspólnym rysem jest krytycyzm, spokrewniony w ten lub inny sposób z filozofią Kanta. Udowodnienie takiego stanu rzeczy nie wymaga zbyt szerokich wywodów. Pobieżny przegląd wspomnianych szkół i kierunków wystarczy do przekonania

się o takim panowaniu filozofii Kanta nad umysłami współczesnymi, w sto lat po jego śmierci.

Zacznijmy od pozytywizmu i naturalizmu, t. j. od kierunków, które przed niedawnym czasem górowały nad innymi, dzięki nowszym postępom wiedzy przyrodniczej. Otóż kierunki te właśnie przy pomocy czynników, zaczerpniętych z krytycyzmu Kanta, wyzwoliły się w ostatniej dobie swego rozwoju z objęć materializmu, z którym się poprzednio łączyły i przybrały zupełnie odmienny charakter.

Już pierwotny pozytywizm Comte'a przyswoił sobie pogląd Kanta na wzajemny do siebie stosunek zjawiska i istoty rzeczy, dowodząc, że ta wraz z metafizyką nie jest dostępną dla umysłu ludzkiego i że wiedza ograniczoną jest do badania zjawisk i ich wzajemnego do siebie stosunku. Ale Comte usunął ze swej filozofii pozytywnej wszelką logikę, czyli teorię poznania, więc pozostawał w zakresie dogmatyzmu, pomimo owych czynników sceptycznych. Nowsi zaś zwolennicy pozytywizmu zrozumieli, że ograniczenie wiedzy do badania samych tylko zjawisk, domaga się krytycznego uzasadnienia, a przede wszystkim rozbioru samego pojęcia zjawiska. A że takim rozbiorem zajmował się właśnie Kant, więc do niego należało powrócić, aby odnaleźć odpowiednie krytyczne i naukowe podstawy dla pozytywizmu.

Wskutek takiego zwrotu do Kanta pozytywizm jednak przestał być pozytywizmem w historycznym znaczeniu tego kierunku, bo opierając się na teorii poznania, pojętej tak lub inaczej w duchu Kanta, dochodził do uznania samodzielności filozofii i jej przedmiotu badania, podczas gdy pierwotny pozytywizm sprowadzał całą filozofię jedynie do encyklopedycznego zestawienia wyników nauk specjalnych.

Taką łączność pozytywizmu z krytycyzmem zaznaczają we Francji szczególnie Hip. Taine i Th. Ribot, w Niemczech E. Laas, Aloizy Riehl, Fr. Jodl i inni, w Anglii zaś J. St. Mill, Fr. Harrison, R. Congreve, choć ci ostatni najmniej odstępowali od prawowiernego Comte'owskiego pozytywizmu.

Nowszy naturalizm, uznający przyrodę fizyczną za jedyny przedmiot wiedzy ludzkiej, łączy się w ostatnich czasach zazwyczaj z pozytywizmem, który sam w swym ogólnym poglądzie na świat przyjmuje charakter naturalistyczny. Badania atoli przyrodnicze, szczególnie na polu fizjologii zmysłów, oraz empirycznej i eksperymentalnej psychologii, podkopały materialistyczny podkład nowoczesnego naturalizmu i nadały mu odcień transcendentalnego, t. j. teoryo-poznawczego idealizmu w duchu Kanta. Wspomniane bowiem

Badania przyrodnicze wykazywały jasno, że ostateczną podstawą wszelkich wyobrażeń, poglądów i pojęć człowieka jest jego podmiotowa organizacja, a zatem to, co Kant nazywał apryorycznym czynnikiem wiedzy ludzkiej.

Według tego poglądu, rzeczywistość dostępną jest dla nas tylko w granicach i formach tej naszej podmiotowej organizacji, a więc cały świat zjawiskowy, to, co my mianem przyrody, a w szczególności zjawiska przyrody oznaczamy, jest w gruncie rzeczy wytworem naszej podmiotowej działalności, a nie rzeczywistością przedmiotową, istniejącą po za nami, niezależnie od nas. Przyroda z tego stanowiska jest właściwie tylko naszą ideą, jej prawa — tylko prawami naszej działalności umysłowej; co więcej jest ona właściwie tylko w y r a z e m, przy którego pomocy jednoczymy syntetycznie całą rozmaitość i mnogość naszych podmiotowych wrażeń. Skąd te wrażenia pochodzą, co jest ich przedmiotową przyczyną, tego nigdy nie zbadamy, bo wszelkie badanie opiera się już na danych podmiotowych wrażeniach i pozostaje w ich obrębie. Więc pogodzić się musimy z tą niewiadomością, a uznać subiektywność wszelkich naszych poglądów na świat i życie.

W takim pojęciu przyrody i jej zjawisk, niema już ani śladu materializmu; tu przeciwnie, naturalizm pod wpływem krytycyzmu Kanta, przybrał charakter nawskroś idealistyczny. Prawda, że wskutek swej tradycyi historycznej naturalizm ten zawsze jeszcze czerpie swą terminologię i formalizm naukowy z przyrodoznawstwa fizycznego; to też ma jeszcze pozór materializmu; ale gdy tylko zdaje sobie krytyczną sprawę z własnych swych podstaw i z wyników ścisłych badań przyrodniczych, zawsze zwraca się do powyższego stanowiska, które Kant nazwał transcendentalem idealizmem.

Wszyscy prawie bez wyjątku pierwszorzędni przyrodnicy ostatnich czasów, począwszy od Rob. Mayera, Helmholtza, Kirchoffa, Du-Bois-Reymonda, Henryka Hertza, Klaudyusza Bernarda, T. Huxleya i wielu innych, zajmują to właśnie stanowisko. W chwili obecnej rozwijają ten kierunek szczególniejszanie znakomici myśliciele i przyrodnicy: Ernest Mach i W. Ostwald.

Na stanowisku bardziej realistycznego naturalizmu stoją wprawdzie tacy pierwszorzędni przedstawiciele współczesnej filozofii, jak Wundt, Fouillée i Spencer. Ale i oni przejęli od Kanta ów dualizm poznawczy, który przeciwstawia dostępny dla nas świat zjawiskowy światu nadzjawiskowemu, leżącemu za obrębem naszego badania. Nadto duch krytyczny, ujawniający się w większej lub mniejszej mierze u tych myślicieli, czerpie swe zasoby głównie z Kanta i jest spadkiem po nim. Tu wymienić też należy takich filozofów niemie-

ckich, francuskich i angielskich, jak Fr. Schultze i F. Erhardt, J. Lachelier i E. Boutroux, W. K. Clifford i G. J. Romanes, którzy, wychodząc z krytyki poznania Kanta, rozwijają następnie swe metafizyczne poglądy na przyrodę i jej ewolucję.

W bliskim związku z powyższymi kierunkami myśli pozostaje głośna dziś wśród młodszej generacji szkoła tak zwanego empiryo-krytycyzmu R. Avenarius. Już sama nazwa przypomina krytycyzm Kanta. Avenarius miał też na oku przyswojenie sobie jego analitycznej metody badania i dotarcia do pierwotnych współczynników wiedzy ludzkiej. A chociaż w rozwoju swych poglądów obchodzi transcendentálny idealizm Kanta i usiłuje nadać doświadczeniu, empiryi, charakter realny, określając jej stosunek, jako współczynnika „otoczenia (Umgebung)“ do centralnego systemu nerwowego, co go zbliża do zwykłego naturalizmu — to jednak cały pochod jego poszukiwań pozostaje przeważnie w zakresie wytworów podmiotowych owego systemu C (centralnego) i wzoruje się na analitycznym formalizmie Kanta. Bezpośredni tedy wpływ tego myśliciela na Avenariususa i jego zwolenników, nie podlega wątpliwości.

Niektórym autorom tego kierunku, oraz spokrewnionym z nim, podobało się nadać swej filozofii tytuł naukowej w przeciwstawieniu do wszelkiej filozofii, która się nie godzi z ich poglądem na naukowość. Sam Avenarius w tym duchu założył w r. 1877 „Kwartalnik naukowej filozofii (Vierteljahrsschrift für wissenschaftliche Philosophie)“, a dziś głównymi filarami tego pisma są wspomnieni autorzy: A. Riehl i E. Mach. Jasną jednak jest rzeczą, że ta pretensjonalna nazwa, podobnie jak nazwa pozytywizmu, nie charakteryzuje wcale odnośnych kierunków myśli filozoficznej. Pretensję bowiem do naukowości ma każdy badacz i filozof i to często nie mniej uzasadnioną, choćby się nie godził z Avenariusem, jak np. w swoim czasie Ulrici i inni. Podobnież każdy ma na oku pozytywne, t. j. faktyczne i ścisłe dane dla uzasadnienia swych poglądów, oraz pozytywne, t. j. twierdzące i dodatnie wywoły ze swych badań. Więc są to nazwy ogólne, odnoszące się do każdego naukowo wyrobionego myśliciela, których nikt niema prawa monopolizować. To też nazwy te już dzisiaj tak spowszedniały, że wcale uchodzić nie mogą za znamienne dla tego lub owego kierunku filozoficznego. Ale i w tej swojej szerokiej nieokreślności nazwy te odnoszą się zawsze do kierunków, które znajdują się dzisiaj pod wyraźnym wpływem krytycyzmu Kanta.

Dla tej samej przyczyny nazwa filozofii krytycznej stała się dzisiaj powszechną i nie może być zastosowaną wyłącznie do

ścisłych kantystów. Każdy współczesny myśliciel, bez względu na specjalny kierunek, w którym rozwija swe poglądy, uznaje, że krytyka czynności poznawczej wchodzi koniecznie w skład wszelkiej wogóle filozofii, więc też domaga się, aby uznano jego krytycyzm. Tem właśnie różni się filozofia chwili obecnej od filozofii poprzednich, po-kantowskich okresów, czy to metafizycznego idealizmu, czy też materyalizmu. I w tem właśnie uwydatnia się najwyraźniej wpływ Kanta na myśl współczesną. Jego krytycyzm poznawczy stał się udziałem wszystkich poważniejszych myślicieli ostatniej doby.

Znamiennym rysem specjalnie kantowskiego krytycyzmu jest subiektywizm, dowodzący niemożności poznania niezależnej od nas przedmiotowości, rzeczy samej w sobie. Subiektywizm ten znajduje swe poparcie w jednostronnem pojęciu wyników nowszych badań na polu fizyologicznej psychologii zmysłów. To też nie dziw, że ta strona filozofii Kanta znalazła w nowszych czasach swych zwolenników, podobnie jak poprzednio, zaraz po Kancie, Fichte rozwinął jednostronnie ten czynnik. Ale podczas gdy Fichte powoływał się na krytykę poznania Kanta, a sam wprost przeszedł na pole metafizyki podmiotowego idealizmu—to przeciwnie współcześni zwolennicy subiektywizmu mają swoją własną krytykę poznania, która wprawdzie opiera się na wynikach Kanta, ale korzysta zarazem ze wspomnianych badań fizyologicznej psychologii i dąży do pewnej samodzielności. Ten kierunek reprezentuje w chwili obecnej szkoła, nosząca nazwę filozofii immanentnej, czyli wewnętrznej.

Konsekwentny rozwój tego subiektywnego kierunku doprowadza do tak zwanego solipsyzmu. Jeżeli bowiem wiedza jest dla nas dostępną jedynie w formie wrażeń i myśli, nie dających zgoła żadnego pojęcia o przedmiotowości po za nami istniejącej, — to uznać muszę, że i samo to pojęcie przedmiotowości i wszystkie jego składniki, wraz z pojęciem innych istot rozumnych, innych ludzi, nie jest także niczem innym, jeno mojem pojęciem, subiektywną ideą. A z tego wynika, że w gruncie rzeczy ja tylko istnieję, ze swemi stanami i wytworami umysłowemi, a zresztą nic więcej, coby mógł uznać za byt przedmiotowy, ode mnie niezależny.

Nietrudno spostrzedz, że taki ostateczny wynik subiektywizmu, na seryo wygłaszany, miałby charakter obłąkania umysłowego. To też filozofowie, rozwijający w tym kierunku swe poglądy pod nazwą filozofii immanentnej, wymijają naturalnie konsekwentny solipsyzm, ale się z konieczności logicznej do niego bardzo zbliżają. Jedni wśród tych filozofów, jak W. Schuppe, A. Leclair i inni, na wzór to Fichtego, to Berkeley'a dochodzą do pojęcia ogólnej abstrakcyjnej

Jaźni, lub wielości jaźni, jako jedynej formy realnego bytu; inni zaś, jak R. Schubert-Soldern, M. Kauffman, założyciel „Przeglądu filozofii immanentnej (Zeitschrift für immanente Philosophie)“, od r. 1895, oraz M. Keibel, uznają wprawdzie w zupełności solipsyzm ze stanowiska teoretycznego, lecz w imię życiowej praktyki ograniczają jego konsekwencye. W czem także ulegają w gruncie rzeczy wpływom Kanta, dla którego również względy praktyczne, życiowe przeciwstawiły się zasadniczo negacyjnym wynikom teoretycznej krytyki poznania.

Za pośrednictwem Kanta zbliżają się do subiektywizmu Fichte'go w bardziej metafizycznem urobieniu tacy autorzy filozoficzni, jak Fr. Harms, R. Eucken, J. Bergmann i inni. Zwolennicy współcześni idealizmu Hegla, jak Anglicy i Amerykanie: H. Stirling, W. F. Harris, F. H. Bradley, J. Watson, J. Sterrett i inni oraz Francuz G. Noël opierają się również na krytycyzmie Kanta. Z nim łączy się też liczna dotąd szkoła Herbarta, który pomimo swej leibnicowskiej metafizyki, całą swą logikę, a po części i etykę zawdzięcza Kantowi. Zależność filozofii Schopenhauera, określającego świat jako „wolę i wyobrażenie“ i wogóle pesymizmu pod wieloma względami od krytycyzmu Kanta jest powszechnie znaną. Zaznaczyli ją nanowo Ed. Hartmann i jego zwolennicy. A chociaż Hartmann przeciwstawia transcendentalnemu idealizmowi Kanta swój transcendentalny realizm, to jednak w gruncie rzeczy ujemne wyniki krytyki czystego rozumu posłużyły i dla niego za punkt wyjścia do wysunięcia na pierwszy plan podmiotowych dążeń jednostki i do przyjęcia tych dążeń za podstawę do pesymistycznej oceny całego świata. Nawet bezwzględny indywidualizm Fr. Nietzschego, jego teoretyczny i etyczny sceptycyzm, doprowadzający do usprawiedliwienia brutalnej samowoli, tkwi zasadniczo w subiektywizmie Kanta, oraz w owych ujemnych wynikach jego krytycyzmu. Bez nich nigdyby zapewne nie był wystąpił na widownię naszego czasu.

Tak tedy powyższy pobieżny przegląd wykazuje, że nawet takie kierunki, które nie mogą być nazwane kantowskimi w ścisłym znaczeniu, bo nieraz w szczegółowym rozwoju swych poglądów bardzo mało mają z nim wspólnego, znajdują się jednak wyraźnie pod wpływem rozlicznych czynników jego krytycyzmu. Duch tego krytycyzmu przenika nawskroś myśli współczesną i jest wynikiem owego głębszego studyum dzieł Kanta, przepowiedzianego przez niego samego przed stu przeszło laty. Najdobitniej jednak świadczą o ziszczeniu się tej przepowiedni liczne prace nowo-kantystów w ścisłym znaczeniu, oraz pamiątkowe obchody setnej rocznicy śmierci filozofa we wszystkich niemal uniwersytetach świata.

Nawoływanie do gruntownego studjum Kanta i powrotu do niego wyszło z grona myślicieli tak zwanej szkoły i d e a l n e g o r e a l i z m u, kierunku, opartego na krytyce jednostronnych wytworów zarówno bezwzględnego idealizmu Hegla, jak i późniejszego materializmu. Krytyka ta przekonała przedstawicieli tego kierunku, Ch. Weissego, J. W. Fichtego młodszego, Ulriczego, Trendelenburga, Fechnera, Lotzego, Ed. Zellera, Ueberwega i wielu innych o koniecznej potrzebie ponownego rozbioru wzajemnego do siebie stosunku podmiotu i przedmiotu poznania, co właśnie stanowi zasadniczą treść filozofii Kanta. To też już w r. 1847 Weisse żąda, aby się filozofia nanowo „oryentowała“ na krytycyzmie Kanta. Myśl tę podjął następnie Kuno Fischer, pisząc w r. 1860 obszerny rozdział o Kancie do swej „Historji nowszej filozofji“, a Ed. Zeller wykazywał w dwa lata później wysoką doniosłość teoryi poznania, biorącej Kanta za punkt wyjścia i podjął z całą stanowczością głośne dotąd hasło powrotu do Kanta (Zurück zu Kant)!

Od tego czasu występuje Kant znowu na pierwszy plan w rozwoju myśli filozoficznej. Ograniczono wedle możności konstrukcyjną pracę nad wytworzeniem ogólnego poglądu na świat i życie, — co charakteryzowało poprzednie okresy idealizmu i materializmu, — a zabrano się natomiast do ponownego rozbioru ostatecznych zasad wiedzy ludzkiej. Krytyka poznania przestała być środkiem pomocniczym do osiągnięcia wiedzy, a stała się natomiast dla wielu jedyną i wyłączną treścią filozofji. Na tle tej wyłączności i w związku z subiektywizmem Kanta rozwinął się n o w o - k a n t y z m, na którego czele stanął Alb. Lange, znakomity autor „Historji i krytyki materializmu“, wydanej w r. 1866.

Lange w żądaniach swoich co do studjum Kanta poszedł dalej, niż jego poprzednicy; domaga się on wprost, aby badano systematycznie Kanta z tą samą gruntownością, jaką poświęcono dotąd tylko Arystotelesowi. Sam zaś starał się wyciągnąć ostateczne wyniki z poznawczego dualizmu Kanta. Między badaniem zjawisk i dyalektyczną złudą (transcendentalną analityką i transcendentalną dyalektyką Kanta) nie ma, według Langego, żadnej zgoła wspólności. Jak Kant, sprowadza on naukę do empirycznego rozbioru zjawisk i wzajemnego ich do siebie stosunku; ale przy tem nie potępia bezwzględnie złudę dyalektycznej, lecz dowodzi, iż żywotne potrzeby umysłu ludzkiego przekraczają o wiele ściśle wyniki nauki empirycznej. Dla zaspokojenia tych potrzeb uznaje on w duchu kantowskiej krytyki praktycznego rozumu całą doniosłość owej złudę i nadaje jej pierwszorzędnę miejsce w życiu umysłowym człowieka pod nazwą

poezyi metafizycznej, twórczości myślowej z punktu widzenia ideału (Gedankendichtung, Standpunkt des Ideals). Etyka i sztuka rozwijają się w tym właśnie kierunku ideału i różnią się przez to zasadniczo od ścisłego badania nauki i jej wyników.

Oto zasadnicze tło nowokantyzmu, uwydatnione w różnych odzieniach przez innych przedstawicieli tego kierunku, jak w Niemczech: H. Vaihinger, H. Cohen, J. Volkelt, W. Windelband, Fr. Paulsen; we Francji: Ch. Renouvier, Fr. Pillon; w Anglii: T. H. Green, Max Müller, Ed. Caird i inni. U nas reprezentuje ten kierunek z wielkim zasobem zarówno wiedzy przyrodniczej, jak i polotu etycznego, Wł. M. Kozłowski.

Nie dziw, że wskutek zaznaczonego nastroju krytycznego umysłów, dzieła żadnego wśród myślicieli całego świata nie doznały w ostatnich czasach tak drobiazgowego rozbioru, jak właśnie dzieła Kanta, i to nie tylko w jego ojczyźnie, ale i wśród innych narodów.

Prócz wydania kompletu dzieł Kanta jeszcze w pierwszej połowie zeszłego wieku przez K. Rosenkranza i G. Hartensteina, wyszły już w drugiej połowie dzieła te w porządku chronologicznym, wydane także przez Hartensteina, oraz wydanie w układzie systematycznym z dodaniem licznych przypisów przez J. H. Kirchmana, nadto liczne wydania pojedynczych dzieł Kanta, szczególnie „Krytyki czystego rozumu”. W tej zaś chwili Akademia nauk w Berlinie, dla upamiętnienia setnej rocznicy śmierci filozofa, sporządza nowe, zbiorowe wydanie wszystkich jego pism, wraz z jego listami i pozostałymi po nim notatkami z dodaniem wyczerpujących objaśnień i komentarzy. Będzie to wydanie, jakiego dotąd pod względem sumiennej i wyczerpującej gruntowności żaden z nowoczesnych myślicieli się nie doczekał. Do tego dodać należy liczne przekłady dzieł Kanta, a znowu szczególnie jego „Krytyki czystego rozumu” na wszystkie języki świata cywilizowanego, nawet na łaciński. I my przyłączamy się w tej chwili do tego chóru wydawniczego ogłoszeniem z zapomogi Kasy Mianowskiego wybornego przekładu „Krytyki” przez Piotra Chmielowskiego, jako tomu „Biblioteki filozoficznej”, w której wydano poprzednio „Prolegomena” Kanta w przekładzie R. Piątkowskiego.

Bibliografia prac, dotyczących Kanta, obejmowałaby dziś tysiące numerów, nawet gdyby ją chciano ograniczyć do ostatnich kilkunastu lat. Prace te mają za przedmiot nie tylko życie i filozofię Kanta, lecz zajmują się nadto często obszernym monograficznym rozbiorem odnośnych kwestyj specjalnych, przyczem wytworzyły się liczne spory o właściwe rozumienie nie tylko zasadniczych podstaw jego krytycyzmu, ale i pojedynczych ustępów jego dzieł, oraz wprowa-

dzonych przez niego terminów filozoficznych. Wytworzyła się nawet wskutek tego osobna gałąź tego rodzaju badań, nazwana filologią kantowską, poświęcona rozbiorowi pojedynczych jego zdań i wyrażen z tą samą subtelnością, często nawet z przesadną drobiazgowością; z jaką dotąd traktowano jedynie pisma starożytnych autorów. Stało się tedy w zupełności zadość powyższemu żądaniu Langego, co do studyum Kanta. Dość powiedzieć pod tym względem, że na komentarz „Krytyki czystego rozumu“ przez H. Vaihingera, obejmujący dotąd jedynie Przedmowy, Wstęp i Estetykę transcendentalną (razem tylko stronic 92 na całość 681 stronic przekładu P. Chmielowskiego) składają się dwa wielkie tomy ścisłego druku, przeszło 500 stronnic każdy. Tenże profesor, Vaihinger, wydaje od r. 1897 specjalne czasopismo poświęcone wyłącznie badaniom nad Kantem p. t. „Kantstudien“, a od 12-go lutego r. b., t. j. od setnej rocznicy śmierci Kanta, funkcjonuje Towarzystwo Kantowskie, do którego przyłączyli się liczni uczeni z całego świata w celu popierania specjalnych badań nad jego życiem, pracami i filozofią.

Wobec tak powszechnego zajęcia, jakie budzi mędrzec królewiecki jeszcze dzisiaj, w sto lat po swojej śmierci, godzi się, aby i u nas szersze koła wykształconej publiczności przypomniały sobie zasadnicze podstawy jego krytycyzmu w celu zdania sobie sprawy z jego dziejowej doniosłości dla rozwoju nie tylko filozofii, lecz i wogóle życia umysłowego ostatnich czasów.

II.

ROZWÓJ UMYŚLOWY I FILOZOFIA KANTA.

Biografia Kanta była przedmiotem wyczerpujących badań oraz licznych szeregu prac specjalnych. To też nie zamierzam powtarzać tu za temi pracami jego życiorysu ¹⁾. Pragnę natomiast przy po-

¹⁾ Powołuję się zresztą na swój artykuł o Kancie w „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej“ (T. 34, r. 1903), gdzie też podane są owe szczegółowe prace o Kancie. Tam również uwzględnioną została literatura polska, pozostająca w związku z Kantem i jego filozofią. Najprzystępniejszą pracą o Kancie dla naszych czytelników jest przekład J. Wł. Dawida książki Fr. Paulsena p. t. „I. Kant i jego nauka“. Warszawa, 1902.

mocy tych danych wnikać w jego rozwój umysłowy w celu dokładnego zrozumienia ostatecznego rozwoju filozofii krytycznej wielkiego myśliciela.

Kant urodził się w Królewcu d. 22 kwietnia 1724 r. i w przeciągu ośmdziesięcioletniego żywota nie opuścił ani razu swej prowincyi rodzinnej Prus Wschodnich. Nadto pobyt na prowincyi, prócz czasu nauczycielstwa prywatnego (od 1746 do 1755), stanowił później rzadką tylko i zazwyczaj krótką przerwę jego pobytu w murach Królewca. Okoliczność ta, jak z jednej strony świadczy o nastroju kontemplacyjnym, zamkniętym w sobie tego myśliciela, tak z drugiej niezawodnie przyczyniła się do tem większego skupienia się myśli jego w samej sobie.

Zbyt wielki napływ wrażeń zewnętrznych, jakiemu my, szczególnie w nowszych czasach, podlegamy wskutek nadzwyczajnych postępów techniki, rozprasza działalność umysłową i utrudnia coraz bardziej spokojną refleksję. Dziś słyszymy, co się wczoraj na drugim końcu świata działo, a sami w kilka lub kilkanaście godzin odbywamy podróże, na które dawniej potrzeba było tyleż dni lub często nawet tygodni. Wśród tego mnóstwa wrażeń, myśl przechodzi szybko od jednego do drugiego, na żadnem nie zatrzymuje się dłużej, w żadne nie wnika głębiej. Więc też nie przywykamy należycie do refleksyjnej kontemplacji i rozwagi, która możliwą jest tylko przy odpowiedniem ograniczeniu pola wrażliwości i dłuższem ześrodkowaniu uwagi na szczupłej liczbie przedmiotów z sobą związanych. Życie spokojne wśród otoczenia jednostajnego bez rażących zmian czyni umysł pochopniejszem do refleksyi, zachęca do wnikięcia w samego siebie i zdania sobie sprawy ze swego stosunku do świata i życia. Tak tedy już te zewnętrzne warunki przyczyniały się do zwrócenia się myśli Kanta ku samej sobie, do refleksyjnej analizy treści naszego umysłu.

Z tą czysto zewnętrzną stroną żywota Kanta łączyły się w tym samym kierunku i głębsze warunki jego rozwoju umysłowego. Jako syn małomieszkańskiej rodziny, a przytem wychowany w zasadach religijnego petyzmu, przywykał wczesnie nienadawać zbyt wielkiego znaczenia względem światowym, a dbać przedewszystkiem o swoje życie duchowe. W młodych latach pod wpływem pobożnej matki przejmował się głęboko tym petyzmem, który domagał się serdecznego związku jednostki ze Zbawicielem świata w celu praktycznego udowodnienia miłości ku Niemu w życiu.

Szkołę średnią, gimnazyum, zwane Collegium Fridricianum, przebywał Kant pod opieką głównego przedstawiciela tego kierunku w Królewcu, prof. Fr. Alb. Schultzego. Na jego wykłady teologi-

czne uczęszczał też następnie chętnie, gdy wstąpił do uniwersytetu, choć się zapisał na fakultet filozoficzny. O pietyzmie wyrażał się zawsze i w późniejszym wieku z prawdziwym uznaniem, jako o kierunku, dla którego szczerłość i prawda uczucia religijnego była na pierwszym planie ponad spory dogmatyczne i czczy formalizm.

Subiektywizm kantowskiej filozofii, dopełniany bogatym zasobem poczucia etycznego, pozostaje niewątpliwie w związku duchowym z temi religijnemi czynnikami jego rozwoju umysłowego. Bo też w samej rzeczy, ograniczenie całej działalności poznawczej do apriorycznej treści umysłu przedstawia się z tego stanowiska, jako przeniesienie subiektywizmu religijnego na pole filozoficzne, poznawcze; rygoryzm zaś etyczny Kanta, z bezwzględnym rozkazem, czyli kategorycznym imperatywem spełniania obowiązku dla obowiązku, wyraża w formie filozoficznej życiowe tendencje owego pietyzmu. Tak tedy okazuje się, że istnieje głęboka analogia pomiędzy ostatecznemi wynikami krytycyzmu Kanta, a owym nastrojem, zaszczerpionym w umysł młodociany przez pietyzm, a podniecanym przez zewnętrzne warunki rozwoju umysłowego.

Do takich zewnętrznych warunków, popierających działalność refleksyjną umysłu, należy zaliczyć i tę okoliczność, że Kant nie wstąpił w związki małżeńskie, lecz prowadził żywot dość odosobniony, samotny. Nie był wprawdzie mizantropem, nie lekcewał kobiet; przeciwnie, mówi o nich z uznaniem i podnosi dobre strony ich charakteru; nadto lubi towarzystwo dobrych, szczerych przyjaciół. Ale to wszystko zamyka się w ramach skromnych, nie wyciąga myśliciela zbyt daleko z głębin ducha na powierzchnię życia, nie rozrywa go i nie rozstrzeliwa. Więc i pod tym względem subiektywizm jego nie znajdował zapory.

Przy powyższych warunkach rozwoju byłby jednak Kant wskutek swoich wysokich zdolności umysłowych popadł w jednostronny mistycyzm, gdyby na ostateczne ukształtowanie się jego filozofii nie było wpłynęło i wiele innych czynników, prócz pietyzmu. Studya uniwersyteckie od r. 1740 rozszerzyły jego widnokrąg daleko po za dziedzinę podmiotowych poruszeń uczucia religijnego. Za przejście zaś do skrzętniejszego zajęcia się światem przedmiotowym posłużyła mu matematyka, którą studyował gruntownie i z zamiłowaniem. Jest ona z jednej strony całkowicie wytworem umysłu ludzkiego, a jednak z drugiej strony w swych zastosowaniach, szczególnie na polu kosmologii i astronomii, zmusza do przejścia na pole przedmiotowe faktycznych objawów przyrody. Tą drogą poszedł i Kant, zajmując się coraz bardziej matematycznemi podstawami przyrodoznawstwa, mianowicie matematyczną kosmologią i fizyką.

Świadczą o tem pierwsze jego prace: „O prawdziwej mierze sił żywotnych“ (1744), „O ogniu“ (1753), broniąca teorii wibracyjnej światła i ciepła, „O trzęsieniach ziemi“ (1755), wreszcie rzecz wielce doniosła „O teorii nieba“ (1755), będąca zarysem mechanicznego powstania budowy świata według zasad Newtona. W tym też okresie zbliżał się Kant do naturalistycznych poglądów, szczególniej Lukrecjusza, od których dopiero w dalszym rozwoju odstąpił na korzyść monadologii Leibniza i metafizyki Chrystyana Wolffa. Podobnie i uniwersyteckie wykłady Kanta w charakterze docenta, począwszy od r. 1753, dotyczyły przedewszystkiem matematyki i fizyki, następnie dopełnione zostały wykładami mineralogii, geografii, antropologii, a wreszcie objęły i logikę, metafizykę, etykę i naturalną teologię.

Szeroki ten zakres wiedzy przedmiotowej zaszczerpił w umyśle Kanta świadomość wielkiej doniosłości doświadczenia, oraz badań nad światem zjawiskowym dla rozwoju poznania ludzkiego, a przez to stanowił przeciwwagę w stosunku do pierwotnego intuicyjnego nastroju umysłu. W tym też kierunku oddziaływały na Kanta następnie pisma Rousseau'a, oraz empiryzm angielskich filozofów z Hume'm na czele.

Sceptycyzm tego ostatniego filozofa, rozwinięty na tle sensualistycznym, zmusił atoli Kanta nanowo do podjęcia pracy refleksyjnej. Hume podkopał wprawdzie w świadomości Kanta cały dogmatyzm naukowy, niewyłączając dogmatyzmu matematyki i przyrodoznawstwa, a przedewszystkiem dogmatyzm owoczesnej metafizyki. Ale skutek tego sceptycyzmu, zagadnienie, dotyczące ostatecznych podstaw zarówno teoretycznego poznania świata, jak i praktycznej działalności człowieka, etyki, występowało znowu na pierwszy plan i domagało się rozwiązania. Ten zwrot w rozwoju Kanta zaznacza ją takie prace jak: „O optymizmie (1759), „O figurach sylogizmu“ (1762), „O zasadach naturalnej teologii“ (1763), „O pięknie i wzniosłości“ (1764), „Marzenia jasnowidzącego, objaśnione przez marzenia metafizyki (1764), „O zasadniczej podstawie różnych wymiarów przestrzeni“ (1768) i inne. Coraz bardziej wywiązuje się w świadomości rozwijającego się myśliciela przeciwstawność między podmiotem a przedmiotem poznania, między umysłem a światem zewnętrznym, między teoretycznem poznaniem a zasadami praktycznej, życiowej działalności. Przeciwstawność ta zaś naprowadza go z konieczności na szereg dalszych badań, dotyczących wzajemnego do siebie stosunku tych zasadniczych współczynników wiedzy ludzkiej.

Pod naciskiem powyższych zagadnień rozwija się coraz bardziej samodzielny krytycyzm Kanta, poddający wszechstronnemu

rozbiorowi zarówno dogmatyzm, jak sceptycyzm poprzedniej doby. Za pierwszy zawiązek tego krytycyzmu uznać należy rozprawę „O formie i zasadach świata zmysłowego i umysłowego“. Napisał ją Kant w r. 1770 z powodu nominacji na profesora logiki i metafizyki. Tu już napotykamy ów charakterystyczny dla jego filozofii dualizm poznawczy, który obok apriorycznej treści umysłu uznaje wysoką doniosłość doświadczenia, jako czynności, mającej nie tylko świat zjawiskowy za przedmiot, lecz stwarzającej go i przypisującej mu swe prawa. W tej to pracy Kant po raz pierwszy dowodzi, że przestrzeń i czas nie są rzeczywistością po za nami, lecz są tylko formami naszego poglądu na świat zmysłowy. Tu też odróżnia wyraźnie poznanie zjawisk tego świata w owych formach przestrzeni i czasu od poznania umysłowego (intelligibel), opartego na działaniu rozumu, a mającego za przedmiot już nie zjawiska, lecz rzeczy, jakimi są, wskutek wewnętrznego związku czystych pojęć rozumu ze światem nadzmysłowym, boskim. Poznanie zmysłowe przyjmuje tu charakter podmiotowy i fenomenalny, zależny w zupełności od form naszego zmysłowego poglądu na świat. Poznanie natomiast umysłowe, racjonalne przedstawia się tu jako poznanie przedmiotowe, realne, wnioskujące w ukrytą, pozazjawiskową istotę rzeczy. Pierwsze uwydatnia się w matematyce, będącej niezbędną podstawą poznania świata zjawiskowego w formach przestrzeni i czasu. Drugie zaś, t. j. poznanie umysłowe, znajduje swój wyraz w metafizyce, którą oprócz należy na czystych pojęciach rozumu, gdyż w nich ujawnia się treść świata umysłowego.

Powyższa przeciwstawność wytwarza zasadniczy punkt wyjścia dla dalszej pracy myśli Kanta i wogóle dla jego rozwoju umysłowego w kierunku krytycznym. Między wspomnianą rozprawą, zaznaczającą po raz pierwszy zawiązki samodzielnej filozofii Kanta, a jej wszechstronnym rozwojem na polu poznania teoretycznego w najznakomitszem jego dziele, t. j. w „Krytyce czystego rozumu“, wydanej w r. 1781, leży dziesięcioletni okres najgłębszej pracy myśli Kanta, której wynikiem było owo dzieło. Nie możemy obecnie przedstawiać szczegółowo postępu tej pracy, dziś już wszechstronnie wyjaśnionego przez badaczy. Daje o nim jasne pojęcie Piotr Chmielowski we Wstępie do wspomnianego przekładu tego dzieła na nasz język. W miejsce powtórzenia tutaj genezy „Krytyki czystego rozumu“, zdamy sprawę z jej treści w ogólnych zarysach, podnosząc mianowicie zmianę, jakiej w tem dziele uległ pierwotny dualizm poznawczy Kanta.

We Wstępie do „Krytyki czystego rozumu“ wyjaśnia Kant przedewszystkiem bardziej szczegółowo wspomniany dualizm, wyka-

zując na czem polega różnica między poznaniem czystym, opartym wyłącznie na rozumie, a poznaniem empirycznym, wypływającym z doświadczenia. Przyznaje on, że władza poznania pobudzana wprawdzie zostaje do działania jedynie przez doświadczenie, że zatem od niego rozpoczyna się całe poznanie nasze; ale z drugiej strony dowodzi, że pomimo to poznanie nasze nie wypływa całkowicie z doświadczenia. Doświadczenie jest czynnością umysłu; umysł zaś w swem działaniu podlega właściwym sobie formom i prawom, według których uświadamia sobie wrażenia, wywoływane przez świat przedmiotowy. Ztąd pochodzi, że na poznanie nasze składają się dwa różne zupełnie czynniki, a mianowicie: czynniki właściwe samemu umysłowi, które Kant nazywa czystymi lub też czynnikami a priori; następnie czynniki empiryczne, a posteriori. Badanie tych czynników oraz wzajemnego ich do siebie stosunku, Kant nazywa transcendentalnem, gdyż przekracza bezpośrednio dane doświadczenia, mając na celu wyjaśnienie jego ostatecznych podstaw. To badanie stanowi przedmiot osobnej nauki, nazwanej Krytyką, a mającej charakter Propedeutyki, czyli Wstępu przygotowawczego do metafizyki, jako właściwego systematu filozofii. Ten ostatni oprzeć się winien całkowicie na wynikach krytyki. Wyniki te przedstawiają się Kantowi w sposób następujący:

Co do poznania świata zjawiskowego przy pomocy zmysłów i doświadczenia, „Krytyka czystego rozumu“ rozwija tylko szczegółowo i dopełnia zdanie, wygłoszone już we wspomnianej rozprawie, że przestrzeń i czas są formami wszelkiego naszego poglądu na świat zmysłowy. Kant tę pierwszą część swej krytyki nazywa transcendentalną estetyką, mając na oku dosłowne znaczenie tego ostatniego terminu, od greckiego wyrazu aistesis, oznaczającego wrażenie zmysłowe. Chodzi tu o wykazanie apriorycznych, czysto rozumowych czynników naszej zmysłowej wrażliwości, jakimi właśnie są przestrzeń i czas.

Powyższe zdanie o formach naszego poglądu na rzeczy wprowadza krytyka na dalsze wyniki, znajdujące swój wyraz w bliższem określeniu samego pojęcia zjawiska, które ma znaczenie zasadnicze dla całego krytycyzmu Kanta. Podczas gdy naiwny realizm naszego zwykłego poglądu zmysłowego uznaje przedmiotowość zjawiska w tej formie, w jakiej się nam przedstawia, t. j. sądzi, że rzeczy są takimi, jakimi się nam w zjawisku wydają, Kant natomiast dowodzi, że zjawisko nie odtwarza treści przedmiotowej, lecz jest samo wynikiem modyfikacji, jakiej podlega działanie przedmiotowe na zmysły wskutek apriorycznych, czyli czystych form i praw naszego umysłu. Doświadczenie tedy, jako czynność, zwrócona ku dzia-

łaniu świata przedmiotowego na nas, nie ujawnia treści tego świata, lecz doprowadza jedynie do wytworzenia w naszym umyśle nowej treści, t. j. zjawiska, jako przeróbki treści przedmiotowej oraz doznanych od niej wrażeń według owych form i praw samego umysłu. W tym to duchu mówi Kant, że świat zjawiskowy, przyroda, jest wytworem naszego rozumu, wynikiem urobienia danych empirycznych według jego wymagań, ale bynajmniej nie jest czemś od nas niezależnym, czemś, leżącym za obrębem naszej umysłowej działalności.

Zdawałoby się, że taki pogląd zasługuje ze wszech miar na miano subiektywizmu, że z tego stanowiska niema dla nas wogóle żadnej przedmiotowości, żadnego świata prawdziwie obiektywnego, gdyż wszystko, co się nam takim wydaje, jest w gruncie rzeczy wytworem działalności umysłu, jedynie naszym wyobrażeniem, pojęciem, a więc ma charakter nawskroś podmiotowy. Kant jednak nie uznaje tej konsekwencji. Przeciwnie, sam broni pojęcia przedmiotowości i krytykuje subiektywizm Berkeley'a, dowodząc, że podczas, gdy dla tego myśliciela wszystko się staje złudą, to przeciwnie powyższy pogląd doprowadza do ścisłego odróżnienia przedmiotowego bytu od złudy. Co wypływa z koniecznej i nieodzownej, powszechnie uznanej działalności naszego umysłu, urabiającej w doświadczeniu treść empiryczną według swych form i praw, to jest dla nas przedmiotem i przeciwstawia się wszelkim podmiotowym złudom, sprzecznym z temi czynnikami naszej umysłowej działalności.

Niezajmiemy się na tem miejscu krytycznym rozbiorem takiego zwrotu Kanta od podmiotowych zasad do przedmiotowych wyników. Zaznaczymy tylko, że z tego stanowiska należy z konieczności rozróżnić podwójną przedmiotowość: raz przedmiotowość od naszego umysłu niezależną, którą Kant nazywa rzeczą samą w sobie (das Ding an sich), lub też często oznacza terminem transcendentnej (w różnicy od terminu transcendentalny, dotyczącego badań teoryo-poznawczych); a powtóre, przedmiotowość dla naszego umysłu i w jego tylko zakresie, nie mającą nic wspólnego z bytem po za nami istniejącym, z rzeczą w sobie. Pytanie tylko, czy ta ostatnia forma przedmiotowości zasługuje w istocie na tę nazwę, czy nie jest tylko terminem, mającym ułatwić wyzwolenie się z objęć solipsyzmu, będącego, jak widzieliśmy konsekwentnym wpływem subiektywizmu.

Najważniejsza zmiana w rozwoju filozofii Kanta podczas owego okresu, poprzedzającego wydanie „Krytyki czystego rozumu“, a ujawniona w tem dziele, dotyczy poglądu na poznanie umysłowe, czysto

racyonalne. W rozprawie z r. 1770 poznanie to, jak widzieliśmy, przedstawiało się Kantowi jako poznanie prawdziwie przedmiotowe, wnikające w istotę rzeczy przy pomocy czystych pojęć rozumu, będących w duchu idealizmu Platona, wiernym wyrazem świata nadzmysłowego, boskiego. Stosując atoli wyniki transcendentalnej estetyki i do poznania rozumowego, do transcendentalnej logiki, jako drugiej części „Krytyki“, Kant ścieśnił znacznie zakres prawdziwie przedmiotowego poznania i na tem polu. Cały dalszy rozwój jego krytycyzmu z włączeniem „Krytyki praktycznego rozumu“ z r. 1788, oraz „Krytyki władzy sądenia“ z r. 1790, jako też dodatkowych pism: „Uzasadnienie metafizyki obyczajów“, 1785 i „Religia w granicach samego rozumu“, 1793, dokonywa się w kierunku subiektywizmu i sprowadza w końcu przedmiotowość, dostępną dla umysłu ludzkiego, do takiego minimum, że jej poznanie teoretyczne staje się prawie niemożliwym. To też sceptycyzm byłby w samej rzeczy odniósł zupełne zwycięstwo nad krytycyzmem, gdyby Kanta od tego losu nie uratowało poczucie etyczne, jako czynnik wyrwywający z objęć sceptycznych przynajmniej w formie wiary moralnej wszystkie te prawdy, które okazują się niezbędnymi dla praktycznego urzeczywistnienia wymagań etycznych. Zaznaczymy główne momenta tego ostatniego wyniku zarówno rozwoju umysłowego Kanta, jak i jego filozofii krytycznej.

Odszukując apyryoryczne formy poznania umysłowego, Kant odróżnia czynności rozsądku, jako władzy prawideł, skupiających rozstrzelone dane doświadczenia, a stanowiących przedmiot transcendentalnej analityki, od czynności rozumu, jako władzy zasad naczelných, czyli pryncypiów, wprowadzających syntetyczną jednię do prawideł rozsądkowych. Ich rozbiorem zajmuje się transcendentalna dyalektyka. Są to dwa główne działy transcendentalnej logiki.

Działalność rozsądku dokonywa się według apyryorycznych form, czyli czystych pojęć ogólnych, nazwanych k a t e g o r y a m i. Kant wylicza ich cztery z szeregiem poddziałów: i l o ś ć, j a k o ś ć, s t o s u n e k i s p o s ó b. Wszelkie dane empiryczne rozpatrujemy ze stanowiska tych kategorii i według nich określamy prawa świata zjawiskowego. Prawa te nie dają żadnego zgoła pojęcia o istotnym stanie rzeczy, lecz są tylko wytworami naszej umysłowej działalności, jednoczącej dane empiryczne w pewną uporządkowaną całość według owych kategorii. Dochodzimy tedy wprawdzie do ogólnego poglądu na świat i wzajemny do siebie stosunek jego zjawisk, ale pogląd ten jest całkowicie wytworem naszego umysłu i nic nie orzeka o istocie przyrody i świata. Jakim jest świat sam w sobie, tego

żadną miarą poznać nie możemy, gdyż jego poznanie zależy w zupełności od owych form naszego umysłu.

Jeszcze mniej zadawałajęciami są, według Kanta, wyniki działalności rozumu, dopełniającego wytwory rozsądku najwyższemi ideami. Podczas gdy rozsądek zadawała się względnością ludzkiego poznania i nie pragnie mieć świata innym, aniżeli mu się wydaje, to rozum usiłuje dopełnić tę względność poznaniem bezwzględnem przy pomocy idei. Do nich zalicza Kant trzy zasadnicze idee: duszy, jako substancji; świata, jako nieskończonego szeregu przyczynowego, i Boga, jako najrealniejszej istoty, skupiającej w sobie bezwzględną doskonałość.

Sprowadzając cały materiał empiryczny do tych idei w celu zjednoczenia wyników wiedzy i ich ostatecznego wyjaśnienia, rozum przekracza zakres dostępnego dla nas i wogóle możliwego doświadczenia i wznosi się w dziedzinę myśli, mającą charakter złudy dialektycznej. Dogmatyczna metafizyka opierała, według Kanta, cały swój systemat na tej złudzie. Ale krytyka demaskuje ją i wykazuje, że idee te pozbawione są wszelkiego poznawczego znaczenia, a mogą mieć dla człowieka odpowiednią doniosłość jedynie na polu praktycznej działalności, jako wymagalniki moralne. Ze stanowiska zaś ściśle teoretycznego idee te zawierają w sobie, według Kanta, tak rażąco sprzeczności, że o ich przedmiotowej prawdzie, nawet w zaznaczonem powyżej czysto podmiotowem znaczeniu przedmiotowości, mowy być nie może.

I tak, idea duszy, jako substancji, jest psychologicznym paralogizmem (błędem logicznym), wynikającym z zastosowania kategorii substancji do zjawiska świadomości, jako jedni syntetycznej zjawisk psychicznych. Przez taką jednak czynność rozumową zjawisko świadomości nie przestaje być zjawiskiem tylko, a mniemanie, jakoby ono mogło się stać substancją, jest złudą, bez krytycznej podstawy. Idea zaś świata, oparta na kategorii przyczynowości, doprowadza przy krytycznym rozbiorze do szeregu antynomij (sprzeczności zasadniczych), których żadną miarą rozwiązać nie można na korzyść jednej lub drugiej strony. Czy świat ma początek w czasie i jest ograniczonym w przestrzeni lub nie; czy się składa z niepodzielnych pierwotnych czynników, lub nie; czy wszystko w przyrodzie dokonywa się według praw koniecznych, lub też wskutek wolności; czy należy do świata jakieś konieczne jestestwo, jako jego przyczyna, czy też nie ma wcale takiego jestestwa,—to wszystko są zdania, które mają tyleż argumentów pro, ile contra; więc z tych antynomij nie ma wyjścia dla rozumu ludzkiego. Z teoretycznego punktu widzenia trzeba się wyrzec wszelkiej odpowiedzi na

powyższe pytania i ograniczyć uznaniem niemożności wyjścia po za zakres doświadczenia i apryorycznej treści umysłu, porządkującej to doświadczenie. Wreszcie idea Boga, jako jestestwa koniecznego wszechjestestw, jako bezwzględnej syntetycznej jedni wszystkich warunków możliwości rzeczy wogóle, ma wprawdzie, według Kanta, charakter ideału czystego rozumu, ale pomimo to ze stanowiska poznawczego jest tak samo złudą dyalektyczną, jak i poprzednie idee. Wszelkie dowody istnienia Boga, podawane przez racjonalną teologię, okazują się nie wystarczającymi i nie mogą przewyciężyć poważnych wątpliwości co do realności tej idei. Więc tutaj marzyć nie można o bezwzględnej wiedzy.

Tak tedy widzimy, że wyniki „Krytyki czystego rozumu“ stawiają Kanta tuż nad przepaścią sceptycyzmu. Nic tu nie pomaga dowodzenie, że mamy przynajmniej względną wiedzę świata zjawiskowego w granicach „możliwego“ doświadczenia, skoro i ta względna wiedza nie może się obejść bez pojęcia świata, przyrody, będącego ostatecznie tylko wytworem złudy dyalektycznej bez istotnie przedmiotowej doniosłości. Ale tu właśnie ratują Kanta, jak już wspomnieliśmy, owe od lat młodzieńczych rozwijające się a potężne czynniki poczucia religijno-moralnego, których przytłumić nie zdołała najsurowsza analiza w duchu negacyjnym. „Krytyka praktycznego rozumu“ Kanta wzniosła nowy, wspaniały gmach na ruinach rozumu teoretycznego. Z tego to stanowiska powiedział bardzo trafnie jeden z nowo-kantystów, H. Vaihinger: „Prawdziwy krytycyzm nie daje żadnych pozytywnych, ostatecznych odpowiedzi, których człowiek mógłby się trzymać. On niszczy tylko. Odbudowanie zaś ruin pozostawia etyce, ze stanowiska ideału“.

I w samej rzeczy odbudował Kant swoją filozofię w duchu etycznym. A chociaż sam uznać musi, że fundamenta tej nowej budowy nie mają teoretycznej wytrzymałości lub, jak dziś się mówi, nie są „naukowemi“ — to jednak są one w jego rozumieniu daleko pewniejsze i trwalsze, niż wszelkie fundamenta teoretyczne, bo się opierają na pierwszeństwie (prymacie) rozumu praktycznego i wypływają z owego poczucia moralnego, które łączy człowieka bezpośrednio z istotą wszechrzeczy, z owym bytem prawdziwie przedmiotowym, leżącym według krytyki czystego rozumu po za naszą pojętnością. Nie pojmujemy go, nie możemy wytworzyć sobie o nim jasnego pojęcia, ale go odczuwamy i ulegamy jego potężnemu działaniu w naszym poczuciu etycznym.

Wśród zagadnień, jakie niepokoją umysł ludzki, zagadnienie wiedzy nie jest, według Kanta ani jedynem, ani najwyższem. Rozum nie tylko pyta: co możemy wiedzieć? lecz zadaje sobie również py-

tania: co powinniśmy robić? i czego możemy się spodziewać? Odpowiedź na te ostatnie pytania daje „Krytyka praktycznego rozumu”. Ma ona wogóle ten sam układ, co i „Krytyka czystego rozumu” teoretycznego i posiłkuje się tą samą analityczną metodą badania, ale doprowadza do innych zupełnie wyników. Najważniejsze z tych wyników dają się sprowadzić do następujących zdań.

Świat pozazjawiskowy „rzeczy samej w sobie” nie jest wprawdzie dostępny dla wiedzy ludzkiej, ale on wkracza w zakres zjawiskowego świata człowieka przy pomocy jego poczucia moralnego. Poczucie to, narzucając się świadomości ludzkiej w sposób konieczny i powszechny, staje się stanowczym, bezwzględnym rozkazem, kategoriycznym imperatywem. Rozkaz ten dotyczy działania człowieka i znajduje swój wyraz w zasadniczem prawie czystego praktycznego rozumu, które brzmi: „Działaj tak, aby reguła twej woli mogła służyć zarazem za zasadę dla powszechnego prawodawstwa.” Prawo to obowiązuje wszędzie i zawsze każdego rozumnego człowieka i nadto uwydatnia prawdziwą samodzielność, czyli autonomię rozumnej woli w przeciwstawieniu do wszelkiej samowoli, która nie kieruje się w działaniu rozumem i jego wymaganiami, lecz ulega postronnym, przypadkowym motywom o charakterze egoistycznym. Rozum wykazuje swą wyższość ponad wszelki egoizm żądaniem działania z poszanowania dla prawa moralnego. Poczucie konieczności takiego działania Kant nazywa *o b o w i ą z k i e m*, i na tem pojęciu opiera całą swoją etykę. Spełnienie obowiązku dla obowiązku, bez wszelkich względów postronnych, bez wszelkich widoków nagrody, lub obawy złych następstw, oto istota postępowania moralnego, według Kanta. Wszelkie działanie, nie oparte na poczuciu obowiązku, odstępuje od wymagań rozumu, jako powszechnego i koniecznego prawodawcy we wszelkich sprawach ludzkich.

Oto odpowiedź na pytanie: co powinniśmy robić? stanowiąca główną treść analityki praktycznego rozumu. Jej dopełnieniem i na tem polu jest dyalektyka, badająca doniosłość najwyższych idei praktycznego rozumu. Tu otrzymujemy odpowiedź na pytanie: czego możemy się spodziewać?

Skoro mamy działać w imię obowiązku jedynie dla niego bez wszelkich względów postronnych, to mogło by się zdawać, że pytanie: czego możemy się spodziewać spełniając obowiązek, jest zbytecznem, lub nawet nie dozwolonem. Kant to dobrze pojmuje, a dążąc do odpowiedzi na to pytanie bynajmniej nie odstępuje od powyższych wymagań etycznych. Rozum jednak posiada, według niego, ideę najwyższego dobra, jako ostatecznego przedmiotu, celu postępowania

etycznego. Idea ta łączy się ściśle z poczuciem moralnym i potrzebuje również bliższego wyjaśnienia.

W tej idei najwyższego dobra dopatruje się Kant zasadniczej antynomii, wewnętrznej sprzeczności. Idea ta rozumowo domaga się bezwzględnego zjednoczenia swych składowych czynników, jakimi są: cnota i szczęśliwość. W imię swego poczucia moralnego rozum żąda, aby człowiek cnotliwy był zarazem szczęśliwym. Cnota nie powinna mieć złych następstw, a więc nie powinna sprowadzać złego, nieszczęścia dla cnotliwego człowieka, spełniającego sumiennie swój obowiązek. Tymczasem faktycznie, w rzeczywistości niema żadnego związku przyczynowego między spełnianiem prawa moralnego i szczęśliwością. Świat zmysłowy, życie realne rozchodzą się z temi żądaniami rozumu na każdym kroku. Wywołuje to nasze oburzenie swoją niesprawiedliwością, nieuznającą owego związku między cnotą i szczęśliwością. A jednak dla faktycznego złego, rozum nie może odstąpić od swych bezwzględnych wymagań moralnych. Przeciwnie, on obstaje przy nich, choćby rzeczywistość zmysłowa ciągle na nowo kłam mu zadawała.

Ale, jak tu rozwiązać tę rażącą sprzeczność, tę antynomię między rozumem i rzeczywistością? Niema, według Kanta, innego wyjścia, tylko stanąć bezwzględnie po stronie poczucia moralnego i przyjąć ową łączność cnoty i szczęśliwości za konieczny wymagalnik, za postulat rozumu praktycznego, a ponieważ ta łączność nie daje się urzeczywistnić w tym zmysłowym świecie, więc uznać należy, że będzie urzeczywistnioną w świecie wyższym, nadzmysłowym. Prawdy tego postulatu dowieść nie podobna teoretycznie, ale ponieważ się bez niego obejść nie możemy, więc musi on stanowić treść naszej wiary moralnej, równie pewnej, nieodzownej, kategorycznej, jak samo poczucie moralne.

Ten postulat o zjednoczeniu cnoty i szczęśliwości doprowadza, według Kanta, do uznania zarazem i wszelkich warunków, jakie okazują się niezbędnymi dla jego urzeczywistnienia. Warunkami takimi zaś są: 1) wolność woli, bez której niebyłoby wogóle moralności, więc i cnoty; 2) nieśmiertelność duszy, która jedynie umożliwia urzeczywistnienie prawa moralnego oraz jedni cnoty i szczęśliwości; wreszcie 3) istnienie Boga, wszechmogącego i doskonałego, jako niezbędnego warunku faktycznego urzeczywistnienia w świecie nadzmysłowym owych wymagań najwyższego dobra, t. j. łączności cnoty i szczęśliwości.

Tak więc, rozum praktyczny, poczucie moralne, zwraca w filozofii Kanta człowiekowi to wszystko, co mu rozum teoretyczny odebrał. Nie możemy poznać świata wyższego, nadzmysłowego; wątpienie

jest tu zupełnie uprawnionem; ale poczucie moralne wprowadza nas w ten świat bezpośrednio i odsłania nam jego treść przynajmniej w formie wiary moralnej.

Prócz rozbioru zasad rozumowych poznania i działania, Kant zajął się wreszcie i rozbiorem zasad sądu estetycznego i twórczości artystycznej. Krytycyzm jego i pod tym względem miał wpływ doniosły na dalszy rozwój życia umysłowego, więc choć w kilku słowach dotknijmy jego odnośnych poglądów na tem polu. Stanowią one treść „Krytyki władzy sądenia,” która rozpada się na dwie główne części, na krytykę estetycznej i krytykę teleologicznej (od telos—cel) władzy sądenia.

W zakresie estetycznej władzy sądenia zwraca Kant głównie uwagę na piękność, wzniosłość i sztukę. Pięknem nazywa to, co budzi konieczne i powszechne zadowolenie swoją czystą formą celowości, niezależnie od wszelkich szczegółowych celów, a więc zadowolenie bezinteresowne. Wzniosłość zaś łączy się z ideą nieskończoności i wywołuje bezpośrednie upodobanie swoją wyższą celowością, przekraczającą zwykle dążności zmysłowe. Co się wreszcie tyczy sztuki, to Kant wykazuje, że jest ona objawem swobodnej twórczości, wydającej przedmioty, które budzą zadowolenie estetyczne w zaznaczonym duchu. Na swobodę i wolność twórczości artystycznej kładzie Kant największy nacisk. Jak przyroda tworzy sama z siebie, tak i artysta prawdziwy wydaje swe utwory bez wszelkiego przymusu i bez wszelkich względów na reguły, jemu skądkolwiek narzucone. Jego utwór wydaje się tak prostym, naturalnym, jak gdyby był utworem samej przyrody. To też geniusz artystyczny nie może być krępowany żadnemi zewnętrznemi regułami, gdyż jest on prawodawcą w tej dziedzinie. On sam wytwarza reguły i prawa artystyczne i sam się do nich stosuje wedle własnej potrzeby. Wszelka robota, dokonywana się według obcych reguł lub wzorująca się na obcych wzorach, nie jest dziełem sztuki pięknej i nigdy się nie wzniesie na wyżyny prawdziwie artystycznej twórczości.

Dopełnieniem rozbioru estetycznej władzy sądenia jest rozbiór władzy sądenia teleologicznej, mającej za przedmiot rozbiór pojęcia celowości i jej znaczenia dla życia umysłowego. Wszelkie działanie samodzielne, wszelka twórczość, mówi Kant, łączy się dla rozumu ludzkiego z pojęciem celowości. Zmuszeni jesteśmy uznać jej działanie we wszystkich tych wypadkach, gdy związek między skutkiem i przyczyną staje się dla nas zrozumiałym jedynie na podstawie przypuszczenia, że skutek był myślowo przewidywanym. Tak pojętej celowości przeciwstawia się działanie według praw mechanicznych, gdzie skutek następuje po przyczynie sam przez się, bezpośrednio, bez do-

boru środków pomocniczych, ani przewidywanych następstw działania.

Porównywając ze sobą te dwa przeciwległe sposoby łączenia skutków z przyczynami, Kant dochodzi do przekonania, że lubo nie możemy bezpośrednio uznać twórczości przyrody za wynik celowego działania, gdyż w takim razie musielibyśmy przypuścić, że w przyrodzie działają istoty do nas podobne, zdolne do przewidywania skutków swego działania,—to jednak i tutaj świat nadzmysłowy wkracza w naszą dziedzinę ujawniając w ustroju organizmów czynniki celowe. Jak te czynniki celowe jednoczą się w samej istocie przyrody z mechanizmem zwykłego jej działania, tego zbadać nie możemy, gdyż istota rzeczy w ogóle, jak widzieliśmy, leży za obrębem naszych podmiotowych form myślenia. Więc zmuszeni jesteśmy posiłkować się obydwoma temi zasadami związków przyczynowych, mechanizmem i celowością, przyznając jednak, że zasady te nie mają znaczenia konstytucyjnego, t. j. nie dotyczą samej treści rozbieranych przedmiotów, lecz są tylko zasadami kierowniczymi (regulacyjnymi), przybliżającemi nas do zrozumienia tych przedmiotów jedynie ze stanowiska formalnego. Póki można, trzymajmy się w badaniach naszych zasad mechanizmu; ale pomimo to nie mamy prawa twierdzić, ani, że wszelki wytwór przyrody powstać może jedynie na podstawie praw mechanicznych, ani też, że niektóre tego rodzaju wytwory nie mogą powstać na podstawie samych tych praw.

Z tem wszystkiem okazuje się jednak, według Kanta, że wiele utworów przyrody, jak wreszcie i samą przyrodę, jako całość, pojąć możemy tylko w związku z pewną celowością. A to zbliża nas do uznania zależności wszechświata od rozumowo i celowo działającej Istoty. Nie jest to wprawdzie żaden dowód istnienia Boga,—Kant zastrzega się przeciwko temu wyraźnie; ale wśród wszystkich dowodów, jest to najpoważniejszy, a ta okoliczność potwierdza z nowego punktu widzenia zaznaczone powyżej wymaganie poczucia moralnego. Krytyka teleologicznej władzy sądenia formuje w każdym razie drogę racjonalnej teologii, wprawdzie nie jako nauce, jako teoretycznemu poznaniu Boga, ale jako dziedzinie, podlegającej dalszemu wyjaśnieniu ze stanowiska wiary moralnej.

Oto najważniejsze momenta rozwoju umysłowego i filozofii Kanta. W nich ześrodkowyywa się całkowicie wpływ tego myśliciela na późniejsze pokolenia aż po chwilę obecną. Temu wpływowi, ujawniającemu dziejową doniosłość krytycyzmu Kanta, poświęcimy ostatni rozdział niniejszej rozprawy.

III.

DZIEJOWA DONIOSŁOŚĆ KRYTYCYZMU KANTA.

Doniosłość ogólnych poglądów na świat i życie dla dziejowego rozwoju narodów, nie może podlegać wątpliwości. Niech mówią, co chcą przedstawiciele tak zwanej materialistycznej teorii dziejów o wpływie ekonomicznych i materialistycznych czynników na życie narodów, ostatecznie i oni przyznać muszą, że te czynniki nie działają wprost, bezpośrednio, same przez się, lecz przyjmują ściśle określoną formę dopiero w świadomości ludzkiej, jako motywa praktycznej działalności. Więc nawet najbardziej zewnętrzne warunki bytu ulegają przemianie psychicznej i stają się czynnikami dziejowego rozwoju człowieka tylko o tyle, o ile się wyrównały z całkowitą treścią świadomości i do niej się przystosowały.

Treść zaś świadomości jest nawskroś wytworem umysłu i jego praw, urabiających wszelkie bodźce zewnętrzne na swój ład. Jeden i ten sam czynnik ekonomiczny, materialny, działając jako bodziec, zmienia swój charakter i pociąga za sobą inne zupełnie skutki, stosownie do treści, górującej w danej świadomości, a więc stosownie do poprzednio urobionych i przez nawyknienie utrwalonych poglądów na świat i życie. Wpływ na te ogólne, panujące w świadomości poglądy, ma daleko większą doniosłość dziejową, aniżeli wszelkie szczegółowe czynniki ekonomiczne lub materialne. Te ostatnie modyfikują tylko stopniowo i bardzo powoli zasadniczą treść ogólnych poglądów na świat i życie, ściśle związanych z nastrojem umysłu i ze stopniem jego rozwoju. Stąd to dzieje ludzkie, pomimo wszelkiej zależności od zewnętrznych warunków bytu, są przedewszystkiem skutkiem owych kierowniczych poglądów ogólnych, owych zasadniczych celów ludzkiej działalności. Ich zmiana ujawnia się bezpośrednio zmianą w kierunku postępu dziejowego.

Zdając sobie sprawę z wydatnego charakteru rozlicznych poglądów na świat i życie, nie trudno spostrzedz, że przedstawiają się nam w trzech głównych formach. Raz, jako pogląd naturalny, życiowy, narzucający się świadomości bezpośrednio i dla tego też powszechny i jednakowy u wszystkich ludzi. Takim jest nasz zwykły, codzienny, zmysłowy pogląd na świat. Powtóre, poglądy ogólne urobione pod wpływem poczucia religijnego, zależne zatem od wiary

w pewne tradycyjne dogmata. Wreszcie, poglądy, mające charakter filozoficzny, jako wyniki samodzielnej pracy myśli i krytycznego rozbioru odnośnych danych. My tutaj mamy do czynienia tylko z tą ostatnią formą. Przedstawia ona jednak najwyższy wykwit poznawczego rozwoju człowieka i wywiera wpływ potężny na poprzednie formy. Wprawdzie, poglądu naturalnego naszych zmysłów żadna filozofia zmienić nie może, ale ona wyjaśnia dane tego poglądu przy pomocy swoich samodzielnych czynników i przez to dopełnia go swoją treścią. Co do poglądów tradycyjnych różnych religij, to i te w samej rzeczy tylko z wielką trudnością ulegają dziejowej zmianie pod wpływem filozofii. Ale pomimo to, okazuje się, że wraz z postępem życia umysłowego wiara religijna narodów ulega bardzo poważnym zmianom wskutek wyników samodzielnego badania filozoficznego. Wyniki te, jednając sobie zwolenników, modyfikują tradycyjne wierzenia w szerszych warstwach społeczeństwa; nadto sama teologia urabia zwykle swą treść pod wpływem pewnych poglądów filozoficznych. Więc nie jest to żadna przesada, gdy mówimy o dziejowej doniosłości tego lub owego systematu filozofii, a w danym razie krytycyzmu Kanta. Doniosłość tego ostatniego ujawnia się wyraźnie w całym życiu umysłem narodów kulturalnych zeszłego wieku.

Kant sam porównał reformę, jaką pragnął przeprowadzić na polu filozofii, z przewrotem, dokonanym przez Kopernika w zakresie astronomii. Jak on w miejsce ruchu gwiazd około widza przypuszczał ruch widza około gwiazd i na tej podstawie doszedł do lepszego wyjaśnienia biegu ciał niebieskich; tak Kant dowodzi, że nie świat przedmiotowy stanowi treść naszego poznania, lecz my sami, gdyż świat ten my przetwarzamy według form naszego umysłu. Proces poznania z tego stanowiska wydawał mu się jaśniejszym. Poznanie jest naszym działaniem, ruchem naszego umysłu około przedmiotów, które same w sobie są stałe, niezmiennie, ale dla tego też i niedostępne dla nas co do swej istotnej treści. Przeniesienie tedy ruchu poznawczego ze świata przedmiotowego do samego podmiotu i ześrodkowanie w nim całego bogactwa treści poznawczej — oto czyn kopernikowski Kanta na polu filozofii.

Możnaby wprawdzie powiedzieć, że przewrót filozoficzny Kanta był właściwie dalszym ciągiem astronomicznego przewrotu Kopernika, ale nie można zaprzeczyć, że szczegółowe przeprowadzenie tego przewrotu na polu poznawczem, jest w zupełności dziełem Kanta. Jak w zakresie astronomii od czasów Kopernika nikomu już na myśl nie przychodzi zaprzeczać ruchowi ziemi, przeciwnie, wszelkie badania biegu gwiazd opierają się na uznaniu tego ruchu; tak od czasów Kanta działalność poznawcza samego podmiotu stała się konieczną

podstawą wszelkich dalszych dociekań filozoficznych, a więc i wszelkich przedmiotowych poglądów na świat i życie. Od siebie począć należy, a że, według wyrażenia Hegla, z własnej skóry wyskoczyć niepodobna, przeto wszelki pogląd na przedmiotowość powiązać należy z tą naszą podmiotową działalnością i wyjaśnić z jej punktu widzenia. Gdy do czasów Kanta, główny kierunek myśli ludzkiej był odśrodkowym i pociągał za sobą wyjście człowieka z siebie, rozstrzeżenie się jego uwagi na nieskończoną mnogość szczegółowych przedmiotów, to po Kancie ruch myśli ludzkiej dokonywa się głównie w kierunku wprost przeciwnym, dośrodkowym, skłania człowieka do poznawczego zagłębienia się w samym sobie i zatrzymuje uwagę przede wszystkim na potrzebach i dążnościach wewnętrznych samego myślącego podmiotu. Jest to przewrót tak radykalny, że się wydawnieć musiał potężnie w całym dalszym rozwoju życia umysłowego, nawet w zakresie takich dziedzin, które nie mają wprost charakteru filozoficznego. Przekonywa o tem pobieżny nawet przegląd głównych momentów tego rozwoju w przeciągu wieku, ubiegłego od śmierci Kanta.

Działalność Kanta przypada na drugą połowę XVIII w., który z pewnem zadowoleniem nazywał się wiekiem o s w i a t y. Wszędzie w owym czasie mówiono o oświacie i w jej imieniu miano na oku powszechne uprzystępnienie wyników nauki, zwalczanie zabobonów i przesądów, a na polu społecznym ograniczenie samowoli możnych i uprzyjemnienie życia jak najszerszym warstwom społeczeństwa. W tym duchu czynni byli w Anglii tak zwani „wolnomyślni“ autorzy (*freethinkers*), jak Toland, Collins, M. Tindal, Hume, następnie filozofowie zdrowego rozsądku z T. Reidem na czele, wreszcie filozofowie moralności, jak Shaftersbury, Mandeville, Chesterfield i inni. Za ich przykładem, szczególnie zaś za przykładem pierwszych, poszli francuscy encyklopedyści pod kierownictwem Diderota, d'Alemberta, Voltaire'a, Rousseau'a, Holbacha, Lamettrie'go, oraz racjonalści niemieccy: Lessing, Reimarus, Mojżesz Mendelsohn, Garve, Herder i wielu innych.

Kant stoi w pośrodku tego wielkiego ruchu i jako umysł przeważnie refleksyjny, zdaje sobie jasną sprawę z istoty i doniosłości tego ruchu. W osobnej rozprawie p. t.: „Co to jest oświata?“ wypowiedział w r. 1784 swój pogląd na objaw umysłowy, oznaczony tem mianem. Ale uczynił to w sposób, wykazujący jego wyższość ponad najświetniejsze umysły swego czasu i zaznaczył zarazem nowe wytyczne cele dla dalszego rozwoju życia umysłowego, cele, które w przeciągu całego wieku nie doczekały się pełnego urzeczywistnienia i dla tego dotąd nie utraciły swej dziejowej doniosłości.

Oświatą nazywa Kant wyjście ze stanu małoletności, spowodowanego własną winą, nie wskutek braku rozumu, lecz wskutek braku stanowczości i odwagi w kierowaniu się własnym zdaniem bez obcej pomocy. Określenie to różni się zasadniczo od poglądu, jakim się posiłkowali najgenialniejsi nawet przedstawiciele wieku oświaty. Dla nich oświata sprowadzała się do zwalczania ciemnoty mas przy pomocy popularyzowania dohytków wiedzy, oraz do rozpowszechnienia kulturalnych warunków życia. W tym kierunku wiek XVIII przedstawia niewątpliwie postęp wielki. Postęp ten atoli miał tylko znaczenie ujemne, negacyjne, t. j. usunął tylko w pewnej części przeszkody, stojące na zawadzie rozwojowi dodatnich czynników życia umysłowego, lecz sam nie ożywiał tych czynników, nie podnosił ducha na wyżyny, nie zaszczeniał w niego energii do nowych zdobyczy, ani na polu wiedzy, ani w zakresie życia społecznego. To też, podkopawszy tradycyjny dogmatyzm religii, nauki i polityki, wiek XVIII doprowadził narody ostatecznie do ruiny. Niedowiarstwo obejmowało w imię oświaty nie tylko religię, lecz i naukę oraz zasady ustroju społecznego, a płytka popularyzacja wiedzy, pozbawionej zachęty do samodzielnego badania, nie mogła zastąpić braku poważnej pracy myśli. W dziedzinie życia społecznego idea oświeconego despotyzmu, reprezentowana głównie przez Fryderyka II, okazała się również niewystarczającą i padła wkrótce ofiarą to reakcyi pruskiej, to francuskiej rewolucyi.

Charakterystycznym rysem wieku oświaty było wprawdzie współczucie dla niższych warstw narodu, pewien nawet sentymentalny humanizm. Ale humanizm ten łączył się z uczuciem wyniosłości zarówno wyżej uzdolnionych umysłów, jak i wogóle warstw wyższych. Zniżano się łaskawie do maluczkich, oświecano ich i uprzyjemniano im życie, ale nie myślano o tem, aby ich podnieść do własnej wysokości, wyzwolić z upokorzenia zaszczeniałaniem w nich nowych samodzielných czynników życia umysłowego. A takie właśnie wyzwolenie każdej wogóle istoty rozumnej, przy pomocy jej własnych, w niej działających czynników, oto ideał oświaty prawdziwej według Kanta, ściśle złączony z jego filozofią. Nie idzie mu o samą wiedzę z zewnątrz zaczerpaną, lecz o samodzielną działalność rozumu, będącą źródłem wszelkiej wiedzy prawdziwej. W życiu zaś społecznym nie ma na oku sielankowej zniewieściałości, epikureizmu, w najrozlicznějších jego formach, jakie panowały w wieku XVIII, lecz domaga się energii rozumowej, odważnego posiłkowania się rozumem w celu stanowczego urzeczywistnienia jego wymagań bez względu na małoduszny eudemonizm.

Wskutek takiego poglądu na oświatę, Kant nie unosi się już sentymentalnem współczuciem dla ciemnych, nieoświeconych, lecz powołuje ich przed trybunał rozumu i obwinia otwarcie, iż są ciemnymi, nieoświeconymi tylko dla tego, że nie słuchają głosu własnego rozumu i nie mają odwagi kierowania się własnem zdaniem bez obcej pomocy. Są małoletnimi, ale nie dla braku lat, ani dla braku rozumu, lecz dla braku energii moralnej w spełnianiu obowiązku, wynikającego z posiadania rozumu.

Jak we własnem życiu Kant nie przyjmował od nikogo żadnej pomocy i pomimo nieraz bardzo ciężkich warunków materyalnych mógł w starości powiedzieć, że nigdy od nikogo nie przyjmował, od nikogo ani grosza nawet nigdy nie pożyczył, tak też wymaga bezwzględnie samopomocy ze strony każdego rozumnego człowieka. Autonomia moralna, będąca zasadą jego etyki, przenika zarazem jego zasady poznawcze i artystyczne, cały jego pogląd na świat i życie. Każdy człowiek ma obowiązek być samodzielną, rozumną istotą, posilkować się należycie swoim rozumem i urzeczywistnić jego wymagania bez oglądania się na innych. Gdy to wszyscy czynić będą, wtedy oświata prawdziwa stanie się udziałem narodów, a ich życie dosięgnie możliwej dla człowieka doskonałości.

Czy nie należy przyznać, że to są właśnie hasła, które charakteryzują wiek XIX w różnicy od XVIII? hasła, które wypisane są na sztandarach wszystkich wydatnych umysłów ostatniej doby, bez względu na pole ich działania? Czy największe zdobycze wieku XIX w dziedzinie nauki, sztuki i życia społecznego nie są przede wszystkim wynikiem owej autonomii rozumowej zarówno geniuszów, jak i prostaczków, aż do najprostszego robotnika? owej samodzielności, która o własnych siłach, bez względu na tradycyjne formuły, dążyła do najwyższych celów prawdy, piękna i dobra? Twórczość nowoczesna miała zawsze i wszędzie na myśli urzeczywistnienie tych właśnie celów, które Kant sformułował zarówno w owej rozprawie o oświacie, jak i w zasadach swego krytycyzmu. Dopiero dzięki tym zasadom, filozofia i nauka nabrały nowej energii do samodzielnych dociekań i ścisłych badań. Twórczość artystyczna, w poczuciu prowadzącej potęgi geniuszu, wznosiła się na wyżyny niebotyczne, a życie społeczne rozwijało się w kierunku coraz pełniejszego wyzwolenia działających w niem sił.

Przez powyższe uwagi nie chcę powiedzieć, jakoby cały ruch umysłowy ubiegłego wieku rozpoczął się od owej rozprawy Kanta o oświacie, lub wogóle od ukazania się jego pism krytycznych. Warunki rozwoju dziejowego narodów bardzo są skomplikowane, więc ich też nigdy sprowadzić nie można do jednego jakiego, choćby nawet

bardzo wydatnego czynnika. Ale bez względu na bezpośredni wpływ, jaki wywarła filozofia Kanta na dalszy przebieg życia umysłowego, temu zaprzeczyć nie można, że on to pierwszy doprowadził do jasnej świadomości współczynników nowego dziejowego okresu w życiu narodów i już w ostatnich dziesiątkach XVIII wieku nadał im wyraz, który aż do tej chwili nie stracił na swej doniosłości i sile. Cała zaś dalsza praca myśli XIX wieku, o ile miała na oku uświadomienie swych dążeń w zakresie filozofii, nauki, sztuki, życia społecznego; co więcej, cały dalszy rozwój umysłowy, o ile zależał od takiego uświadomienia swych dążeń, łączy się jak najściślej z wytycznymi ideami Kanta i dokonywa się w ich kierunku.

Wiek XIX, w swym dziejowym postępie, daje się sprowadzić do trzech wydatnych znamion, jakimi są: r o m a n t y z m, n a t u r a l i z m i k r y t y c y z m. A każde z tych znamion nadaje cechę charakterystyczną nie tylko objawom, obejmowanym zazwyczaj temi nazwami, lecz i wszystkim innym, gdyż określało ducha, który przenikał umysły danej epoki. Nadto, każdy z tych odrębnych kierunków życia umysłowego, pozostawał w zależności od owych wytycznych celów prawdziwego postępu, które Kant sformułował we wspomnianej rozprawie z r. 1784.

Romantyzm nie oznacza tylko ruchu na polu poezji niemieckiej, angielskiej, francuskiej, albo naszej w początkach wieku XIX, ale charakteryzuje zarazem dążności na polu filozofii, począwszy od Fichtego i Schellinga. W życiu zaś dziejowym tego czasu, czyż ideały wojenne Napoleona nie były nawskroś romantycznymi? a obrona narodów przeciwko uciskowi obcych potęg, czyż nie miała tegoż charakteru? Bo cóż stanowiło istotę ruchu romantycznego przeciwko przestarzałym tradycjom na wszystkich polach życia, jeżeli nie ocknienie się narodów z owej małoletności, którą Kant za ich winę poczytywał, a z której każdy wyjść może tylko przy pomocy własnego rozumu, na podstawie własnego energicznego czynu? Hasło samodzielności, autonomii, tak jasno i stanowczo wygłoszone przez Kanta, oto duch romantyczny, który przenikał tak poetów, jak i myślicieli, mężów stanu i bohaterów owej epoki.

Duch ten w ostatniej dobie, za naszych dni, na nowo ożywia twórczość artystyczną. A choć separatyzm arystokratyczny, wynoszący zarozumiałych nad-ludzi ponad resztę tak zwanego „tłumu“, zawsze jeszcze się odzywa tu i owdzie, jako odgłos oświaty XVIII wieku—to jednak o panowaniu takiego separatyzmu, choćby w formie oligarchii geniuszów, mowy już być nie może na początkach wieku XXI!

Krytycyzm Kanta ujawnił raz na zawsze całą samoistność i potęgę powszechnego rozumu ludzkiego. Ten powszechny rozum ludzki, dzięki krytycyzmowi Kanta, objął ostatecznie panowanie nad światem zewnętrznym. Poprzednia epoka była jeszcze niewolnicą tego świata, ona ulegała mniej lub więcej ślepo zewnętrznym warunkom bytu, faktycznie danym, i posiłkowała się wychwalanym rozumem jedynie, aby poznać te warunki i mądrze się do nich przystosować. Nowa zaś epoka, inaugurowana przez Kanta, przejęła się coraz głębiej poczuciem twórczej potęgi rozumu, jego obowiązkiem ukształtowania życia, całego nawet świata, według swych własnych wymagań. Nie dziw, że takie poczucie wyrabiało z ludzi tytanów i wywoływało utwory i czyny prawdziwie wielkie, które dotąd podziwiamy. Były to pierwsze porywy młodzieńczego uświadomienia godności rozumu.

Ale Kant sam nie miał na oku takich porywów. Jego myśl sięgała dalej, zmierzała do męskiej dojrzałości rozumu. To też zasób jego myśli nie wyczerpał się najświetniejszymi objawami romantyzmu na polu twórczości artystycznej, filozofii i życia społecznego, lecz wykazywał zarazem potrzebę sumiennego, ściśle naukowego badania, szczególnie świata zjawiskowego przy pomocy doświadczenia. Dzięki Kantowi, przyrodoznawstwo uświadomiło sobie jasno swoje zadania i swoją metodę. Wykształcony na Newtonie i matematycznej kosmologii, on to sformułował ściśle zasady przyrodniczego objaśnienia zjawisk i położył fundamenta dla nowoczesnych badań w tym kierunku. Widzieliśmy już, że pierwszorzędni przyrodnicy XIX wieku opierali się na metodologicznych wywodach Kanta i posiłkowali się wynikami jego krytycyzmu. Cały tedy okres naturalizmu, o ile przedstawia postęp prawdziwy, w porównaniu z naturalizmem XVIII wieku, o ile zaznacza zwrot do poważnych badań naukowych, doprowadzając do niebывалych odkryć i wynalazków, przekształcających z gruntu zewnętrzne warunki bytu ludzkiego, pozostaje w ścisłym związku z pracą myśli Kanta i zawdzięcza jemu w znacznej części swe powodzenie.

Z drugiej atoli strony, zwrot do przyrody w duchu nowoczesnego naturalizmu, zawierał w sobie wielkie niebezpieczeństwo dla dalszego rozwoju życia umysłowego. W imię postępów przyrodoznawstwa, materializm wznowił w połowie XIX wieku tradycję XVIII i zagrażał ponownym sprowadzeniem poglądu na świat i życie do nierozumnych, bezmyślnych czynników. Wszystko miało być wytworem materii i sił fizycznych, a człowiek igraszką tych sił, bez wszelkiej samodzielności i swobody. Naigrawano się z wyżyn, do jakich duch ludzki się wznosił, i odmówiono jego twórczości istotnego znaczenia. I znowu mówiono tylko o przystosowaniu się do zewnętrznych wa-

runków bytu. Samodzielna twórczość umysłowa zaczęła słabnąć w sposób przestraszający. Cały dorobek rozumu ludzkiego, wyniki tysiącoletniej pracy myśli, oddano na pastwę ślepych sił przyrody.

Ale tu właśnie znowu krytycyzm Kanta wznosił tamy, ocalające ten dobytek od zagłady. Widzieliśmy już, że wskutek wznowienia krytycyzmu, przyrodoznawstwo wyzwoliło się z objęć materialistycznej metafizyki i pozostawało w granicach ścisłej naukowości. Od materializmu zaś życiowego, od szukania zadowolenia i szczęścia jedynie w zewnętrznych warunkach bytu, wybawia umysły głębsze idealizm etyczny Kanta, ze swoim kategorycznym rozkazem, uznającym bezwzględność poczucia moralnego, niezależnie od wszelkich teoretycznych wątpliwości. Więc pomimo materialistycznej nawałnicy, złączonej z okresem naturalizmu przyrodoznawstwa, pozostały niezachwiane zasadnicze podstawy dalszego postępu: uznanie samostnej godności rozumu ludzkiego, oraz poszanowanie dla wymagań poczucia moralnego. Poznanie przyrody oparto na krytyce rozumu i na wypływających z niej zasadach matematycznych, a przytem zarazem nie zaniedbywano głębszych potrzeb ducha, lecz dbano i o ich możliwie pełne zaspokojenie. A jedno i drugie robiono w duchu owych słów, które Kant wypowiedział pod koniec „Krytyki praktycznego rozumu“, a które zamieszczono na jego grobowcu w tumie królewieckim: „Dwie są rzeczy, które napełniają umysł ludzki coraz nowym i coraz większym podziwem i poszanowaniem, im częściej i trwalej niemi się zajmuje: niebo gwiaździste nademną i prawo moralne wemnie!“

Wśród tej pracy analitycznej, dokonywanej dotąd na wszystkich polach życia umysłowego pod wpływem krytycyzmu, nie należy atoli zapominać, że Kant sam wyprzedził myślą swoją dalszy postęp poza najpełniejszy rozwój krytycyzmu. Krytyka, jak widzieliśmy, jest w jego oczach tylko propedeutyką dla przyszłego systematu filozofii, a więc i dla przyszłego ustroju stosunków życiowych, o ile one ukształtować się winny według wymagań rozumu. Tej przyszłości nie mamy prawa się wyrzec, bo jej się rozum nigdy nie wyrzeknie. Przeciwnie, po porywach romantycznych, po naukowem wyjaśnieniu ogólnych pojęć bytu przedmiotowego, wreszcie i po krytycyzmie, rozpatrującym dany stan rzeczy, oraz wzajemny do siebie stosunek podmiotu i przedmiotu poznania, następuje zawsze w rozwoju życia umysłowego dojrzała praca nad jednolitym poglądem na świat i twórczem przekształceniem warunków bytu w jego duchu. Takiej pracy żąda sam Kant, więc się jej nawet i prawowierni Kantyści wyrzec nie powinni, jak to niestety dziś jeszcze po większej części się dzieje. Nadto filozofia Kanta zawiera w sobie tyle czynników, które się do-

magają dopełnienia i wyrównania, że sama wskazuje cele dla przyszłej pracy na polu myśli.

Najważniejszym zadaniem przyszłości, wpływającym bezpośrednio z krytycyzmu Kanta, jest przewyciężenie jego dualizmu poznawczego. Jak w pierwszych zawiązkach nowoczesnej filozofii, postęp polegał na przewyciężeniu metafizycznego dualizmu Kartezjusza między duchem i materią, tak obecnie tylko ostateczne wyrównanie przeciwstawności między podmiotem i przedmiotem poznania zbliżyć nas może o nowy krok do rozwiązania najwyższych zagadnień wiedzy. Kant wykazał jasno różne źródła poznania, określił aprioryczne czynniki zmysłowego poglądu na świat, oraz rozsądku i rozumu, ale kwestyi o stosunku tych czynników do świata przedmiotowego ostatecznie nie rozwiązał. Przestrzeń i czas, kategorie i idee są, według niego, formami naszej umysłowej działalności. Temu też w samej rzeczy nigdy nie będzie można zaprzeczyć, choćby się nawet okazała potrzeba dopełnienia lub zmiany jego szczegółowego poglądu na te czynniki poznania. Umysł, działając, posiłkuje się bezpośrednio pewnymi formami i prawami jemu właściwymi. Form i praw tych nie może dopiero przejmować skądinąd przy pomocy doświadczenia, bo samo przejmowanie jakiegokolwiek treści, więc i samo doświadczenie, wypływa już z owych form i praw umysłu i dokonywa się według nich. Z tego faktu jednak wyprowadził Kant wniosek, będący podstawą jego dualizmu poznawczego, że skoro owe formy są aprioryczne, właściwe samemu umysłowi, *prze to* nie mają charakteru przedmiotowego, i nie mogą nam dać pojęcia o istocie rzeczy, wogóle o tem, czem sami umysłowo nie jesteśmy. A taki właśnie wniosek nie jest wcale uprawniony, bo współczynniki naszej organizacji umysłowej mogą stanowić zarazem i treść niezależnego od nas przedmiotowego bytu, jeżeli je tylko należycie określimy. A wtedy nie będzie wcale owego antagonizmu między podmiotem i przedmiotem, który Kant bierze za punkt wyjścia dla swych dociekań.

Z faktu dowiedzionego przez Kopernika, że ziemia obraca się około słońca, nie wynika bynajmniej, że słońce nie podlega również ruchowi i wogóle tym samym prawom powszechnym świata fizycznego jak i ziemia. Jeżeli tedy umysł nasz jest częścią składową lub objawem ogólnego bytu, o czem wątpić nie możemy, łącząc bezpośrednio nasz byt z bytem powszechnym; natenczas nie naturalniejszego nad to, że jego treść zasadnicza uwydatnia się zarazem i w treści naszej organizacji umysłowej i jej działalności. Organizacya ta nie jest czemś oderwanem od pozostałego bytu, czemś bezwzględnie samoistnem, lecz pozostaje w sposób nieulegający wątpliwości w łączności we-

wewnętrznej z bytem wogóle. Synteza tu jest tedy dana faktycznie, realnie, idzie tylko o jej myślowe ujęcie i zrozumienie. W każdym razie sprawa ta domaga się ponownego, wszechstronnego rozbioru, którego usunąć nie można dogmatyzowaniem dualizmu Kanta. Tu odsłania się przed nami cały szereg nowych zadań, dopełniających jego krytycyzm, tu prowadzi dalsza droga postępu w celu ostatecznego rozwiązania zagadki wiedzy ludzkiej.

Nie mniejszą ma doniosłość dualizm Kanta z punktu widzenia wzajemnego do siebie stosunku teoretycznego i praktycznego rozumu. Kant dowodzi zasadniczej sprzeczności między dostępnym dla nas poznaniem, a wymaganiami poczucia moralnego, jako podstawy naszej życiowej działalności. Jeżeli jednak poczucie moralne, jak przyznaje Kant, jest objawem transcendentalnej istoty bytu w naszej świadomości, to przecież objaw taki ma co najmniej takie same faktyczne znaczenie dla naszej teoretycznej wiedzy, jak objawy świata zewnętrznego, z których korzysta nasza wiedza, biorąc je za podstawę dla swych naukowych wywodów. Co więcej, fakt poczucia moralnego, „stanowiska ideału“, powinien mieć dla kantystów, jako fakt, większe znaczenie poznawcze, niż wszystkie fakta świata zmysłowego, gdyż jest bezpośrednijszym wynikiem bytu transcendentalnego, i jako taki, przybliża nas bardziej do prawdy przedmiotowej, niż nasz podmiotowy pogląd na byt zewnętrzny. Więc albo należy wogóle zaprzeczyć doniosłości poczucia moralnego, wogóle idealizmu umysłu ludzkiego, na co by się Kant nigdy nie zgodził i co też sprzeciwiałoby się danym dziejowego rozwoju ludzkości; albo też należy posiłkować się niem, jako faktem, dla naszego teoretycznego poglądu na świat. Dualizm Kanta w tym względzie również nie jest uzasadniony, domaga się tedy także krytycznej rewizji. A rewizja ta naprowadza na szereg nowych badań i zagadnień, które zaznaczają dalszy pochod myśl i w kierunku coraz pełniejszego wyłączenia wszelkich sprzeczności z naszych poglądów na świat i życie.

Dopiero gdy myślicielom uda się przezwyciężyć te sprzeczności Kanta i jego dualizm poznawczy zastąpić harmonijnym, syntetycznym monizmem, dopiero wtedy krytyka spełni w zupełności owo propedeutyczne zadanie, o którym mówił sam Kant. Ale też dopiero wtedy rozpocznie się na dobre dojrzała praca konstrukcyjna umysłu ludzkiego nad wzniesieniem świątyni prawdy. A za nią pójda świątynie piękna i dobra!

Oto dalekie perspektywy na przyszłość, łączące się bezpośrednio z imieniem Kanta w sto lat po jego śmierci. W miejsce dotych-

czasowych nawoływań powrotu do Kanta, nadeszła pora do wygłoszenia hasła nowego: „Naprzód wraz z Kantem!”

Niech o tem nie zapomina młode pokolenie dojrzewających myślicieli, bo tu odsłania się nowe pole do rzetelnej pracy, do zasiewu i żniwa, w miejsce jałowego przeżuwania dobytków przeszłości!

HENRYK STRUVE.

A gdy w głąb duszy wnikiemy...¹⁾

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

XXXIII.

— Ta dziewczyna już kilka razy tu była! — mówi pokojowa, pomagając Ance układać rzeczy.

Anka obróciła właśnie obraz, przedstawiający Piotruškę, i pokojowa prymitywną swą artystyczną naturą odrazu poznała, iż to jest „ta dziewczyna“.

Na dworze szare, dżdżyste przedpołudnie letnie, nagle zimne i prawie jesienne.

Anka pakuje rzeczy machinalnie. Czuje, iż po wczorajszej scenie dłużej tu być nie może, nie powinna. A przecież nie wie, gdzie ma iść na razie, gdzie się podziąć. Cała jej energia życiowa prysła, zginęła pod wpływem dni ostatnich. Zatraciła również w sobie swą zdolność do samej analizy, która pozwalała jej orientować się w trudnościach życia. Potęga faktów spada na nią, jak stado drapieżnego ptactwa. Nie umie sobie poradzić. Nie wie, co począć.

Zbiera jednak swoje ubogie rzeczy i postanawia opuścić willę. Przechyla się przez okno, aby spojrzeć raz jeszcze na grzędy narcyzów, rozmodlone w ciszy. Pod drzewami widzi chodzącego niespokojnie Jana. Depcze żwir alei i patrzy w jej okno. Spotkał się z jej wzrokiem. Wita ją smutnym, gorączkowym uśmiechem. Widocznie spędził noc bezsenną. W jego wzroku jest dziwny jakiś wyraz. Anka

¹⁾ Patrz zeszyt wrześniowy, str. 433; — październikowy, str. 16; — listopadowy, str. 240; — grudniowy str. 464 (1903); — styczniowy, str. 37; — lutowy, str. 226; — marcowy, str. 455; — kwietniowy, str. 39; — majowy, str. 221; — czerwcowy, str. 474.

cofa się w głąb pokoju. Rzecz dziwna — zaczyna lękać się spotkania ze Stalewskim!..

— Dlaczego pomiędzy nami zaszła jakaś zmiana! — myśli — dlaczego, zamiast spokoju, ulgi, w chwili zbliżenia się coś w nas się szarpie, niemal boli.

Rzeczy są spakowane. Obrazy złożone, jak stos ofiarny.

— Tak będzie najlepiej! — myśli Anka.

Kładzie szybko kapelusz i zwraca się do pokojowej.

— Pójdę za mieszkaniem! — mówi — po południu przyjadę po rzeczy!..

— Czy panienka nie wróci na obiad?

To proste zapytanie przejmuje Ankę nagłym przestrawieniem.

Przypomina sobie wczorajszy wieczór, to wrażenie przepaści, w którą zapadła, i aż drżenie przebiega jej ciało.

— Niel.. Niel.. — mówi trwożnie, wybiegając z pokoju.

Na dole spotyka Stalewskiego.

Skinęła głową i biegnie do furtki.

Lecz on podąży za nią szybko i zatrzymuje ją przy kracie.

— Dokąd pani idzie? — pyta zmienionym głosem.

— Ja?..

— Ja pani powiem. Pani chce się od nas wyprowadzić? Co?..

— Tak!..

Za rękę ją pochwycił.

— Niech pani tego nie robi! niech pani tego nie robi!

Poddał pod jej spojrzenie swoją twarz, na której noc bezsenna jeszcze jedna w szeregu) położyła swą szarą, postarzałą pieczęć..

— Niech pani tego nie robi!

— Muszę!..

I nagle z ust jego wybiegło zdanie fatalne, biedne, nieszczęśliwe..

— Ona panią przeprosi!..

Jakież to było marne, jakie smutne, jakie płaskie! Rozdzwoniło się, jakoby powiedzenie szewca, interweniującego pomiędzy swą żoną i kochanką.

A przecież ono musiało być wypowiedziane mimo protestu, jaki się rozkrzyczał w chwili rzucenia tych słów w przestworze.

Subtelność duszy Anki wyczuła całą nędzę tego „przeproszenia“. Inaczej ludzie nie umieli pomiędzy sobą załatwiać buntów i protestów, jakimi nagle się roztrącili na życiowej ścieżce. I Anka w tej chwili współczuła ogromnie nędzy Jana, który musiał zwrócić się do

tę „załatwienia“, aby wymódz na niej pozostanie pod tym dachem, którego, bądź co bądź, żal jej było opuszczać.

Więc z całą łagodnością ogarnęła go smutnem spojrzeniem swych oczu przejaskrawionych.

— Ja tu nie mogę zostać! — powtórzyła z wielką melancholią.

Do nóg jej przytuliły się grzedy narcyzów i błękitnych niezabudek. I na te kwiaty spojrzała łagodnie z miłością pożegnania.

— Ja tu nie mogę pozostać..

Za furtkę ujęła ręką, którą wysunęła z dłoni Jana.

— Cóż się ze mną stanie? — posłyszała ciche pytanie.

A w tem pytaniu mieściły się całe zbudzone światy.

Nie odpowiedziała nic. Otworzyła furtkę i wyszła na drogę. Lecz w duszy uniosła te światy i rozjaśniać się w niej zaczęła przyczyna niepokoju, która nią szarpała.

.

W willi tymczasem ku drzwiom pracowni skradała się Stalewska. Odziana w kaftanik biały i narzucony pled, szła cicho, jak kot. Zwolna nacisnęła klamkę, drzwi ustąpiły. Widziała przez okno Jana rozmawiającego z Anką. Ona do pracowni szła. Chciała zobaczyć, co się dzieje z nowym obrazem męża.

Bo ona znała Dzieło, widziała je raz szybko, gdy, wspiawszy się przez balustradę, zajrzała do wnętrza pracowni. Było wtedy zaledwie podmalowane, ale ta linia kobieca tak silnie i potężnie, a mimo to w pełni sentymentu łącząca się z równią przesmutną, utkwiała jej w pamięci. Nie zrozumiała, o co chodziło. Nie czuła zupełnie własnie owej poezji linii i całej potęgi cudownej ścisłości, w jakiej Dzieło zostało stworzone. Ona widziała ogromne płótno i przypuszczała, że z tego może coś być.

— Tylko czemu takie czarne, takie szare!.. Jak karawan! Tego nikt nie kupi. Niechby ta kobieta miała choć maki we włosach i rosły zboża... Rozjaśni to znakomicie — muszę mu poradzić.

Lecz do porady nie przyszło. Stalewski zamykał pracownię, unikał rozmowy. Stalewska, rada z wyjazdu Anki, postanowiła ową „poradę“ odłożyć na czas swego własnego powrotu ze wsi od matki.

— Zapytam go wtedy, kto mu pozował — myślała, kręcąc głowę — prawdopodobnie jednak miał fotografię jaką, albo dawne studium i zużył. Choć to dziwne, że draperyi nie było na podium, nawet na manekinie... Chyba, że codzień na nowo drapował.

Tak przywykła do twórczości męża „z natury“, iż snuła rozmaite kombinacje techniczne według dawnego szablonu.

Pokojowa doniosła jej, że Anka kazała pakować rzeczy.

Szczere uczucie radości przejęło Stalewską.

— No... dzięki Bogu! — pomyślała — wszystko jeszcze nie stracone. Niech ta wariatka tylko stąd się wyniesie, a ja odzyskam nad Janem moją dawną władzę. Z tego wielkiego płótniska zrobi się jeszcze coś możliwego i wpakuje na zakupno do rozlosowania. Już moja w tem głowa. A powoli Jan powróci do dawnego trybu życia. Chodzi teraz o to, aby nie zmarnować tego, co przez te parę dni, porwany jakimś bezrozumnym szaleńcem, w samotności klecił.

Jak kot skrada się Stalewska ku pracowni.

I gdy przekonała się, że drzwi niezamknięte, doznała uczucia tryumfu.

— No... dzięki Bogu! zobaczą i ocaleją!

Wchodzi, lecz zdumiona zatrzymuje się na środku pracowni.

Z wielkiego „płótniska“ ani śladu.

Tylko stalugi ogromne stoją, wyciągnięte na środek. Tu i owdzie walają się nieoczyszczone palety. W misce mokną pędzle. Cała pracownia pełna pyłu, prochu, meble porozstawiane, zwędłe bukiety powypadały z wazonów.

— Co on z tem zrobił? co on z tem zrobił? — myśli, łamiąc ręce, Stalewska.

I nagle wypada z pracowni.

W sieni spotyka się z mężem.

— Byłam w pracowni... — mówi urywanym głosem — sądziłam, że zastanę tam arcydzieło. A tu pustka!.. Więc nic nie robiłeś przez te dnie, które tutaj spędzałeś zamknięty?..

Stalewski nic nie odpowiada.

Na kołkach wieszadeł szuka swego kapelusza. Widocznie chce wyjść z domu. To przyprowadza Stalewską do ostatniej rozpaczki.

— Więc nic nie masz na sprzedaż? — pyta, zastępując mu z determinacją drogę.

— Nie mam! — odpowiada cicho Stalewski, który, znalazłszy kapelusz, szuka teraz wyjścia.

— A...

Stalewska chce zapytać o to duże płótno, szare i smutne, ujrza-
ne przez okno, lecz wstydzi się przyznać, iż usunięta z pracowni, podglądała, jak służyła, przez okno.

— No... więc cóż będzie?

Stalewski unika spojrzenia w jej twarz natrętą.

— Z czem?

-- Z ratą za wille!

— Nie zapłacimy.

Płomienie biją na twarz kobiety.

— Jak? co?.. może jeszcze mamy stracić to, co włożyliśmy?

— Może.

— Człowieku! zastanów się!.. Ciebie coś opętało! A dzieci nasze? Chcesz z nich porobić żebraków?

— Pójdą o własnych siłach...

— Nie! nie!.. tego już nadto!..

Chciała złością zionąć w stronę Anki, chciała zawołać, iż zakazuje tej dziewczynie pokazywać się tutaj więcej, skoro wpływ jej, który przeczuwa, wnosi taką destrukcję w tak pracowicie zlepioną przez nią sytuację. Lecz jakiś instynkt ostrzega ją, iż nie należy już poruszać wprost tej kwestyi, która może się stać rzeczą, decydującą w rzeczach głównych. W mgnieniu oka postanawia sama tę sprawę rozwiązać.

— Powiem jej, żeby się trzymała zdaleka od niego, zagrozę...— myśli, cofając się z miną zdetronizowanej królowej do swoich pokoi.

Zamykają się pomiędzy nimi drzwi tak, jak wczoraj wieczorem, i każde z nich już z uczuciem ulgi myśli, że pozostało samo!

.

Około gmachu wystawy przesuwa się Anka zamyślona, smutna. Nie obliczała drogi. Szła do Zakładu, do ojca, i natknęła się nagle na rozwichrzoną gromadkę „młodych“, strzegących obecnie gmachu, w którym za godzin kilkanaście nastąpi otwarcie Wystawy ich dzieł.

— Zagrodzka!.. jak się macie?..

Z fantazyą opadają ją „szalone Julki“ z „Sieci“ Kisielewskiego. W pelerynach, beretach są komiczne i rozgorączkowane.

Jedna z nich, której brawura polega na używaniu sprośnych wyrazów i nazywaniu rzeczy po nazwisku, uderza Ankę po ramieniu:

— Serwus Madonna! Ależ byczą macie wystawę! niech was pies całuje. Wszystko g...uziki przy was...

Anka płonie całą. Przyjmuje podane dłonie. Chce jednak uciec jak najprędzej.

— Tak? Cieszę się, że wam się podoba.

— Chodźcież do sał. Zobaczycie! Dali wam honorowe miejsce. Środek waterklozetu!.. Po Malczewskim. Jak Boga kocham.

- Tem lepiej.
- No, chodźcie!
- Nie mogę, śpieszę się.
- G...uzik! Popijemy trochę później...
- Nie! nie! idę do ojca... do chorego ojca.
- Stary poczeka, a wy przecie musicie zobaczyć swoje Dzieło...

Jazda, bo porwiemy za giczalę i jazda na salę.

Anka energicznie oswobadza się od „Julek“. Zanim przyzwały na pomoc kolegów, już jest daleko. Dziwne przejmują ją uczucie na myśl, że ma stanąć przed Dziełem Stalewskiego. Nie dla tego, iż w tej chwili pozornie stroi się w cudze pióra, lecz dla tego, że...

I tu się urywa możność jej wyczucia, o co właściwie jej chodzi, co paraliżuje po prostu jej wolę w tym kierunku. Czy lęka się, że ta cała jej siła, jaką zużyła celem zbudzenia głębin duszy Jana, nie była dostateczna, i czy teraz ona, Anka, nie będzie odpowiadała za ten brak, za to niedociągnięcie duchowe, które się ujawni w dziele artysty?

Ludzie już mówią o niem, że jest „bycze“, ale to niczego nie dowodzi. Ona sama musi temu dziełu spojrzeć w oczy i pozostać z niem sam na sam. Czem drgnie jej dusza? Czem?

Z tem usposobieniem wchodzi na próg Zakładu. Machinalnie omija pokój odzwiernego, kieruje się na kurytarz, na który wychodzą drzwi od pokoju jej ojca.

Niema nikogo. Cisza zupełna. Wielka, bezbrzeżna cisza. Słychać świergot wróbli w ogródku zakładowym. Anka dochodzi do drzwi pokoju ojca.

Puka — z wewnątrz dolatuje cichy jęk.

Otwiera drzwi i wchodzi.

Przez zapuszczoną storę płyną cienkie strugi słoneczne na ziemię, na sprzęty rzadkie i pod ściany przysunięte. Zagrodzki leży w łóżku pod kołdrą. Jest blady jak kreda, a na tej bladości jakaś ziemista szarość nadaje mu tę cechę ludzi, „ziemią przysypanych“. Usta ma jednak spalone gorączką, oczy błyszczące patrzą na wchodzącą Ankę.

Dziewczyna zatrzymuje się przy drzwiach. Nie wie, czy może się zbliżyć. Chory może dostać napadu szału. Może rzucić się na nią, zadusić.

— Wo...dy!.. — jęczy Zagrodzki.

Anka instynktownie szuka wzrokiem szklanki. Znajduje blaszany garnuszek wysoko, na piecu. Po krześle zdejmuje... Wody nigdzie niema, ale na kurytarzu są krany. Anka wybiega, napełnia garnuszek, wracając pociska guzik dzwionka i zbliża się do ojca.

— Wo...dyl..

Anka delikatnie podnosi biedną, wymęczoną głowę i podaje choremu wodę. Zagrodzki przelyka z trudnością kilka kropel i opada na poduszki. Anka zapomina o niebezpieczeństwie, o napadach szału, widzi tylko nędzę i ból. Chce poprawić ojca, podsunąć go wyżej. Lecz zaledwie go dotknęła, chory z jękiem niełudzkiem drzeć cały zaczyna. Na ustach jego pojawia się krwawa piana.

Anka, przerażona, cofa się i blednie, jak chusta.

— Co ci jest, ojcze? — pyta zmartwiałym z przestrachu głosem.

On nic nie odpowiada, tylko drży i jęczy cicho, jak małe dziecko chore, które skarży się jeno takim jękiem przestraszonym.

Drzwi otwierają się, pokazuje się w nich głowa posługacza.

— Pani dzwoniła?.. a czego?..

— Pan chory! Proszę zawołać doktora.

— Pan doktor był rano. Jak będzie czas na lekarstwo, to ja podam.

— Pan krwią pluje.

— Musiał se język przykąsić. Oni to potrafią!

Zbliża się wolno i ciężko w stronę łóżka.

Chory umilkł zupełnie.

Nic jednak nie zdoła opisać wyrazu przestrachu, jakim przyoblekła się jego twarz zboląła.

— Niech pani odejdzie, bo może pani zrobić co złego!.. — upomina ją grubijańsko posługacz.

Porywa ze stołu serwetkę i zabiera się do otarcia śliny krwawej z ust Zagrodzkiego.

Ankę przeraża myśl, że ta ręka straszna, brutalna, płatna, ma zbliżyć się do jej ojca w takiej ciężkiej chwili.

— Ja to zrobię! — mówi, uprzedzając ruch posługacza i lekko, delikatnie przesuwa swą chustkę po ustach szaleńca.

— Idźcie po doktora!.. — rozkazuje stanowczo.

W tej bowiem chwili powzięła zamiar nie oddalania się od ojca i pielęgnowania go, choćby narażając się na najgorsze niebezpieczeństwo.

Posługacz wychodzi, zamykając drzwi z łoskotem.

Anka pochyła się ku ojcu,

— Czy poznajesz mnie, ojcze?

Dwie szklane tafle oczu ma przed sobą. Poza niemi pustka. Dom myśli opuszczony. Może tam w głębi coś pracuje.

— Czy poznajesz mnie, ojcze?..

Nagle ręka jedna chorego dźwiga się i oto zaczyna drząc zakreślać powoli jeden gest.

I był to ów jeden gest, przesmutny, szary gest, gdy wstawał smutny świt ponad tragiczny siew...

Anka cofnęła się, jakby ugodzona w serce.

Poznała swój gest siewcy, rozrzucającego w próżnię ziarna życia.

— Przestań, ojczel męczysz się... przestań!

Lecz on wciąż tą ręką wyschłą, drżącą, brudną i biedną zakreśla półkole marnotrawcy, który rozrzuca swą własną duszę na ugór próżności i ułud. Męczy się, krople potu mu występują na czoło. Męczy siebie i córkę, która stoi przed nim pobladła i przejęta chłodem.

W oddali ktoś się zaśmiał, ale cicho, lekliwie. Poszedł ten śmiech wzdłuż ścian kurytarza, zastukał lekko po drzwiach cel i rozplynął się w oddali.

A był to nie śmiech ludzki, lecz jakby struny się rwały na przedziwnej wioli, którą duchy z łoskotem rzucały w przestrzeń ni to bezużyteczną im zabawkę.

Rwały się struny i lekliwie zajęły, niby radośnie, że tracą mus oddźwięku, a ile w radości tej było żalu, na to nie starczy w ludzkiej mowie słów, jeno starczy w ludzkiej duszy takich samych pękających strun...

Drzwi otwarły się zwolna, jakby niechętnie.

Wsunął się doktor.

Dziś nie miał widocznie ochoty do wyrzucania ze siebie przekonania o konieczności dojrzałości politycznej. Wszedł z brwiami zmarszczonemi, udając wielkie zaaferowanie.

— Właśnie miałem pisać do pani — wyrzekł, podając Ance rękę — ojciec pani coś nam słabuje.

— Ojciec jest bardzo chory. Oto krew, która mu z ust płynie.

Twarz lekarza pociemniała, gdy spojrział na chustkę Anki, poznaczoną krwawymi plamami.

— Tak... tak... — wyrzekł szybko — ojciec pani uległ wczoraj przykremu wypadkowi. Po odejściu pani dostał ataku bardzo silnego, upadł... i o kant stołu... złamał sobie żebro...

Twarz Anki zmieniła się tak bardzo, że lekarz nie mógł znieść wyrazu, który się na tej twarzy odmalował.

— Wszak prawda?.. tak było?.. — zapytał, zwracając się do posługacza.

Ten człowiek wsunął się za lekarzem i teraz stał przywarty do szarego tła ściany, rosły, silny, straszny, jakby zdeterminowany na najgorsze, co człowiek w bezprawiu popełnić jest w stanie.

— Tak było proszę pana dyrektora... o! tu pan Zagrodzki upadł, o ten kant złamał sobie jedno ziobro, my go chcieli podnieść, on znów się cisnął o stołek i złamał drugie ziobro...

— Widzi pani, tak było...

Nie patrzą na siebie lekarz i posługacz, mówią, błędząc oczyma po ścianach, jakby lękali się spotkać oczami w pół drogi.

Lecz Anka wyczuwa kłamstwo, wyczuwa, że ci ludzie pokrywają się wzajemnie, że jeden z nich uczynił krzywdę, a drugi, dla własnego interesu, kryje tę krzywdę, kłamiąc strwożony i niepewny.

Wzrok Anki od tych ludzi zwraca się ku ojcu. Obejmuje tego w pół trupa, tak srodze zdręzionego losem mu przeznaczonym. Jego milczenie, jego wzrok szklany ma w sobie tragiczność tak ogromną, że ludzkie serce pomieścić jej nie może.

Lekarz czuje, co się w myśli Anki przewija. Podejrzenie i przecucie zbrodni. Chce uspokoić ją, usnąć niejako.

— Rano było konsylium... Wezwałem kilku kolegów. Badaliśmy go sumiennie. Na razie niema niebezpieczeństwa. Komplikacje jednak nie są wykluczone... Zapalenie płuc... Ale proszę! niech pani będzie spokojna, my czuwamy. Moi ludzie doskonale obchodzą się z chorymi, jak z własnymi dziećmi. Ja za nich odpowiadam.

Nabierał powoli pewności siebie. Lęk widoczny Anki przed sformułowaniem zarzutu strasznego, przejmującego grozą, dodawał mu odwagi.

— A zresztą... jeśli pani nie ma do nas zaufania, to może pani ojca zabierze. Ja się temu nie sprzeciwiam, choć uprzedzić muszę, iż w obecnym stanie poruszenie i przenoszenie chorego jest zabójcze... Lepiej więc, że pozostanie tutaj... pod naszą opieką...

Widoczne było, iż sam nie wie, co począć z chorym. Lęka się wydać go z Zakładu, gdyż skonstatowanoby fakt złamania żeber i staranoby się dociec przyczyny, lęka się także śmierci pacjenta w Zakładzie w skutek owego złamania. W równej bezradności stoi i Anka. Niepewność co do przyczyn katastrofy z jednej strony skłania ją do wydarcia ojca z tej mordowni, myśl zaś, że, przenosząc go, zabić go może, przejmuje ją dreszczem.

Opuściła ręce i z oczu jej płyną dwie strugi łez. Szare światło dnia srebrzy te łzy, które, gorące, na suknię cieką i palą, jak krew, z pod serca dobyta.

— Raz jeszcze proszę nie obawiać się. My czynimy wszystko dla dobra naszych pacjentów... my...

A Anka przed owe strugi łez spogląda w źrenice lekarza.

Jest to jedna tylko chwila, jedna z takich chwil, w których przegląda się całą tajnię duszy człowieka.

Słowa mrą na ustach doktora, czuje, że jest bez tajemnicy na chwilę jedną, że ta płacząca kobieta widzi go takim, jakim jest w rzeczywistości.

— Pan jedno pozwoli! — mówi Anka -- ja tu zostanę przy ojcu...

— We dnie tak, lecz w nocy to niemożliwe. Gdy nadejdzie chwila stanowcza, wtedy zrobię wyjątek.

— Chwila stanowcza?

— No... powinna być pani na wszystko przygotowana. Ja nie wiem nic. Ale... mogą zajść komplikacje...

— Ciszej, na miłość Boga! On słyszy!

Lekarz ramionami wzruszył.

— Słyszy... ale nie pojmuje. Niech pani spojrzy!.. Ciągłe jeden gest...

— Tak... i to właśnie... Ja sędzę... ja wiem, on wykonywa go z całą świadomością, on czuje.

— Co znowu, ręką po prostu kreśli półkola... rzuca coś w przestrzeń... sieje...

— Tak... tak... rzuca coś, sieje! Niech pan mi wierzy... to z głębi, z duszy, z jej głębi ten gest, ta myśl...

Lekarz kurtuazyjnie przyświadczył.

— Może... w szaleństwie właśnie ujawnia się to, co w głębi duszy drzemało.

Z niewysłowionym bólem Anka spojrzała na ojca.

— I to najstraszniejsze, że... że...

Potarła ręką czoło. Lekarz przez grzeczność badał.

— Że co?

— Że to ja wywołałam tę głębię... ja... sama wskazałam mu tym gestem nicosć jego życia... ja...

Lekarz przyglądał się jej uważnie.

— Pani jest strasznie zdenerwowana. Należy się uspokoić, trochę bromu.

— Nic, nic, ja tu zostanę do wieczora, potem przyjdę raniutko. I proszę o jedno.

Zawahała się.

Wzrok jej z trwogą pobiegł w kierunku, gdzie stał posługacz.

— Proszę o innego dozorcę do pielęgnowania.

— Owszem... owszem... — zgodził się pośpiesznie lekarz. —

Marcin i tak miał odjechać dziś na wieś na czas jakiś. Dam pani innego posługacza, doskonałego człowieka, który obchodzi się z chorymi, jak z własnymi dziećmi.

Marcin spojrział raz jeszcze w stronę Anki i czarne jego oczy zamigotały dziwnie z pod brwi ściągniętych.

Stał chwileczkę, jakby się wahał nie wiedząc, co począć ze sobą, wreszcie wysunął się za drzwi.

I pozostało po nim tylko wrażenie, iż przeszła tędy straszna zbrodnia, że przeznaczenie położyło tu swą pieczęć krwawą ręką tego człowieka, ręką, wiecznie wygiętą, jakby gotową do podnoszenia wielkich ciężarów i ciskania ich o ziemię.

XXXIV.

Od obiadu powstałi oboje nie jedząc nic, zacięci w fatalnem, upartem milczeniu.

A przecież jakaś nitka kompromisu wiła się pomiędzy nimi — kompromisu, w którym oboje mogli zatracić godność własną, dla pewnych koniecznych im celów.

Stalewska, namyśliwszy się, postanowiła zmienić system postępowania. Przyjęła to jako fakt, że mąż jej „wziął na kiel” i na jakiś czas „sfiksował na punkcie artyzmu“. Zastanowiwszy się głębiej, przyszła do przekonania, że jest to faza przejściowa, która musi minąć, i że trzeba to wszystko rozumnie i umiejętnie przeczekać.

Skoro się tylko dobrze i z dobrego punktu zabierze do rzeczy, wszystko powróci do dawnego stanu.

— Trzeba jednak, ażeby odzyskała nad nim mój wpływ — myślała, siedząc przed toaletką — wpływ moralny i fizyczny, inaczej nie dojdę do niczego.

Ta kobieta umiała z nadzwyczajną zręcznością zawracać z miejsca bez użycia bata. I teraz nakreśliła plan postępowania, który mógł ją doprowadzić do celu.

Przedewszystkiem postanowiła pozbyć się Anki i wiadomość, że Anka kazała pakować rzeczy, napełniła ją radością. Należało jednak pozbyć się Anki „d o b r z e“ i grzecznie. Nie wiadomo, na co się jeszcze Anka w życiu przydać mogła, a potem Stalewska czuła, iż wypędzając Ankę niejako z domu, traci moralnie w oczach męża i pozwała Ance zająć wyższe stanowisko.

— Wykażę mu powoli nicość jej wpływu. Przecież podczas owego flirtu z tą głupią dziewczyną nie namalował nic porządne-go. Gdyby rzeczywiście sama była genialną, natchnęłaby go czemś

mogącem zaimponować ludziom. Przy mnie to, co tworzył, miało uznanie i zrobiło go sławnym, a więc...

Z największą starannością ubrała się, uczesała, upudrowała.

— Przez ażurowe koronki do duszy -- myślała, śmiejąc się do swej postaci, odbitej w lustrze, która nadzwyczaj lubieżnie zaróżowiała paskami ciała biały muslin delikatnej, wykoronkowanej sukni.

Obiad przeszedł w milczeniu. Puste miejsce Anki widocznie smutno oddziaływało na Stalewskiego. Na stole pojawiły się kwiaty. Śliczny mak różowy, pełny, świeżo zerwany, w obramieniu kłosów. Stalewski patrzył na nich, na puste krzesło i chmura smutku mu powlekała rysy.

Raz jeden tylko zdziwiony spojrzął na żonę, gdy ta zapytała pokojówki:

— Czy panienka na obiad nie przyjdzie?

— Nic nie mówiła! brzmiała odpowiedź.

— Schowajcie obiad dla panienki i niech będzie ciepły, gdy panienka wróci.

W myśli brzmiało tam: panienka nic tu jeść nie będzie... i pójdzie stąd precz sama... już ja w tem jestem... ja!..

Gdy powstano od stołu, Stalewska zwraca się ku mężowi:

— Może kawę wypijemy w ogródku?

Mówi tak, jak matka, która, wygniewawszy się na syna za jakieś złe postąpienie, uprzejmie go do łaski przywraca. Umiejętnie przygotowała sobie grunt zatroszczeniem się o „panienkę“. Jest doskonałą znawczynią mężczyzn. Wie, że on pochwyti skwapliwie tę sposobność, aby jej dobre usposobienie dla „panienki“ nadal utrzymać.

— Dobrze! — odpowiada istotnie Stalewski i kieruje się do ogródka.

Za chwilę siedzą w altance. Ona ładnymi gestami ślicznie wytresowanej gospodyni domu nalewa kawę do maluchnych ślicznych filiżanek z „krajowego fajansu“. On zapalił cygaro i patrzy na delikatne kielichy powoi, które się zamykają kolejno senne i wyczerpane.

— Zapomniałam ci powiedzieć — mówi Stalewska — że dzieci kazały cię ucałować i upieścić. Zostawiłam je zdrowe, wesole i uradowane z pobytu na prawdziwej wsi, Luluś obiecał napisać w imieniu całej gromadki. Będą ładne kulfoniki, ale niedługo Luluś lepiej będzie pisał od nas obojga!..

Umyślnie rzuca imię najstarszego chłopaczka, którego Stalewski kocha najbardziej. Przytem, mówiąc o dzieciach, Stalewska doku-

mentuje bardzo umiejętnie silny i nierozzerwalny węzeł, jaki ich dwoje łączyć powinien.

— Luluś — ciągnie dalej — objawił nagle na wsi nadzwyczajną zdolność do rysunków. Węgłem na ścianie w piekarni narysował nader udatnie krowę i pewne nierogate zwierzę. Nie mogłam wyjść z podziwu... Coś nadzwyczajnego!

Kłamie i czuje, że Stalewski nie wierzy temu kłamstwu. Zaczyna więc z innej nuty.

— A ja... muszę cię przeprosić! — mówi, składając ręce i przybierając wyraz, z jakim pozowała mu do szeregu świętych panien i męczennic. — Przeprosić za... moje zdenerwowanie... Tak! tak!.. rozumieć wybornie, iż każdy artysta musi mieć chwile wyczerpania, znużenia, i że wtedy musi odpocząć!

Stalewski spojrział na nią wyniosłe.

— Mylisz się... nie jestem wyczerpany. Przeciwnie.

— Tak!.. tak!.. pośpieszyła Stalewska — może źle się wyraziłam. Słowem potrzebujesz, aby cię pozostawić w bezczynności dla tego, abys nabrał silniejszego oddechu, ażebyś mógł z tem większą mocą pracować.

— Źle mówisz... pracować... Naucz się raz nie traktować mnie, jak rzemieślnika.

— Więc jakże mam mówić? Tworzyć? malować? komponować?.. Sama nie wiem.

Oczy jej migotały.

Zapanowała jednak nad sobą.

— Powiedz... — wyrzekła z przymileniem — czy źle wyczuwam stan twojej duszy?

Nie odpowiedział jej nic, tak szarpnęło nim to zapytanie sztuczne, wymuszone, wymęczone niemile.

— Bo wierz mi, Janiel.. — brzmiał znów głos grzechotki—nikt cię tak nie zna i nie odczuwa, jak ja! Prawda? Powiedz sam. Powiedz!.. Tyle arcydzieł przeżyliśmy razem. Wszystkie one są mi drogocne... i musisz przyznać, że coś tam w nich jest ze mnie... No... no.. przyznaj!

Położyła mu rękę na ramieniu i dyszała cała blisko masą różowego ciała, błękitem oczu, złotem ślicznie ufryzowanych włosów.

— I stworzymy jeszcze nie jedno!.. — ciągnie dalej uspokajająco. Twoje rozdrażnienie przeminie... Ja już urządzę tak, że o b s t a l u n k i, które mogłeś mieć obecnie, nie miną cię. Uproszę, a ludzie poczekają. Kto wie, może nawet dadzą zadatki, w ten sposób wypłaczymy się z kłopotu.

Porwał się z miejsca i zaczął krążyć po altanie.

To słowo „zadatek“ podziałało na niego, jak uderzenie szpicruty. Ta kobieta chciała go poprostu zaprzedać znów w niewolę straszłą i upokarzającą.

— Nie pozwalam ci brać zadatków! — zawołał wreszcie, stając przed nią.

— Dla czego? Wszak brałam nieraz...

— Tak! ale teraz, to, co zrobię, mogłoby się nie podobać...

Jej oczy zamigotały, jak u wilczycy.

— Och! — roześmiała się sztucznie — jaki ty jesteś zniechęcony. Wątpisz w siebie?

— Właśnie, że zaczynam ufać.

— A mówisz, że mogą nie przyjąć twojej roboty, że może się niepodobać?

Chciał jej wytłómaczyć, chciał jej wyjaśnić, że właśnie dla tego, iż dzieło jego może nie znaleźć uznania ogółu, może on, twórca, odzyskać wiarę, iż może stworzyć prawdziwe Piękno, lecz gdy spojrział w bezdenną a przewrotną i sprytną głupotę jej błękitnych oczów, uczuł, że powinien milczeć.

Bo słowa jego odbiłyby się jak powiew wiosennego wiatru, pełnego woni ciepłych pól i łąk, o ścianę nagiej skały, sterczącej jednak, czy w zimowe chłody, czy wtedy, gdy na zagonach szmaragd trawy czarująco jaśnieć zaczyna...

Ku drodze wzrok posłał, skąd spodziewał się nadejścia Anki.

Wymadlał ją ku sobie z oddali i myślą odtwarzał smukłość prześliczną jej sylwetki, chód jej hieratyczny, sposób noszenia drobnej, małej główki. W tej chwili tęsknił za nią samą, za Anką, nie za jej słowem, nie za jej wpływem...

Ciało o różowym połysku, przeświecające przez koronki, przedstawiało mieć swą dawną moc magiczną. Rozsnuwał się inny czar...

Stalewski wciąż na drogę patrzył.

Stalewska odczuła ten wzrok. Kobieta odtrącana zaczęła w niej grać obrażoną dumą. Ogarnęła jednak rozpaczem spojrzeniem tę śliczną willę, wdzięczając się przechodniom, ogród — tę dumę i możliwość imponowania innym — całe swe „stanowisko“ dotychczasowe i oceniła, że warto poświęcić nie jedno. Rozmyślała, jak rozpocząć rozmowę, gdy wtem przed furtką zjawił się chłopiec, roznoszący dzienniki. Pomiędzy sztachety wsunął jeden z numerów dziennika, który miał pod pachą i pobiegł dalej.

Stalewski podszedł i dziennik wziął w rękę. Widoczne było, iż, czytając go, chce zabić czas, lub odgrodzić się od żony. Nagle twarz jego zmieniła się. Szczególny wyraz zmieszania i radości rozjaśnił

jego piękne rysy. Wpatrywał się uparcie w krótką notatkę, zajmującą niewiele miejsca w kronice miejscowej. Stalewska, uważnie śledząca męża, podchwyciła tę zmianę jego twarzy. Powstała, zbliżyła się ku niemu i przez jego ramię czytać zaczęła:

— Wystawa młodych wre od przygotowań. Jutro ma nastąpić uroczyste otwarcie. Byliśmy w możności przebiez sale, w których młodzi artyści rozlokowują swe dzieła. Pomiędzy wieloma śmiesznymi i pretensjonalnymi płodami, z których niejedne potracają o demencyę, jest parę nadwyzczaj śmiałych, silnych i wspaniałych dzieł. Nie będziemy niedyskretni, gdy powiemy, że królujecie potęgą wielkiej młodości i tym porywem skrzydeł słonecznych dzieło panny Zagrodzkiej. To maj, to wiosna, to siła niemal żywiołowa i tylko na taki rozmach mogła zdobyć się nieopatrna młodość, sądząca, iż się nigdy nie wyczerpie... Podziwiać należy i głąb dzieła, które...

Stalewska usta aż do krwi przygryzła.

— Napisała sobie sama reklamę — szepnęła wreszcie — uprzedza publiczność jeszcze przed otwarciem wystawy. Szkaradna reklamarka!

Umilkła i chciała powrócić na dawne miejsce, lecz oto, spojrzawszy na męża, dostrzegła, iż oczy jego przysłoniła jakby mgłą wilgotna.

— Mogła dodać, że jest twoją uczennicą... — szepnęła, jakby zbита z tropu, bo czuła, że dzieje się tu jakaś rzecz niezwycajna, piękna po nad wszystko, że Jan w tej chwili czuje coś więcej nad zwykle zadowolenie nauczyciela, którego uczeń tryumf odnosi.

I to stało się dla niej niezrozumiałe, dręczące i przykre, bo nie wiedziała, nie rozumiała przyczyny. Wstała i cicho odeszła w głąb willi, pozostawiając męża, wpatrzonego przez łyzy w kronikarską wzmiankę.

— Dzieje się coś! — myślała — czyżby pomiędzy nimi zaszły rzeczy tak daleko...

Nadszedł wieczór.

Anka nie powracała.

Stalewski siedział ciągle w altanie, wpatrzony w drogę, która z jasno blond powoli zmieniała się w szarą, coraz ciemniejszą wstęgę. Ta marna wzmianka, napisana stylem reporterskim, byłaby sprawiła mu szaloną radość, przyznając mu siłę, moc, twórczość młodzieńczą, gdyby stało się to w innych okolicznościach. To, do czego dążył co niedawno żarło go i gryzło niepewnością, a teraz nagle wykwitło przed nim kwiatem szczęścia, mogło dać mu pełną radość już tylko w połączeniu z obecnością Anki, obecnością nie tylko duchową, ale i fizyczną, która dla niego stawała się treścią jego życia.

Tęsknota, niepokój, mąciły mu blask niespodziewanej radości.

Jej nie było!..

Stanął u celu, przekonał się, że jest nim siła twórczości niezależnej, głębszej, która ma w sobie nawet nieopatrzność młodości. Życie jego sponiewierane, życie niewolnika, wprzęgniętego w chomonto pajaca „uznanego“ artysty, stawało nagle nie u progu świątyni, lecz w samym jej wnętrzu, u białych ołtarzy, a przecież...

Jej nie było!

Szła noc, szła wielka, ciemna, lekka i ciepła, jedna z tych nocy, które prześnił na jawie o niej, wiedząc, że tam, niedaleko, jest ta, która mu istnienie miłosiernie wyciągniętą dłonią lepszym i przyjaźniejszym czyni.

Szła noc, jedna z tych, które złączyły ich oczy i tajnie ich dusz, brylantami tkaną nicią wielkich, przeczystych milczeń.

Szła noc ciemna, a która jasną jest od prawd i piękna, rozsnutego z dusz ludzkich w cieniu, wydających jak kwiaty najpiękniejsze swą treść chmurą woni, ku gwiazdom na szafirze rozpiętym.

I ogarnął go nagle smutek przeogromny, taki smutek, który dla wi zwycięzców, gdy staną u szczytu i spojrzą dokoła siebie, a poznają, że są s a m i.

Bo jej nie było.

.

Nad ranem Stalewska, która przeleżała całą noc bezsennie, dojrzała, iż Jan porwał się wcześniej z łóżka i odziewa się z pośpiechem.

Nie zapytała go, gdzie idzie, usiadła na łóżku i zadzwoniła na pokojową.

Wydała rozkaz przyspieszenia śniadania i sama wstawać zaczęła.

— Słuchaj! — wyrzekła uprzejmym tonem do Jana — nie wiem, jak postąpić z panną Zagrodzką. Chciałam, żeby u nas nadal pozostała. Jednak...

Odwrócił się ku niej pytająco.

— Jednak po tem, co się stało... — ciągnęła dalej, nakładając flanelowy peniuar, nie mogę kompromitować domu jej obecnością.

— Dlaczego?.. — gorączkowo zapytał.

Widoczne było, iż rozjaśnił się nadzieją utrzymania Anki pod swoim dachem.

— Dlatego... — podjęła znów Stalewska — że ta panna prowadzi się fatalnie. Nie nocowała w domu. Gdzie była?..

— Przedwczorajsze twoje zachowanie się wypędziło ją po prostu.

— Ol.. ol.. co znowu! Miała wrócić. Mówiła do pokojówki, że wróci. To zupełnie co innego. Ona pewnie oblewała powodzenie swego obrazu z tą bandą błaznów i błaznic... Musieli się bawić do białego dnia po swojemu... Ale to w porządnym domu jest niemożliwe, i dla tego sądzę, że nie będziesz mi miał za złe, gdy, pomimo litości nad nią, będę zmuszona poprosić ją, by...

Szerokim gestem wskazała przestwór, który ukazywał się poza oknami, z których właśnie okiennice opadły.

Stalewski blady, zmieniony, szybko ku żonie postąpił.

— Sądzę, że się mylisz! — wyrzekł — Anka nie potrafi zapomnieć się do tego stopnia.

— Ach! mój drogi, wszak ta panna jest młodą, wolną, ma usposobienie cygańskie i...

— Nie, nie. Tu zaszło co innego. Ojciec jest chory...

— Nie nocowała przecież w szpitalu...

— Kto wie. Pójdę się dowiedzieć. Pójdę po nią.

Z gardła Stalewskiej chciał się dobyć krzyk: „nie idź! zakazuję ci.” lecz jeszcze nie chciała stawiać wszystkiego na jedną kartę.

— Czyń, co chcesz! — wyrzekła głucho. — Pamiętaj jednak, co jesteś winien mnie, jako żonie i matce twoich dzieci.

Spojrzał na nią przeciągle i nic nie zdołał opisać i zanalizować tego spojrzenia, które zawarło w sobie tragiczną treść jego życia.

XXXV.

Na kurytarzu szpitalnym do ściany przytulił się Jan. Stoi i czeka na Ankę, o której wie, iż od rana jest już przy ojcu.

Od rana!

Lecz gdzie była przez całą noc! Czy Stalewska miała słuszość? Czy wtedy, gdy on, strawiony żarem, czekał, aby rozległ się jej lekki chód na żwirze ogrodu, ona w taką noc ciepłą, czarowną, z bandą wyrostków trawiła czas i siły duchowe? To byłoby potworne, to byłoby straszne, a przecież kto wie, czy tak nie było! Podejrzenie gad straszny. Niezna nawet słowa: niemożliwość. Ogarnia i umożliwia wszystko...

Ciche otwarcie drzwi i Jan widzi, jak ku niemu idzie wreszcie Anka blada, przezroczyście prawie. Idzie swym ślicznym chodem, który fale sukni jej roztacza po dywanie, wyścielającym kurytarz. Zbliży się i czerń głęboką oczów utkwiała w jego twarzy, a on ma ochotę ryknąć płaczem z bólu, upaść przed nią, do kolan jej się tulić, taka mu w tej chwili nadzwyczaj potrzebna i konieczna do życia. Stała już przy nim, nie mówi nic, nie pyta, tylko patrzy.

— Byłem niespokojny o panią... słyszy Stalewski swój głos i nie wie nawet, czy to właściwie on mówi, tak cały zmienił się we wzrok i nim chłonie tęsknotę swoją.

— Nic mi się nie stało — odpowiada Anka — jestem przy ojcu. Nocowałam w hotelu.

Patrzy na nią badawczo.

— Dlaczego nie wróciłaś do domu?

Ona, zdziwiona, mierzy go wejrzeniem.

— Do jakiego domu? Ja przecież nie mam domu.

— Do mego!..

— Pana dom nie jest moim domem.

Sposępniał, pot mu występować zaczął na czoło olbrzymimi kroplami.

— Tak, prawda...

Z wysiłkiem teraz mówić zaczął:

— Wszystko się układa... dawny stan rzeczy może powrócić...

Nic panią więcej nie spotka... nic... Proszę... wróć pani do nas:

Anka czuła, jakby jakiś opar niezdrowego mokradła wznosił się ku niej powoli.

— O tem nie może być teraz mowy. Ojciec chory...

— Czy w nocy czuwać masz przy ojcu?

Rzucił jej to pytanie prawie brutalnie. Ona cofać się zaczynała w głąb siebie niepewna i jakby zziębnięta.

— Nie... ale... willa wasza daleko... Muszę być na zawołanie lekarzy... ojcu może się nagle pogorszyć.

— To wybiegl..

Teraz już nacierał formalnie na nią aż drżący ze wzruszenia, które nim wstrząsało.

— Wybiegl!

Anka otwarła szeroko czyste swe i precudne źrenice i wpatrzyła się w twarz mężczyzny.

— Dlaczego Pan t a k do mnie mówi? — spytała wreszcie niskim, zmienionym głosem.

Opamiętał się i złożył ręce jak do pacierza.

— Nie... nie... Ja już t a k mówić nie będę. Tylko... Anko.. posłuchaj. Nie można, nie należy zostawiać mnie teraz samego. Co pocznę, sam nie wiem. Zbłądzić mogę. Jeszcze jestem niepewny...

Anka przymknęła oczy. Ten człowiek zwracał się do niej znów po siłę, jak do życiodajnego źródła. Czy była w stanie mu teraz dodać otuchy i mocy?

— Teraz... nic dla pana uczynićbym nie mogła.

Podchwycił jej słowa.

— Teraz... a więc ja zaczekam, aż przyjdzie dobra i odpowiednia chwila. Ale twoja obecność wystarcza, twoja droga obecność... słyszysz, Anko?..

Głos jego był tak pełen czegoś niezwykłego, jak pełen ciepła jest dzień skwarny lipcowy. Gorącą falą opłynął ten głos całe ciało Anki i rozwibrował jej nerwy nieznanym jej dreszczem.

Przerażona, cofnęła się i przytuliła ręce do ust, jak dziecko, gdy widzi przed sobą otchłań zawrotną.

On wyczuł tę jej trwogę i z tą intuicyją, którą posiada każdy, opanowany namiętnością, człowiek, bez przewrotnej chęci uczynił na miejscu rodzaj zwrotu, dość szczęśliwie pomyślanego.

— Anko! twoja obecność duchowa, twoje czyste, dobre tchnienie, które ku mnie płynie, jak promienie słońca, i moją zbiedzoną du-

szę w przebogatę piękno stroi... I patrz... patrz... oto twoje dzieło! Tyś przemożnym twym wpływem sprawiła, że we mnie ocknęła się druga młodość i bije dziś już niepowstrzymanym prądem w wyż... Patrz!.. czytaj!..

Febrycznie wyjął dziennik ze wzmianką o Dziele i pokazał go Ance.

— Czytaj!

Wzięła w rękę gazetę i szybko przebiegła wzrokiem. Na bładą jej twarzyczkę wypłynął czarujący uśmiech radości i tryumfu. Wyraz nieufności znikł. Wyciągnęła ręce ku Janowi i była znów tą Anką z dni walk jego i smutków, która, oparta o okno pracowni przed masą szafiru i gwiazd, w głąb jego duszy melodią srebrną swego głosu wnikała, i o zardzewiałe kraty, poza którymi uwiązł smutny duch jego, łopotem rozchwianych swych skrzydeł biła...

— Jak dobrze!.. jak to dobrze!.. — wymówiła wreszcie, gazetę mu oddając.

— Anko!., powrócisz?.. Widzisz, co przy tobie mogę, bez ciebie zginę.

— Nie! nie! Jesteś pan już dość silny. Pójdiesz teraz sam.

— Anko! ja wiem, co mówię. Zginę!

Bał się patrzeć jej w oczy, aby nie wyczytała w jego oczach coś więcej, niż chciał, aby wiedziała.

— Zginę wtedy, gdy wreszcie ocknąłem się i znalazłem swą drogę... Anko!.. Wrócisz?

Przypomniała sobie Narbutta i jego słowa, wyrzeczone tam, w redakcyi.

— A gdy wnikniesz w głąb tych dusz, co dalej z niemi zrobisz?

Milczała chwilę, wreszcie z całą prostotą zwróciła się ku Janowi.

— Wróć! — wyrzekła cicho i serdecznie.

.

Nie wróciła jednak, bo stan Zagrodzkiego pogarszał się ciągle. Zebra złamane wbiły się w płuca, wywołując zapalenie. Anka uprosiła lekarza, że pozwolił jej zająć mały pokóik przy celi odzwiernego. Tam, nie rozbierając się, na sofie trawiła długie, bezsenne godziny. Rankiem biegła do ojca. Napisała do Jana kartkę, zawiadamiając go, że nie może przyjść, gdyż stan jej ojca przechodzi okres

bardzo niebezpieczny. Kilkakrotnie Jan zjawiał się w szpitalu, lecz Anka nie opuszczała pokoju ojca ani na chwilę. Zostawiał tylko duże pęki kwiecica, które Anka kazała zanościć doktorowi, pragnąc go ująć czemkolwiek. W Zakładzie panowała w skutek choroby Zagrodzkiego pewna konsternacja i Anka czuła, że wszyscy odnoszą się do niej, jak winowajcy wobec pokrzywdzonego. Opieka lekarska była do przesady staranna i nieszczęśliwy starzec konał, jak księżę udzielny.

Było to powolne gaśnięcie lampy życiowej o pękniętych kryształowych ścianach. Tragiczna maska twarzy przybierała chwilami już wyraz marmurowej statuy, którą zmyły deszcze i w którą waliły pioruny, a grad siekł bez litości najmniejszej.

Szklane oczy, na wpół otwarte, wlepione w jeden punkt, zaciągały się powoli bielmem, i tylko czasem coś zamigotało, jakby utajona pod powieką łza.

I ciągle ta ręka, z wysiłkiem siejąca fikcyjne ziarno z monotonią straszną, nieubłaganą, bezustanną.

Anka znalazła raz u odźwiernego bilet wizytowy Stalewskiej. Żona Jana z nadzwyczajną umiejętnością życiowej równowagi, zrozumiała, iż, czyniąc ten krok, zyska sobie znakomitą przewagę nad mężem. Zarzuciła więc wstawki koroukowe i powabne szlafroki, natomiast rozwinęła swe dyplomatyczne zdolności wytresowanej w szkole życia, a dziwnie przebiegłej kobiety. Złożywszy bilet, udała się prosto do jednej z redakcyj, w której pleśń roztaczała się nietylko na murach odwiecznego lokalu, lecz głównie i wybitnie na mózgach starych współpracowników. W tym przybytku nieprzewietrzanym, w którym „lufcik na Europę“ był zabity gwoździami, a wszystko, co trąciło „nowością“, przyjmowane było groźnym pomrukiem kołtunów, rozlubowanych w polityce miejscowej i bombach piwa, pani Stalewska miała wielu przyjaciół i zwolenników. Z szumem i brzękiem zanurzyła się strojna dama w cuchnącą sionkę i znikła w niej na czas jakiś. Gdy wyszła, miała minę rozradowaną i tryumfującą. Umyślnie przeszła około gmachu Wystawy, gdzie rano właśnie dokonano się otwarcie Wystawy Młodych. Chwilę zawahała się. Chciała wejść, lecz na wschodach dostrzegła Narbutta. Stał, patrząc w ziemię, bladej był i zmieniony. Choć nie miał miny brutalnego pogromcy, Stalewska postanowiła unikać z nim spotkania.

— Przyjdę jutro... po artykułiku, który im podwatowałam swoim wpływem — pomyślała z jadowitym uśmiechem — poznają, co może żona Pajaca... zerzedną im miny!

Mimowoli obejrzała się raz jeszcze na śmieszny gmach, podobny do przygodnych pawilonów jakiejś miasteczkowej Wystawy powszechnej. Uczyniła to bezwiednie i sama zirytowała się na siebie za

ten brak taktu. Pocieszyła się, iż Narbutt patrzył ciągle w ziemię i nie widział jej. Doznała wrażenia, jakby przechodziła koło otwartego grobu... Zionęło mogiłą.

— Ten ma minę samobójcy! — pomyślała z niesmakiem.

Dla niej samobójstwo było szczytem złego wychowania i braku taktu.

Po południu Zagrodzkiemu nagle zrobiło się lepiej. Lekarze wiedzieli doskonale, iż jest to zwodnicze i chwilowe polepszenie, wyzyskali je jednak na swoją korzyść, aby Ankę od łóża ojca oddalić.

— Niech pani się przejdzie... niebezpieczeństwo minęło, uależy dla pani zmienić choć na chwilę tok myśli. Inaczej, wyczerpana, czuć pani nie będzie mogła.

Anka czuje sama, iż siły ją opuszczają. Przytem jest w kłopotach finansowych. Drobiazgowość życia rzuca się na nią z zajadłością hydry i dławi ją. Musi starać się choćby o chwilową pożyczkę, zanim z majątkiem ojcowskim zrobi się jakiś ład i porządek. Na razie jest bez pieniędzy. Zbiera wszystek zmysł, mogący ją oryentować w takiej chwili. Powtarza sobie, iż walka z przeznaczeniem jest konieczną tragicznością życia. Do walki tej staje nieuzbrojona, staje jednak pomimo wszystkiego.

Pozostawia przy ojcu dawno znaną z dobrej strony służącą, którą odnalazła w zaułkach przedszpitalnych, i sama wychodzi w ruch, gwar, wir, smutny i ciężki do zniesienia.

Idzie wśród ludzi prawie martwa, kierując się ku ulicy, przy której mieszka jeden z adwokatów, trochę jej znanych. Chce zasięgnąć rady, zanim list, wysłany do opiekuna, przyniesie jakąś odpowiedź.

Koło tramwajów, jak stado os drobnych, krążą mali kolporterzy pism codziennych. Migają płatkami szaremi w słońcu. Cienie drzew plantowych, z pod których biją silne zapachy kwiatów, przepelniających kosze klombów, dają chwilowy przytułek tej obdartej gromadce. Gdy pojawi się nowa postać, z cieni lekkich rozbiega się nagle ćma szarych motyli, o skrzydłach białych płacht, pokrytych paciorkami druku. Cienkie głosiki wywołują sensacje dnia:

— Wystawa młodych!.. Pornografia tryumfująca!.. Bezczelne chłystki!.. Naga dusza!..

O uszy Anki obito się tylko: Wystawa młodych! Kupuje jeden numer i chroni się z nim do budki tramwajowej, czekając na nadejście właściwego wozu. Błaznany domek jest pusty. Anka, sama jedna, opiera się o ścianę, bo znużenie jej jest wielkie, i teraz dopiero czuje, jak bardzo jest wyczerpaną.

Z myślą o Janie otwiera dziennik. Szuka artykułu z uczuciem dużego spokoju. Z tej strony przynajmniej już jest pewną, że zwyciężyła fatalność potęgi zewnętrznej. Cokolwiek Jan mówi, już w nim zbudzona Prawda nie zagaśnie nigdy. Znajduje sprawozdanie z Wystawy. Nie spodziewa się wyczerpującej i rozumnej oceny. Czyta jedynie dla tego, iż wie, że Jan czytać te słowa będzie, a w duszy jego nie powstała jeszcze ta wielka doskonałość, która każe mu tworzyć dzieła bez względu na to, co „ludzie powiedzą“.

— To przyjdzie! — myśli Anka — przyjść musi, i tak stał się cud! Ten cud musi powoli wypromienić ze siebie wszystko najdoskonalwsze i zabić choćby najdrobniejszą szpetotę poprzednią. Lecz już same tytuły sprawozdania zastanawiają Ankę.

— Pornografia tryumfująca... Bezczesne chłystki... Naga dusza...

Co znaczy? dla czego?..

Zapomniała, że zemsta jest słodką sensacją. Artykuł ów jest krótki, lekceważący, napisany tonem, jakby rozgniewany silnie za przerwanie mu poobiedniej drzemki nauczyciel, porwawszy dyscyplinę, siekł zacięcie na prawo i lewo! Anka nie poznaje tonu „starych“. Zawsze przybierali sposób wyrażania się wyższych istot, pobłażliwie wzruszających ramionami na szaleństwa dzieci. Lecz zaczęli widocznie wychodzić z równowagi. Rzucali brzydkimi słowy, jakby garściami błota. Odrzucali właściwie i sądzili, że są w swoim prawie.

Zaczynało się robić duszno, strasznie, i Piękno otulało się w skrzydła, które wichur namiętności rozpętanych rozwiewał i złamaniem groził.

Ankę przeszedł dreszcz.

Czyta ten stek wzgardliwych słów i prawie rozumieć nie może. Zapomniała o poprzednich wycieczkach Narbuttów i innych. Widzi, że ktoś, siedząc za biurkiem, drżał z nienawiści i jadu. To, co było w duszach młodych pozbierane ze słońca, oblepiał śliną węża, gotującego się do strawienia czarująco ubarwionego ptaka. Zapowiedział cały szereg takich artykułów. Ten był tylko wstępem.

— Czas już, aby nastąpiła reakcja przeciw tej zuchwalej bandzie, która włazi pokrzywionemi angielską chorobą nogami do świątyni, gdzie do tej chwili kwitła sztuka czysta, wychowana na tradycjach wielkich naszych mistrzów i w kulcie ich swojskie ciepło w łonie mająca. Garstka niedorostków i panien na wydaniu, nie mających poczucia godności niewieściej, rozpycha łokciami szeregi artystów wielkiej miary, stanowiących czoło społeczeństwa. Dość wejść na ową Wystawę młodych, aby mieć pojęcie, do jakiej bezczelności dochodzą dzieci, puszczone samopas. Zналиśmy tych panów i te panie z ich pojedynczych dzieł, i to zналиśmy bardzo mało. Raz dla tego, że są oni wielkimi przeważnie w chwalcie i mowie, a nie w pracy — a powtóre, przyznajemy, że nie interesowaliśmy się nimi, mając coś pożyteczniejszego dla społeczeństwa do załatwienia. Obecnie, gdy zjawili się całą bandą, należy się im odprawa. Śmieszne bazgroty, pretensjonalne mazanki bez żadnego poczucia estetycznego smaku, urągające przyjętym przez ogół zasadom piękna, pochwytnane naleciałości zgniętego zachodu, same gnijące odpadki francuskich nowatorstw, podlane sosem bezczelnej pornografii — oto wynik owego młodego, rozwrzeszczonego niemowlęctwa, rozwieszającego za sztandar podejrzaney czystości pieluszkę. Wystarczy tylko wymienić taki autoportret jednej z panien, biorących udział w Wystawie, aby zrozumieć, jak daleko zajść może aberacja umysłowa tej bandy krzykaczy i samochwalców. Nikt chyba w dziedzinie sztuki, a przynajmniej żadna kobieta, nie zaszła do podobnych granic wyzucia się z własnej godności. Przysłonięcie gazą tej nagiej duszy podnosi tylko lubieżność wyuzdaną tego „dzieła sztuki“, kwalifikującego się do budy jarmarcznej, a nie do świątyni, w której przywykliśmy widzieć czyste, wielkie i piękne dzieła...

Anka złożyła dziennik i rzuciła go w kąć budki.

— Nie będę dalej czytać, jestem i tak zbolala, dla czego dobrowolnie mam jeszcze gorzknieć i dręczyć się złością ludzką.

Przyszedł jej na myśl Jan.

On jednak musi cierpieć... musi trawić się tam, wątpić w siebie i we mnie. Kto wie, sam mówił, że słaby jest i niepewny, może żaluje...

Postanawia pójść dziś, choćby na chwilę, do willi.

— Zobaczę go, podtrzymam, podniosę na duchu — myśli. — Tak uczynić powinienam.

Wsiada w tramwaj i przejeżdżając koło Wystawy widzi, że ze wschodów gmachu schodzi szybko Stalewska. Ubrana prześlicznie, jak pawica roztacza fałdy swej sukni i kapelusz, utkany z mgieł tęczowych, usiany bławatami. Nie ma jednak zwykłej pewności siebie. Idzie szybko, nierówno. Daje znaki przejeżdżającej dorożce. Wskakuje w nią, mówi coś.

Tramwaj przejeżdża i Anka traci żonę Jana z oczów.

.

W gabinecie adwokata, wśród odorczającej woni naftaliny którą w głębi apartamentu nasycają futra pani adwokatowej, siedzi Anka przed uśmiechuiętym grzecznie „mecenase“, który z całą gorliwością postanawia zająć się wydobyciem jej z kłopotów. Jakies dziwne drgnienia przebiegają jego twarz, ozdobioną wspaniałą brodą. Patrzy na Ankę z lubością konesera. Ślizga się wejrzeniem po jej postaci, rozbiera ją widocznie myślą. Wreszcie uśmiecha się i mówi:

— Byłem na wystawie młodych... Zachwycalem się panią...

- A... mojem dziełem?..

— Tak!.. a raczej panią. To wspaniałe. Śmiało, jak na nasz partykularz, ale zachwycające. Wróciłem rozmarzony! Powinna się pani przygotować na straszne napaści. Ale są i tacy, którzy panią bronią. Ol.. „Kuryer“, „Gazeta codzienna“, „Myśl“, „Iskra“ — wszystkie hymny na cześć pani głoszą. Czytała pani?

— Nie!

— To szkoda! Niech pani przeczyta. Nic dziwnego. Ujarzmiła nas pani. Podbiła... druga Fryne... Trudno!..

Przysuwał się, spoglądając ostrożnie na drzwi, z poza których płynął zapach naftaliny.

— Druga Fryne!..

Od piersi dziewczęcych wzdłuż bioder osunął się wzrokiem ku stopom Anki, jak wąż.

Dziewczyna, zmieszana, wstała i kierować się ku drzwiom zaczęła. Pan z piękną brodą, poszedł w ślad za nią.

Zachodzące słońce kładło pomiędzy nimi śliczne złote plamy, drzące jak jesienne liście.

— Nasze panie się krzywią! — wyrzekł już przy portyerze adwokat — spotkałem przed pani obrazem panią Stalewską, która aż była zmieniona z oburzenia. Próbowałem z nią rozmawiać. Nic mi nie odpowiadała. Powinna jednak się cieszyć. Przed pani obrazem był tłok. A potem widziałem, że miała w rękę wszystkie dzienniki, w których są hymny pochwalne na cześć pani... Wszak pani jest jego uczennicą?

— Tak... — rzuciła z wysiłkiem Anka, która nie pojmuje, dla czego przejęła ją jakaś szalona trwoga.

Żegna się i wychodzi.

Czas jakiś błąka się po odludnych ulicach, nie wiedząc, co się z nią dzieje. Zdaje się jej, że spadła na nią jakaś katastrofa, że coś się stanie, co ją zgniecie moralnie. Przypomina sobie, że Jan tam gryzie się słowami krytyki, gdyż właściwością smutną artystów jest wybierać na pokarm godzin samotnych tylko zarzuty i obelgi krytyki, a nie przyjazne, lub wielbiące wyrazy.

— Pójdę! — myśli, jakby tęsknotą przejęta do tych ścian cichych, w których tyle przeżyła ze swą własną duszą i z tym człowiekiem, garnącym się ku niej w swej niemocy i bólu spętanego artysty.

Na moście zapalają już szereg świateł, a te żółte punkty blade są i dziwne tworzą kontrasty z nadzwyczaj silnym jeszcze szafirem nieba, na który wystąpiła złota tarcza księżyca.

Chwilę Anka jest pochłonięta tem niezwykle pięknem ułożeniem się barw i linii. Odżywa w niej malarka, zbierająca wszędzie piękno, w jakiejkolwiek się przejawia formie. Lecz nagłe targnięcie nerwów, które budzi brutalnie istotę ludzką, pogrążoną w odmęcie smutnych dla niej faktów życiowych, a pragnącą choć na chwilę przemieścić się w inne kręgi, przywołuje ją do rzeczywistości.

Idzie mostem i wyczuwa drżenie żelaza, w którym drga, jakby echo drzeń, płynących warstwami ziemi od miasta. Idąc myśli, że nie powinna wracać pomiędzy Stalewskich: że tak każe jej właściwy konwenans życiowy. Lecz silniejsza wola popycha ją naprzód. Wie, że cokolwiek postanowi, pójdzie przecież i nic ją nie ocali od tego, co się ma stać, co się stanie z nieubłaganą konsekwencją.

Gdy otwiera furtkę, i wzrok jej pada na śnieg narcyzów i turkus niezabudek, smutek jej zwiększa się jeszcze. Cicha dusza przyrody, tragiczna dusza rzeczy martwych, witają ją u progu melancholią gasnących przyjaźni. Przechodzi wśród grzęd kwiatów lekko, jak cień. Miłośnicze ku niej się chylą pod jej stopy drobne. Czuje, że w tem powitaniu jest i pożegnanie. Motylem oczy jej przelatują ponad wyrosłe pieściwie turkusy, koraliny i śniegowe biele. Zabiera ich czar ży-

wej kadzielnicy, sadzonej kosztownymi kamieniami, i rozpachnionej o zachodzie słońca...

Idzie prosto ku pracowni Jana. Słyszy głos Stalewskiej. Jest pewna, że mówi o niej, tak głos ten owinał ją nagle przykrym, bolesnym prądem. Do ogrodu wpadają słowa Stalewskiej, lecz Anka nie zatrzymuje się, nie waha. Przeciwnie, przyśpiesza kroku. Naciska klamkę i staje w pracowni.

Na sofie, ponad którą Narcyz na tle zieleni gobelinowej miłośnie patrzy w strumień, siedzi Jan z głową opuszczoną, z twarzą, ukrytą w dłoniach.

Anka nie widzi twarzy Jana, lecz widzi te dwie ręce wpite z rozpazą w srebro włosów, i odczuwa całą tragedję tego ruchu, w którym skamieniał ból zdręzionego człowieka.

Na podłodze, na dywanach, o czarownych, delikatnych deseniach wschodnich, porozrzucane szkice. W pierwszej chwili Anka nie dostrzega, co one przedstawiają. Widzi tylko, że jest ich dużo, niektóre spore i prawie wykończone, niektóre mglisto rozwiane i jakby we śnie tworzone.

Pomiędzy nimi, deptając je brutalnie nogą, Stalewska płomienia, drżąca, sina prawie z napływem krwi do twarzy.

Na odgłos otwierających się drzwi, Stalewska chwilę milknie, lecz, dojrawszy Ankę, jej twarz przybiera wyraz nieokreślonej zaciekłości.

— Proszę... proszę... — woła — w samą porę przybywa bratnia dusza.

I prawie z pięściami rzuca się ku Ance.

— Ty... ty... złodziejko!.. oszustko!.. ty!.. wielka, wielka... cudzą pracą... bezczelna... bezczelna!..

Jan zdaje się nie wiedzieć o przybyciu Anki. Nie widzi nic, nie słyszy...

— Czy myślisz, że ja nie widziałam, jak on malował to obrazi-sko, na którym dziś jest twój podpis?.. O!.. patrz! patrz! tu są szkice!.. znalazłam je, wróciwszy do domu wcześniej, niż ten pan przyszedł z ogrodu. Pochował je starannie, a miał co chować! Hańba! hańba!.. Naga mu pozowałaś! Naga! bezczelna!.. tu, pod moim dachem, o kilka kroków ode mnie...

Kopnęła nogą kilka szkiców. Anka stała bezradna, nad wszelki wyraz smutna i zrezygnowana. To jej milczenie podnieciło tylko gniew Stalewskiej.

— Ach, podlił podlił.. on i ta uczciwa panna, którą z litości pod mój dach przyjęłam — zionęła znowu — znaleźli się, dobrali. Duchy twórczel!.. Wielkie dzieła!.. Nocami pracował, mnie, jako modela, nie

chciał. Z duszy miał tworzyć, a tu... z nagiej bezwstydnicy. A potem za te usługi wynagrodził ją... wynagrodził tem, że swoją pracę jej podarował wtedy, gdy ma żonę, dzieci, obowiązki!.. Podły!..

Z kieszeni płaszcza wyciągnęła kilka dzienników i rzuciła w stronę Jana.

— Masz... czytaj... czytaj, jak wychwalają dzieło panny Zagrodzkiej!.. jej dzieło!..

Nagle zwróciła się ku Ance z tryumfującym śmiechem.

— Ale przeczytajcie sobie i to, co piszą o Fryne... o nagiej duszy... o autoportrecie bezwstydnej panny!.. I wiedźcie, że to ja wam to zrobiłam! Ja wczoraj moim wpływem urządziłam ten artykuł... Ach!.. gdybym wiedziała wczoraj, że to właśnie ten jest obraz, byłabym was inaczej ubrała... wy... wy...

I z przepelnionego śliną gardła cisnęła:

— Pajac i nierządnic!

Nagle powstał Jan i szedł ku żonie straszny, blady, zmieniony. Anka przeraziła się jego wyglądu i czuła, że padnie teraz słowo wielkiej wagi, słowo. nieodwołalne, jak uderzenie katowskiego miecza.

I wymienił Jan to słowo krótkie, fatalne:

— Precz!..

Chwilę zapanowało milczenie i z niego ozwał się głos Stalewskiej:

— I tak miałam iść! Odjeżdżam do matki! Gdy przyjdiesz do rozumu, będziesz wiedział, gdzie mnie i dzieci znaleźć... Jeżeli zaś spodlesz do reszty, mniejsza z tem!..

Skierowała się ku drzwiom wyniosła i bezwiednie majestatyczna. Przystawała panować, bo chwila, którą przeżywała, zbyt wielką była w jej życiu. Stanąwszy u progu, błysnęła raz jeszcze rozpalonemi oczyma.

— A willa będzie do mnie należeć... to jest do mnie i do mych dzieci! Proszę o tem pamiętać. Choćby się ta panna tu rozsiadła, przyjdzie czas, kiedy ja tu wrócę!..

Podniosła gobelin i znikła.

Za chwilę słychać było, jak schodziła po schodkach, otwierała furtkę i wychodziła z ogrodu. Nie zabierając nic, pozostawała niejako prawną władczynią domu, a może miała zamiar przysłania kogoś zaufanego, by rzeczy jej usunął.

Gdy kroki jej na żwirze ucichły, Jan wyprostował się i wyciągnął ręce.

— Nareszcie!.. — wyrzekł z szalonym uczuciem. — Nareszcie! — powtórzył, a na jego zmęczoną twarz wystąpił wyraz pewnego spoczynku.

I równocześnie ku Ance się zwrócił. Ręce jego zakreśliły łuk i wyciągnęły się ku niej. Wykonał ruch, jakby chciał do kolan jej przysiąść, lecz ona zatrzymała go wejrzeniem i ku leżącym na ziemi szkicom się pochyliła. Od kilku chwil bowiem wzrok jej padł na te szkice i ogarnął je przestachem i zgrozą. Anka widziała na nich naszkicowaną ową postać wyniosłą i smukłą tak, jak na obrazie, który Jan jej pamiętnej nocy ukazał, lecz postać ta była naga i zaledwie owiana czarnym, leciuchnym łachmanem przejrzystej draperyi.

Co więcej, postać ta, lubieżnie naga, miała jej rysy, jej kształty wyczute, odgadnięte widocznie w chwilach zmysłowych pożądań, które musiały szarpać istotą tego człowieka z tak wielką siłą, że wywołały dokładną wizję jej ciała... w formie drażniącej i nikiemnej.

Teraz Anka zrozumiała słowa artykułu: „bezprzykładna w dziejach malarstwa zuchwałość, zanik wstydu, Fryne, naga dusza...”. Jan w chwilach namiętności ku niej, przetwarzając ową postać, nadawał jej zwolna rysy Anki, potem jej kształty, drżącą ręką rozszarpywał draperyę, czynił ją coraz więcej przezroczą, różowił ciałem, aż stworzył ją całą tak, jak widział on — widział, brutalnie od żądzy bezprzytomny.

Anka jeden ze szkiców ujęła w rękę.

— Czy taką jestem tam na sali?.. tam, wśród ludzi?.. na obrazie?..

— Och! stokroć piękniejszą! Jesteś sobą, Anko, taką, jaką cię widziałem w snach moich...

Szkic wypadł z ręki Anki.

Ona sama osunęła się na kolana i klęczała tak wśród porozrzucanych na ziemi swych postaci zszarganych, smutnych, odartych z majestatu duchowego Piękna.

On dostrzegł jej smutek.

— Anko!.. — zaczął cichym głosem — Anko! czy masz żal do mnie?..

Milczała.

— Czy uraziłem twój wstyd, nadając memu dziełu twą postać?.. Może masz słusność. Ale, Anko, ja to uczyniłem bezwiednie. Tak to na mnie przyszło... ty stawałaś przede mną całą... niepodzielna... Musiałem!

Milczała ciągle. Pomiędzy nimi zastały się już cienie nocy. Oboje zapadali w otchłań swych przeznaczeń i czuli, że to jeszcze, co mówią, co robią, to jakaś tylko zdawkowa konieczność, którą wypełnić muszą.

— Anko, czy masz żal do mnie?

Ocknęła się.

— Tak! — odparła twardo.

Cofnął się zdziwiony.

— Sądziłem cię silniejszą, inną... nie wiedziałem, iż na dnie twej natury jest podkład niewyzwolonej pruderyi...

— To nie to...

— Więc co?... więc co?..

Podniosła na niego swe wielkie, przeczyste oczy i patrzyła chwilę. Cień zalegał pracownię, oni jednak widzieli się doskonale, tak znali swoje twarze i swoje źrenice.

— Nie dla tego mam żal, że mnie ludzie t a k ą widzą, lecz żeś ty mnie t a k ą widział.

— Wniknąłeś mi t a k ą w głąb duszy...

— Ja wniknęłam ci t a k ą w głąb duszy?..

Przeniknęła go spojrzeniem tak uduchowionem, iż zadrżał pod jego kryształową siłą i nagle zrozumiał, że widział ją głównie oczami zmysłów, i że nie głąb duszy wytworzył jej obraz fatalny i czarów jeno zmysłowych pełen.

I znów zapadło głębokie milczenie.

Oboje czuli, że stało się to niuniknione, że nic sobie nie mają do powiedzenia, bo zasadnicza podstawa ich poprzedniego porozumienia rozbiegła się zupełnie.

Nie była Anka dla Jana dobrym duchem—lecz pięknem ciałem.

Nie kryształna lampa jej słodczy i piękna wewnętrzznego płonęła dla niego w oddali, to raczej różowy blask jej ciała jutrzienką pożądań w nocie letnie rozjaśniał mu drogę.

I oboje uczyli się obcymi dla siebie.

Ona przez jego pożądanie.

On — przez to, że ją pożądał.

Gdy wstała wreszcie z klęczek, odkładając cicho trzymane w rękach szkice, czuła, iż jest wolna i że ten człowiek zatrzymywać jej nie będzie.

On czuł to samo. Bo ten twór nagi, piękny, działający na jego zmysły, był tak daleki od tej Anki, którą miał w tej chwili przed sobą, tak karłał i szpetniał mimo swej potężnej piękności, że Jan odczuł przeogromną nieśmiałość, trwogę, lęk, i zrozumiał, że ku tej Ance obecnej nie może się zbliżyć i pragnąć jej obecności.

A mimo to przeszył mu serce ból straszny na myśl, że ona odejdzie i że nie zobaczy jej więcej.

Lecz nic nie zrobił, aby ją zatrzymać.

Gdy wysunęła się cicho z pracowni, jak cień jasny i lekki, zdało mu się, że uleciała dusza jego.

I chwilę było mu tak, jakby umierał.

A potem, powoli, razem z bolem, przyszło jakieś jakby uczucie ulgi, że wreszcie pozostanie takim, jakim jest w rzeczywistości.

Warstwa zmysłowa, erotyczna, była w nim tak silnie pielęgnowana, tak rozbudzana staraniem Stalewskiej, że jak zwierzę tryumfujące owijać go zaczęła.

Nie przyznał się do tego przed sobą, nie zdołałby określić swego stanu, a przecież było w nim to, kielkowało, łudziło go pozorami rzeczywistego życia.

I gdy padł na sofę z oczyma leż pełnemi, samotny w tym domu niedawno jeszcze roześmianym i bielejącym wśród kwiatów, nie wiedział, za czem najwięcej tęskni i dla czego mu jest tak okropnie.

XXXVI.

— Proszę Wielmożnej Pani...

Za rękaw, za suknię ciągnie Piotruska powracającą ku miastu Ankę.

— A... to ty!

— No... ja. Przychodzę pani podziękować. Ładnie mnie pani ubrała.

Ton, jakim kochanka Wierciaka mówi do Anki, jest już całym światem. Żal, gniew, nienawiść aż zieją z tego ochryplego głosu. Pod latarnią mostu głowa jej tragicznie wysuwa się z pod podartego łachmana. Czuć od niej wódkę.

Anka patrzy na nią z trwogą.

— Co się stało?...

— Co się stało? pani wiedzieć powinna, kiedy pani taka mądra... To się stało, że... że już nie siedzę z Wierciakiem!..

Ostatnie słowa w jęk prawie przeszły.

Anka jednak pomimo wszystkiego nie rozumie znaczenia tego jęku.

— Tem lepiej dla ciebie.

Ręka brudna Piotruśki targa odzienie Anki.

— Tem lepiej?.. — krzyczy dziewczyna — a pani wie, że ja teraz przez niego mało nie zdechnę z żalu? Pókim mu się bić dawała, póty my siedzieli razem i kochaliśmy się... A jakim przez pani durne gadanie mu się postawiła, to wziął uciekać z domu i znalazł sobie taką, co ją wali, jak w bęben... ale ją kocha i do niej się sprowadził.. A ja przez niego, to jak przez ręki... Z żalości to mało nie zdechnę...

Odgarnęła z czoła pasma nieczesanych włosów.

— I to bez panią, bez panią!.. — powtarzała z wściekłością, a zęby jej błyskały, jak u młodej wilczycy.

Anka już ochłonęła.

Oparła się o parapet mostu i patrzyła na Piotruśkę smutnymi oczyma.

— Moja biedna Piotrusiu — wyrzekła cichym głosem -- zdawało mi się, że przecież masz duszę, że nie trzeba jej marnować w takiej poniewierce.

— Moją duszę nie bolało, jak mnie Wierciak zwałił. A moja dusza to właśnie był Wierciak! Czego się pani pomiędzy nas wtrąciła?..

Zionęła wódką w twarz Ance.

— Ty pijesz?

— A ino. Cóż to mi nie wolno? Muszę się czem zalać, żeby za tym drabem oczu nie wyplakać. Piję i z żołnierzami hulam. I to bez panią!.. bez panią!..

Zadławiło ją łkanie.

Kulakami uderzyła się po twarzy i nagle zawyła z bólu.

— Piotruśka!..

Lecz ona nie odpowiedziała nic, jeno porwała się nagle i poleciała w głąb mostu jak szalona, unosząc ze sobą swą straszną rozpacz i ból.

.

Anka pozostała sama.

Na moście snuli się rzadcy przechodnie. Światła, daleko rozsunięte, mgławo oświetlały przestrzeń. Rzeka pod mostem senna i leniwa, snuła się ze szmerem korowodu ogromnych płazów, wlokących się procesyą. W oddali ginęły brzegi, jak ramiona jakiejś mistycznej

potwory, znużonej od więzienia wszystkich objawów niezależności ludzkiego istnienia.

Anka, oparta o parapet, stała nieruchoma, czując w sobie niejako bankructwo tego, do czego dążyła.

Wniknęła w głąb duszy istot, które los ku niej gnał i z jej losem spletał.

Nie chciała przejść koło nich obojętnie tak, jak przechodzą inni, troszczący się jedynie o powierzchowną warstwę tych, którzy obok nich żyją i życiem tem się dławią.

Słowa Narbutta wskazały jej cel, dla którego dusze wyższe, doskonalsze, przeukają w głąb innych dusz.

Nie chciała zabierać z nich tylko światła i linii, i syntezę ich karmić swoje artystyczne żądze.

Chciała dźwignąć je z otchłani, urównoważyć, dać im choć cień pięknego spokoju i zrozumienia prawdy takiej, jaka dla niej prawdą nieskalaną była!

A przecież rozpadło się wszystko w gruzy.

Wniknęła w duszę ojca, i ten w agonii powtarzał jej gest lekko-myślnego siewcy, a kto wiedzieć mógł, jak strasznie cierpiał, uzewnętrzniając tym gestem stan swej zmarnowanej duszy?

Wniknęła w duszę Piotruśki i rzuciła ją na pastwę tęsknoty za tem, co było jej hańbą i najwyższą radością, i treścią jej życia.

Wniknęła w duszę Jana...

Tam, w oddali, czerniała masa willi, smutna i żałobna. Samotny, z rozbudzonem pragnieniem zmysłowej twórczości, zmieszanej tragicznie z porywami ducha — ten człowiek pozostał sam, i targa się, i cierpi...

Więc wszędzie bankructwo?.. Wszędzie?..

Dla czego?..

Anka zakryła twarz rękami. Nie chce widzieć nic, nie chce sły-
szyć szmeru wody, odgłosów, płynących z miasta.

Ona teraz wnika w głąb swej duszy. I chce zrozumieć, dla czego się tak stało? Dla czego bankructwo towarzyszyło jej stale w tem, co powinno było właśnie przynieść najcudniejsze kwiaty w ogrodzie jej życia?

I przez długą chwilę odcięta od zewnętrznego świata, bada siebie z całą surowością sędziego. Bez egoizmu przecież, z miłością najwyższą, z całym zasobem siły, jakie miała na swój wyłączny użytek,

szła z wyciągniętymi rękami ku tym duszom, rozjaśniając blaskiem swego ducha ich głębię..

Blaskiem swego ducha?..

Czy nie to właśnie było przyczyną zła?

Kto wie!..

Czy nie dla tego stało się owe złe i nieuniknione, że Anka przysłała do ich ciemni ze swoją lampą, i chciała, aby oni rozjaśnili się jej wewnętrznym światłem?

Czy nie powinna była raczej zbadać, jakie to światło ich własne uśpione w głębi być może? i czy nie powinna była, zgasiwszy blask własny, starać się rozniecić ich światło osobiste?

A wtedy zrozumiałyby, że każda dusza ludzka, to cały świat osobny, ogromny, tragiczny, ogromnie anielski i ogromnie ludzki.

Ale osobny, odrębny, własny...

.

I przez to, że oświecała w ich głębi tylko te zakątki, które u niej samej jasno płonęły, wydobyla z nich to, co stanowiło ich zło, ich ból, ich nędzę w przeciwstawieniu do jej blasku.

Natomiast to lepsze, kto wie, może to najlepsze i najdawniejsze w ich istocie, pozostało w cieniu.

Bo Anka zapomniała, że każda najnędzniejsza dusza ma w sobie jeszcze cały skarbiec bezcenny klejnotów dobra i piękna, które czekają chwili wyzwolenia, aby zajaśnieć luną przepychu cnót i spokoju.

A na to potrzeba nie starań i siły, lecz często jednej chwili, jednego milczenia, jednego westchnienia, jednego potrącenia skrzydłami anielskości duchowej.

A wtedy nie będzie bankructwa...

.

Z ciężkiem westchnieniem ocknęła się Anka z tego obrachunku, od którego omdlały jej siły wewnętrzne.

Twarz jej blada, zmęczona, zablęśla chwilę bladością oplatka
w mdłym świetle latarni mostowych.

Ręce opadły wzdłuż ciała, jak skrzydła zasmuconego Anioła.

I z wolna, sennie, zaczęła Anka iść ku brylantami światel przety-
kanemu miastu...

GABRYELA ZAPOLSKA.

K O N I E C .

MARZENIA SENNE.

I.

Odrzucenie pierwiastków nadnaturalnych, mistycznych było punktem zwrotnym w nauce o marzeniach sennych. Jałowe spekulacye filozofów ustępują powoli miejsca dążnościom do wytlómaczenia tych zjawisk na podstawie fizyologicznej, ściśle naukowej. W ostatnich czasach zarysowuje się nawet chęć wyodrębnienia pod nazwą oniologii oddzielnej gałęzi wiedzy, poświęconej szczegółowemu rozbirowi licznych zagadnień, które problemat o marzeniach sennych nasuwa umysłom lekarzy i psychologów. Dążność ta w swem urzeczywistnieniu praktycznem napotyka olbrzymie trudności.

Przedewszystkiem trzeba poddać surowej krytyce mnóstwo spostrzeżeń, przyjmowanych dogmatycznie, na wiarę i powtarzanych w każdym niemal dziele, traktującym o marzeniach sennych, powtóre trzeba zgromadzić odpowiedni materyał faktyczny, wolny od wszelkich uprzedzeń lub z góry powziętych założeń. Koniecznym zaś tego warunkiem jest udoskonalenie strony metodycznej badań, przestrzeganie ścisłej obserwacyi zjawisk, posługiwanie się w jaknajszerszym zakresie metodą doświadczalną. Natychmiast jednak rodzi się wątpliwość, czy wobec trudności technicznych, — badanie marzeń sennych doczeka się kiedykolwiek ujęcia w system naukowy, oparty na pewnych i niewzruszonych podstawach, czy usiłowania badaczy w świeżo wytkniętym kierunku nie spotkają trudnej do zwalczenia przeszkody w samej organizacyi człowieka. Przypomnijmy sobie na chwilę owe smutne horoskopy, stawiane przez Kanta psychologii, jako nauce niemal wyłącznie na samoobserwacyi opartej. Niewątpliwie jest ona bezpośredniem źródłem wiadomości naszych o świecie zjawisk duchowych, przyznać jednak trzeba, że stosowana jako metoda badania psychologicznego, nie może nam zapewnić zupełnej ścisłości. Stany świadomości nie są zjawiskami stałemi, na których przez czas dłuższy mogłaby być ześrodkowaną uwaga obserwującego siebie osobnika. Cechuje je ulotność i zmienność, z których ostatnia jest nawet zasadniczym warunkiem życia świadomości. Chcąc poznać bliżej

pewne zjawisko duchowe, musimy je zwykle odtwarzać w pamięci, we wspomnieniu przywracać na nowo do życia. Wobec innych połączeń myślowych, innych warunków istnienia, zjawisko odtworzone zatracą częściowo charakter pierwotny, nabywa cech nowych, kształtuje się w zmienionej postaci. Nadto, jak zauważył Kant, sama chęć obserwowania siebie zmienia bieg wyobrażeń i myśli, które zamierzaliśmy badać. Jeżeli więc samoobserwacja w zwykłych warunkach życia duchowego nie daje rękami ścisłości, to tembardziej spodziewać się tego możemy przy zastosowaniu jej do marzeń sennych, jako przedmiotu badania. Swoją ulotnością i nieuchwytnością przewyższają one wszystkie inne stany duchowe. Przyczyna tkwi w luźnym powiązaniu wyobrażeń sennych i w małej ich łączności z treścią naszego życia świadomego. Nici, które łączą te dwa różne światy duchowe, najczęściej rwą się i niezawsze dają się nawiązać. Stąd też większość snów naszych ginie bez śladu w sferze zapomnienia. Tylko niewielka ich częśćka pozostaje w pamięci, jako blade odbicie świata marzeń sennych. Brak wielu ogniw powoduje w całości obrazu pewne luki, które zapełniamy sztucznie wytworami zwykłej świadomości. Kolejny porządek wyobrażeń sennych, ich wzajemna zależność, będąca wytworem tajemniczej logiki sennego umysłu, ginie często w tych okruszynach wspomnienia lub ulega spaceniu. Zapewne, że w danym wypadku wśród różnych osobników zachodzić mogą znaczne różnice indywidualne, że podczas gdy jedni zachowują o snach tylko niewyraźne, mgliste poczucie, pozbawione określonej treści, inni natomiast posiadają zdolność dokładniejszego ich odtwarzania. Nie zmienia to jednak postaci rzeczy, ponieważ w najwierniejszym nawet przypomnieniu marzenia sennego zacierają się cechy swoiste, jemu jedynie właściwe, a wkradają się bezwiednie, mimo woli naszej pierwiaszki obce, z odmiennego czerpane źródła. Innemi słowy, zupełnie ściśle i wszechstronne poznanie świata marzeń sennych znajduje przeszkodę w naszej organizacyi duchowej, która nakreśliła dość wyraźną granicę pomiędzy stanem snu i czuwania, czyniąc nas niezdolnymi do obserwowania siebie w przebiegu snów. Jasnym jest przeto, że „onirologja“ nie może zdobyć podstawy tak pewnej, jaką posiadają nauki przyrodnicze i pod względem ścisłości swych twierdzeń nie dorówna nawet psychologii.

Ograniczenie to jednak bynajmniej nie zamyka jej w granicach spekulatywnych teoryj. Samoobserwacja bowiem, aczkolwiek niezupełna i niedoskonała, dać może zbliżone do prawdy pojęcie o ogólnym charakterze, formie i treści marzenia sennego, w wielu zaś przypadkach przez odtworzenie krótszego lub dłuższego łańcucha obrazów wskazać nam może, w jaki sposób łączą się one w pewną zaokrą-

gloną całość. Nie dając poznania bezwzględnie ścisłego, samoobserwacya ujawnia wiele szczególnych i znamiennych rysów, właściwych wytworom wyobraźni sennej i odróżniających je od zjawisk duchowych podczas stanu czuwania. Na dalszym planie zarysowują się nowe zagadnienia, ważne nie tylko dla psychologów-teoretyków, lecz i dla lekarzy. Zagadnienia te mają za przedmiot zależność marzeń sennych od czynników fizycznych, wieku, inteligencji, pracy umysłowej, wzruszeń i naodwrot, określenie wpływu marzeń sennych na życie duchowe człowieka, znaczenie ich w powstawaniu i przebiegu chorób nerwowych i umysłowych.

Sprostac takiemu zadaniu nie jest rzeczą łatwą. Należy rozszerzyć zakres badań na ludzi najrozmaitszego wieku, stanu, zdrowia, inteligencji, dokonywać spostrzeżeń w przytulkach, domach poprawczych, więzieniach, klinikach, szpitalach, — objąć niemi różne warstwy społeczne, aby dokładniej ocenić wpływ wielorakich czynników, normujących życie duchowe jednostki. Z drugiej zaś strony, powstaje konieczność udoskonalenia samoobserwacyi, dokonywania jej w warunkach dogodniejszych, więcej sprzyjających naukowemu badaniu. Pierwsza próba poważniejsza w tym kierunku podjęta została przez Maury'go. Autor w pierwszym rozdziale swego dzieła,¹⁾ cieszącego się ogólnem niemal uznaniem, omawia szczegółowo metodę, którą posługiwał się w badaniu własnych marzeń sennych. Udając się na spoczynek, Maury notował skrzętnie wszystkie okoliczności, które poprzedzały wystąpienie snu. Druga osoba miała polecenie czuwać, śledzić wyraz twarzy i ruchy śpiącego, wreszcie budzić go w określonych odstępach czasu. Maury, zbudzony nagle, zachowywał w pamięci żywy obraz marzenia sennego, którego szczegóły zapisywał zaraz do dziennika. Na podstawie licznego materiału, zebranego w ten sposób, Maury przekonał się o istnieniu ścisłego związku pomiędzy marzeniami sennymi i okolicznościami, które zaszły przed snem. Najmniejsza zmiana w ustalonym trybie życia, w przyzwyczajeniach odbijała się żywym echem w treści i charakterze marzeń.

Wątpię jednak, czy metoda Maury'go znajdzie kiedykolwiek szersze zastosowanie w praktyce. Jest ona niezaprzeczenie pewniejszą od innych, ale niestety nader uciążliwą. Najpierw niewiele osób ulega marzeniom sennym tak łatwo, jak Maury, u którego zmruczenie powiek wywołuje szereg barwnych i plastycznych obrazów. Nadto, nie trzeba zapominać, że stały zamiar obserwowania snów własnych stwarza szczególną atmosferę, która wskutek niewyjaśnionego mechanizmu sprzyja powstawaniu marzeń i nie może być bezwzględnie mia-

¹⁾ Alfred Maury. *Le sommeil et les rêves*. IV edit. Paris 1878 str. 2.

rodajną dla zwykłych warunków. Wreszcie spostrzeżenia, otrzymane tą drogą, posiadać będą charakter jednostkowy, trudno bowiem liczyć na rozpowszechnienie tej metody wśród ludzi, osobiście sprawą snu niezainteresowanych.

Szersze zastosowanie może mieć następująca metoda, oparta na pokrewnej zasadzie. Badacz osobiście czuwa przy śpiącym, notuje wszystkie okoliczności, które zwracają na siebie uwagę bądź w zachowaniu się osobnika, podlegającego badaniu, bądź w oddziaływaniu przypadkowych podniet zewnętrznych, następnie budzi co pewien czas śpiącego i wypytuje się, jaka była treść marzeń. W innym miejscu wzmiankowałem już o prowadzonych w ten sposób badaniach Vaschide'a. Metoda ta była również stosowaną przez Marję Calkins i S. Sanctis'a, który zebrał wiele ciekawych spostrzeżeń, dotyczących marzeń sennych przestępców, więźniów, prostytutek, obłąkanych, ludzi nerwowych i zdrowych.

Zasługuje również na wzmiankę sposób zbierania materiału faktycznego przy pomocy kwestyionaryuszów, wypełnianych szeregiem odpowiednich pytań i przesyłanych ludziom różnego wieku, stanu i płci. Pytania uwzględniają najrozmaitsze strony naszego zagadnienia, a więc częstość marzeń sennych, ich wyrazistość, żywość treści, zabarwienie uczuciowe, związek z najważniejszymi wydarzeniami dnia. Na podstawie udzielonych odpowiedzi powstały prace statystyczne Marji Manasein, Heerwagen'a, Jastrow'a, Child'a, Sanctis'a. Prace te posiadają wartość względną. Samoobserwacja dla osób, nie nawykłych do rozważania własnych stanów wewnętrznych, jest rzeczą niezmiernie trudną. Mimo najlepszych chęci, łatwo stać się ofiarą złudzenia. Nadto niewielka częśćka snów, które po przespanej nocy zachowujemy w pamięci, nie może służyć za miarę ich bezwzględnej częstości i za podstawę podziałów statystycznych. Dlatego też Forel¹⁾, omawiając badania Heerwagen'a, nie przypisuje im poważniejszego znaczenia. Przyznać jednak trzeba, że jestto jedyny sposób zebrania większej liczby spostrzeżeń, należy je tylko poddawać ocenie krytycznej i sprawdzeniu drogą innych sposobów badania.

Metoda doświadczalna znaną już była dawniejszym autorom, którzy stosowali ją dorywczo, przygodnie. W pracy Radestock'a²⁾ znajdujemy kilka odpowiednich przykładów, zaczerpniętych z dzieł Scherner'a, Abercrombie'go, Nudow'a. W nowszych czasach systematyczne badania w tym kierunku podjęli Vaschide, Sanctis i psy-

1) Dr. August Forel. *Der Hypnotismus und die suggestive Psychotherapie*. IV Aufl. Stuttgart. 1902. str. 58.

2) Paul Radestock. *Schlaf und Traum*. Leipzig 1879. str. 113.

cholog norweski Mourly Vold. Badacz umyślnie poddaje śpiącego działaniu pewnych podniet, które nie przerywając snu, wywierają wpływ niezaprzeczony na charakter i kierunek marzeń. Podrażnienie zewnętrzne zazwyczaj w postaci alegorycznie zmienionej wnika do umysłu śpiącego i staje się punktem wyjścia nowych wyobrażeń, skojarzeń. W ten sposób oddziaływać można na wszystkie narządy zmysłowe. Sanctis np. kładł pod poduszkę śpiącemu zegarek lub szeptał mu do ucha rozmaite wyrazy ¹⁾. Wrażenia, stąd odbierane wraz z ich zabarwieniem uczuciowem wplatały się, jako poszczególne ogniwa, w łańcuch wyobrażeń sennych i określały dalszy ich kierunek. Ton uczuciowy, towarzyszący wrażeniu, w doświadczeniach tych często przekształcał się w odpowiednie uczucie moralne. Poszukiwania Mourly Vold'a ²⁾, profesora uniwersytetu w Chrystyanii dotyczyły roli, przypadającej w powstawaniu snów wrażeniom dotykowym, mięśniowym i wzrokowym.

Zakres metody doświadczalnej rozszerzyć można i na stan czuwania. W tym celu bezpośrednio przed udaniem się na spoczynek osobnika, podlegającego badaniu, wywołujemy w jego umyśle przykre lub przyjemne stany uczuciowe, zwracamy jego uwagę na pewne wyobrażenia i następnie poszukujemy tych pierwiastków w treści marzeń sennych. Zdaniem Vold'a istnieje ścisły związek pomiędzy wrażeniami wzrokowemi, odebranemi podczas dnia i obrazami, które występują w snach najbliższej nocy. Barwy, widziane bezpośrednio przed snem, zwłaszcza biała i czarna, odtwarzane są bez zmiany lub zjawiają się w barwach dopełniających. Przy pomocy metody doświadczalnej można wreszcie określić wpływ środków chemicznych, jako to santoniny, atropiny, opium.

Wszystkie wymienione powyżej sposoby badania objąć możemy nazwą ogólną metody podmiotowej, ponieważ odwołują się one bezpośrednio do dokonywanej w rozmaitych warunkach samoobserwacyi. Oprócz tego istnieje jeszcze sposób przedmiotowego badania snów. Wiadomo, że każde wzruszenie umysłu ujawnia się nazewnątrż w określonym wyrazie twarzy, układzie rąk, położeniu tułowia. Najszczegółowszy opis nie zdoła wyczerpać tego nieskończenie wielkiego zasobu środków, jakimi rozporządza twarz ludzka dla wyrażenia najsztubtelniejszych odcieni uczuć naszych i wzruszeń. Uczucie i jego

¹⁾ Prof. Sante de Santis. Die Träume. Halle. 1901. str. 226.

²⁾ J. Mourly Vold. Expériences sur les rêves et en particulier sur ceux d'origine musculaire et optique. Referat w „Revue philosophique“ 1896. Nr. 11. str. 542.

wyraz zewnętrzny to całość organiczna, z dwóch różnych pierwiastków złożona. Usprawiedliwionem jest przeto mniemanie, że pewne zmiany, spostrzegane u śpiących w wyrazie twarzy i układzie członków, mogą służyć za oznakę zewnętrzną marzenia sennego i odzwierciedlać poniekąd jego ogólną barwę uczuciową. Jeżeli np. na twarzy śpiącego maluje się przestrasz lub trwoga, możemy przypuszczać, że jest on ofiarą snów przykrych i przerażających. Przeciwnie, wyraz zadowolenia, radości lub śmiechu świadczy o śnie przyjemnym, wesołym. Jeżeli w takiej chwili zbudzimy śpiącego, to przekonamy się, że nasze przypuszczenia były najzupełniej słuszne. Ważną również wskazówką mogą być wypowiedane przez śpiących szeptem lub półgłosem pojedyncze wyrazy lub zdania.

Tak więc metoda przedmiotowa, polegająca na ścisłej obserwacji wszelkich objawów ruchowych u śpiącego, pozwala wnosić o marzeniu sennem wówczas, kiedy posiada ono wybitnie zaznaczoną barwę wzruszeniową. Rzecz prosta, metoda przedmiotowa stosowaną bywa w tych tylko przypadkach, w których łączoną jest możność samoobserwacji. Należą więc tutaj badania zwierząt, dzieci i tych obłąkanych, którzy nie odczuwają już żadnej różnicy pomiędzy światem rzeczywistym i urojeniami własnego umysłu.

Streszczając nasze uwagi przychodzimy do przekonania, że wszystkie opisane powyżej metody nie zapewniają badaniom zupełnej ścisłości i że stosowanie praktyczne połączone jest z dużymi trudnościami. Od badacza wymagają drobiazgowej i wytrwałej pracy, od osobnika, podlegającego badaniu, — szczerości, dobrej woli, nieraz poświęcenia.

II.

Jakkolwiek niepodobna określić, na jakim szczeblu rozwoju filogenetycznego ukazują się marzenia senne po raz pierwszy, to jednak wiele względów upoważnia nas do mniemania, że nie stanowią one wyłącznej właściwości duchowej człowieka. Teoretycznie początek marzeń sennych odnieść można do chwili, kiedy sfera duchowa tak w życiu osobniczym, jak i rodowym, nabywa zdolności odtwarzania wrażeń i łączenia ich w określone związki bez udziału odpowiednich bodźców zewnętrznych. Zdolność ta, która stanowi podstawę wyobraźni odtwórczej, wspólną jest człowiekowi i zwierzętom. Pom

nać więc o analogii, jaka zachodzi pomiędzy snem człowieka i zwierząt, mamy prawo przypuszczać, że i one ulegają marzeniom tylko mniej złożonym, ujawniającym niższy poziom duchowy. Przypuszczenie to, wysnute teoretycznie, zdaje się potwierdzać spostrzeżenia, zebrane przy pomocy metody przedmiotowej. Przypomnijmy sobie ruchy, wykonywane przez śpiące zwierzęta głową, łapami, tułowiem, owo szczyrzenie zębów, stroszenie uszów, znane każdemu skomlenie lub szczekanie psów, cichy, pozbawiony melodyi śpiew ptaków. Najczęściej objawy te są odtworzeniem ruchów i dźwięków, które służą zwierzęciu na jawie do wyrażenia pożądań lub uczuć. Środki i sposoby, w jakie natura wyposażyła pod tym względem zwierzęta są nader rozmaite i liczne. W myśl tego, co powiedziano wyżej o trwałym związku uczucia i jego wyrazu, możemy przynajmniej niektóre z objawów ruchowych, spostrzeganych u zwierząt śpiących, uważać za oznakę zewnętrzną marzeń sennych, które posiadają mniej lub więcej wyraźną barwę wzruszeniową.

Badania zwierząt w tym kierunku są jeszcze skąpe i niedość ścisłe. Ze względu na łatwość obserwacji, największa ilość spostrzeżeń dotyczy koni i psów, które podobno dosyć często ulegają marzeniom. Jeden z doświadczonych obserwatorów życia zwierząt opowiadał Sanctis'owi, że z zachowania się śpiących psów myśliwskich wyczytać można, czy marzą o pościgu za zającem, czy lisem. Być może, fakt ten nie zasługuje na wiarę. Przytaczając go jednak, chciałem zaznaczyć, że oko doświadczone w zachowaniu się zwierzęcia podczas snu może dostrzedz liczne stopniowania i odcienie, odpowiadające całej gamie uczuć, które giną w spostrzeganiu powierzchownem, przygodnem.

Przekroczyłbym znacznie zakres faktów, gdybym kuśił się o bliższą charakterystykę snów zwierząt. Różnica pomiędzy nimi i marzeniami człowieka jest niewątpliwie znaczną, lecz nie zasadniczą. Zdaniem Surbled'a ¹⁾, różnica polega na tem, że sny zwierząt posiadają charakter wyłącznie zmysłowy, podczas gdy marzenia sene człowieka wskazują porządek wyższy, — duchowo czuciowy (psychosensoriel). Prawdopodobnem jest również, że zwierzęta nie zdają sobie sprawy z istotnego znaczenia snów i nie odróżniają ich wcale od rzeczywistych wydarzeń. Cecha ta wspólną jest także ludom pierwotnym, dzieciom i chorym w pewnych postaciach obłądu.

Wyobraźnia odtwórcza, która, jak wiemy, jest zasadniczym warunkiem powstawania marzeń sennych, zaczyna ujawniać swą czyn-

1) Dr. Surbled, *Le rêve*. II edit. Paris. 1898 str. 23.

ność już w pierwszych tygodniach życia ludzkiego. Dziecko cztero-tygodniowe poznaje zdaleka pierś matki i objawia wyraz pożądania. Mając trzy miesiące z radością ku matce wyciąga rączki. Perez ¹⁾ mówi, że raptowne wzdrygnięcia, krzyki, płacz, uśmiech, ruchy, mające na celu jakby schwycenie jakiego przedmiotu, które zauważyć można u śpiącego trzechmiesięcznego dziecka, są odtworzeniem ruchów, które wykonywa na jawie pod wpływem radości, bojaźni, bólu, pożądania. Marya Manasein ²⁾, spostrzegła, że śpiące dzieci sześciomiesięczne śmieją się na głos. O ile w powstawaniu tych zjawisk nie współdziałają czynniki natury odruchowej, mamy tu zapewne przed sobą początek marzeń sennych, których świat zamyka się w ograniczonym kole nielicznych doświadczeń życiowych. Pamięć snów i zdawanie sobie z nich sprawy są nabytkiem znacznie późniejszym, który wymaga już pewnego rozwoju umysłu i ukazuje się dopiero około piątego roku życia. Poczynając od tego wieku, można otrzymać od dziecka wskazówki o treści i charakterze marzeń oraz zastosować do badań którąkolwiek z metod podmiotowych, na samoobserwacji opartych.

Pozwolę sobie przytoczyć rezultat spostrzeżeń Sanctis'a dotyczących 65 dzieci w okresie pomiędzy 6 i 13 rokiem życia. Częstość snów, do których dzieci zdrowe duchowo okazują dosyć znaczną skłonność, znajduje się w stosunku prostym do wieku, do poziomu inteligencji, do temperamentu, wzruszeń i licznych czynników chorobowych. Pod wpływem wzruszeń dzieci, nawet najmniej skłonne do marzeń, zaczynają snić więcej, niż zwykle. Treść snów znajduje się w bardzo ścisłym związku z wydarzeniami, które na jawie budzą największe zainteresowanie się i uwagę dzieci. Pierwsze sny są zazwyczaj bezpośrednią kopią życia codziennego. Przeważają w nich obrazy wzrokowe.

Charakterystyczną cechą marzeń sennych dzieci jest przykra barwa wzruszeniowa, przyjmująca zwykle postać obawy lub strachu. Stwierdzono ją u połowy dzieci, poddanych badaniu. Pamięć snów jest bardzo niedokładną, wszelkie szczegóły ulegają we wspomnieniu zatarciu. W wielu razach z całości obrazu sennego zachowuje się w pamięci tylko jego strona uczuciowa, pozbawiona zupełnie pierwiastków wyobrażeniowych. Wówczas, jako ślad marzenia sennego,

¹⁾ Bernard Perez. Psychologia dziecka. Tłom. Dzierżanowskiej. Warszawa. 1890 Str. 193.

²⁾ M. M. Manaseina. Son kak tret' žizni czełowicka. Moskwa. 1892. str. 228.

pozostaje w umyśle dziecka poczucie czegoś przyjemnego lub przeciwnie, przykrego, strasznego. Oddziaływanie snów na umysł i zachowanie się dziecka podczas stanu czuwania jest krótkotrwałe, przelotne. Dzieci, zbudzone ze snu z wyrazem przerażenia i trwogi, wkrótce odzyskują zupełną równowagę umysłu. Tylko u osobników, usposobionych do chorób nerwowych, zauważyć można trwające dłużej przygnębienie duchowe. U niektórych dzieci występuje t. zw. sen stereotypowy, który polega na powtarzaniu się w krótszych lub dłuższych odstępach czasu jednakowego marzenia sennego, o zabarwieniu najczęściej przykrem. W jednym z moich spostrzeżeń przykry sen stereotypowy prześladował co kilka nocy w ciągu niespełna trzech lat, chłopczyka, nie okazującego zresztą żadnych skłonności chorobowych.

Wogóle można powiedzieć, że marzenia senne dzieci zbliżone są więcej do objawów duchowych na jawie, posiadają większą spójnię logiczną, są dostępniejsze dla zrozumienia i wytłómaczenia, niż niezwykłe splątane i złożone sny ludzi dorosłych. Zdaniem Freud'a ¹⁾, którego stanowisko w sprawie omawianej jest nader oryginalne, lecz zarazem stronne, marzenia senne dzieci są właściwie spełnieniem pożądań i pragnień, które podczas dnia ożywiają ich umysł, lecz nie mogą doczekać się urzeczywistnienia.

Rzecz jasna, że rozwój, któremu z wiekiem ulegają wszystkie władze duchowe człowieka, nie może ostać się bez wpływu na działalność świadomości uśpionej. Wpływ ten jednak nie jest równoznaczny z rozwojem, pojmowanym w znaczeniu stopniowego i systematycznego doskonalenia się tej szczególnej czynności duchowej. Marzenia senne, jako wytwory niecelowe, pozbawione jednolitości i łączności, w wysokim stopniu przypadkowe, nie mogą się rozwijać współmiernie z innymi objawami naszego ducha, nie mogą się kształcić, doskonalić. Gdyby wyrazem doskonałości marzeń sennych miało być logiczne powiązanie składających je wyobrażeń, to moglibyśmy nawet przyjąć, że u ludzi dorosłych zamiast rozwoju następuje pod tym względem cofanie się wstecz. W powstawaniu snów u dzieci czynną jest głównie wyobraźnia odtwórcza, w wieku zaś starszym przeważa działalność wyobraźni wytwórczej, dziwnie wynaturzonej, spazzonej. Sny ludzi dorosłych tylko w wypadkach wyjątkowych

1) Dr. Sigm. Freud. Über den Traum. Grenzfragen des Nerven und Seelenlebens. Wiesbaden. 1901. Str. 316.

odzwierciedlają wiernie życie rzeczywiste. Surowy materiał, który one stąd czerpią, jak zobaczymy później, ulega głębokiej przeróbce. W nowym powiązaniu obrazów ginie najczęściej wszelka spójnia logiczna, a natomiast wzrasta różnica, która zachodzi pomiędzy czynnością umysłu we śnie i na jawie. W miarę wzrostu inteligencji różnica ta stale się powiększa. Człowiek dorosły, w pełni rozwoju władz duchowych, ulegając marzeniom sennym, zstępuje w pewnym stopniu na niższy szczebel ewolucji indywidualnej. Myśl wyzwała się z więzów, które krępują jej bieg samorzutny a które wytworzyły się stopniowo wskutek praktyki życiowej. Myślenie symboliczne, będące jedną z najważniejszych zdobyczy ewolucji duchowej, ustępuje miejsca myśleniu obrazowemu, właściwemu dzieciom i ludom, które posiadają niewykształconą mowę wyrazową ¹⁾.

Wpływ rozwoju intelektualnego ujawnia się najwięcej w treści marzeń sennych, która zwykle przystosowuje się do ogólnego poziomu umysłu. Dziecko kilkoletnie nie będzie np. śniło o zagadnieniach życia lub bytu, które dla jego umysłowości są zupełnie obce. Wskutek zwiększającego się z dniem każdym zasobu doświadczeń, rozszerza się sfera naszego poznania, a wraz z tem rośnie materiał, którym rozporządzać może wyobraźnia senna. Każde wrażenie, każda myśl, która zdołała kiedykolwiek przebiec przez naszą świadomość, stać się może przy sprzyjających warunkach pierwiastkiem składowym marzenia sennego. Dla tego też marzenia senna ludzi wykształconych, posiadających szersze widnokreśli umysłowe, wskazują większe zróżniczkowanie i bogactwo treści, aniżeli sny dzieci i ludu prostego, którego życie duchowe zamknięte jest w znacznie węższych granicach.

Z badań Maryi Manasein wynika, że istnieje prócz tego pewna odpowiedniość pomiędzy stopniem wykształcenia i łącznością snów z życiem bieżącym. Im stopień oświaty jest niższy, tem łączność ta zaznaczona jest silniej. Tak np. marzenia senna ludzi niewykształconych, pracujących fizycznie w 80% odtwarzają pożądaną, troski i zajęcia dnia. Na wyższych stopniach rozwoju tylko 15% marzeń sennych czerpie swą treść z wydarzeń najbliższych. Obliczenia te, oparte na badaniu 37 osób i wykazujące znaczne przeciwieństwo pomiędzy treścią snów inteligentnego człowieka i życiem codziennem,

¹⁾ Władysław Biegański. Zasady logiki ogólnej. Warszawa, 1903, str. 33.

budzą pewną wątpliwość. Jeżeli przez łączność słów z życiem rozumie autorka ściśle i wierne odtwarzanie stosunków rzeczywistych, to przyznać trzeba, że w pełni rozwoju duchowego sny takie należą do zjawisk niewątpliwie rzadkich. Trudno jednak zaprzeczyć, że u ludzi wykształconych poszczególne wypadki najświeższej daty wplatają się bardzo często, jako pojedyncze ogniwa, w całość marzenia sennego, tylko dzięki zmienionej postaci i fantastycznemu powiązaniu wyobrażeń, tracąc właściwe im znaczenie i łatwiej ginąc przed oczyma badacza. Prace statystyczne innych autorów zaznaczają wogóle bliski związek snów naszych z wydarzeniami życia codziennego. Calkins¹⁾ np. na ogólną liczbę 375 snów, szczegółowo zanotowanych, związku tego wykryć nie zdołała zaledwie w 11%. Na mocy własnego doświadczenia powiedzieć mogę, że natężona praca umysłowa, czyniąc sen lekkim, powierzchownym, zwiększa częstość snów i usposabia do odtwarzania w nich wydarzeń najbliższych. W czasie egzaminów śniły mi się najczęściej okoliczności, które zwracały moją uwagę podczas dni ostatnich. Fakt ten potwierdzają badania Vaschide'a, który odnalazł, że związek marzeń sennych z życiem rzeczywistym zależy od stopnia głębokości snu. Im sen jest lżejszy, tem łatwiej staje się oddźwiękiem wypadków, które zajmowały nas w czasie dnia lub bezpośrednio przed snem.

Rozwój umysłowy wpływa nie tylko na treść marzeń sennych, ale również i na ich częstość. Pani Manasein podaje, że wśród ludzi, pracujących na polu umysłowym, liczba nocy wolnych od snów waha się w ciągu miesiąca od 3 do 10. Wśród warstwy pracującej fizycznie, liczba ta wzrasta od 8 do 25.

Częstość marzeń sennych jest prócz tego wynikiem oddziaływania wielu różnorodnych czynników. Nie pozbawioną znaczenia jest pewna skłonność osobnicza do snów, zależna być może, od nieznanych nam bliżej własności mózgu. Jedni, jak np. Maury, śnią zawsze, inni znacznie rzadziej, niektórzy zaś zaczynają śnić dopiero pod wpływem gorączki, zaburzeń organicznych lub niezwykłych wydarzeń. W celu uwydatnienia zachodzącej pod tym względem między ludźmi różnicy, pozwolę sobie przytoczyć tablicę, obejmującą badania statystyczne Heerwagena²⁾ i Sanctis'a.

1) Cyt. w dziele Sanctis'a.

2) Friedrich Heerwagen. Statistische Untersuchungen über Träume und Schlaf. Philosophische Studien V, 1888. Badania te zostały wykonane pod kierunkiem znanego psychiatry Kräpelin'a.

	Heerwagen		Sanctis	
	Liczba osób	Procent	Liczba osób	Procent
Każdej nocy śni	99	24	40	18
Często „	133	33	70	32
Rzadko „	153	38	90	41
Nigdy „	15	3,5	20	9
Odpowiedź nieokreślona	6	1,5	—	—
Ogólna liczba odpowiedzi	406	—	220	--

Z powyższego zestawienia widzimy, że wyniki badań Heerwagena i Sanctisa są niemal jednakowe i różnią się głównie co do liczby osób, nie ulegających wcale marzeniom sennym.

Ze stanowiska teoretycznego przyznać jednak musimy, że obliczenia powyższe posiadają wartość względną i nie odzwierciedlają wiernie istotnego stanu rzeczy. Wielu ludzi rozmawia we śnie, płacze, śpiewa, słowem okazuje wszelkie czynności intelektualne, a mimo to po przebudzeniu się nie zachowuje o tem najmniejszego wspomnienia. Jeszcze jaskrawiej zjawisko to występuje w stanie t. zw. somnambulizmu, w którym śpiący wstają z łóżka, chodzą, uskuteczniają czynności podczas dnia rozpoczęte, a zbudziwszy się ze snu, nic sobie nie mogą przypomnieć. Zdarza się często, że marzenia senne ostatniej nocy, których istnienia początkowo wcale nie przypuszczaliśmy, wylaniają się w umyśle dopiero po pewnym czasie, pod wpływem przypadkowych skojarzeń. Wobec tego rodzi się wątpliwość, czy świadectwo samoobserwacyi, stosowanej w zwykłych warunkach, może stanowić podstawę dla szerszych uogólnień o częstości snów, czy wogóle istnieją ludzie, których umysł podczas snu znajduje się w stanie bezwzględnego spoczynku. Forel odpowiada przecząco i skłania się raczej ku mniemaniu, że we śnie wszyscy ludzie ulegają marzeniom, że są one objawem, tkwiącym niejako w organizacyi duchowej każdego człowieka. Wobec szybkiego zapominania snów, pogląd ten nie jest pozbawiony słuszności. Widzimy więc, że ze stanowiska teoretycznego pojęcie częstości snów niema podstawy ściśle naukowej i jest poniekąd równoznaczne ze zdolnością przechowywania ich i odtwarzania w pamięci. W praktyce jednak, zwłaszcza gdy chodzi o wykazanie różnic, spostrzeganych pomiędzy ludźmi lub o określenie wpływu różnorodnych czynników, którym człowiek w życiu codziennem ulega, ten punkt widzenia zastosować się nie da. Musimy rozważać fakty i zjawiska w tem świetle, w jakim je spo-

strzeża nasz umysł. W nauce o marzeniach sennych krokami badacza nie mogą kierować zjawiska, których istnienie jest prawdopodobne i które wybiegają zupełnie po za granice dostępnego dla umysłu poznania.

Mówiąc o wpływie pracy umysłowej, nadmieniliśmy, że sen powierzchowny sprzyja powstawaniu marzeń. W tym punkcie obserwacya codzienna godzi się z badaniami ścisłemi. Oddawna bowiem stwierdzono, że marzenia najobficiej napływają do umysłu zaraz po zaśnięciu lub w godzinach rannych. Prócz tego zauważono, że w tych okresach snu odznaczają się one szczególną wyrazistością i żywością. Calkins np. utrzymuje, że wyrazistość obrazów sennych występuje najjaskrawiej po godzinie czwartej rano. Jeżeli teraz uprzytomnimy sobie krzywą Kohlschütter'a, wyobrażającą zachowanie się głębokości snu w różnych godzinach nocy, zauważymy łatwo, że umysł śpiącego ujawnia czynność najwięcej natężoną w tym czasie, który odpowiada okresom snu powierzchownego.

W miarę, jak sen staje się głębszym, marzenia senne występują rzadziej, tracą wyrazistość i żywość i dlatego, być może, łatwiej znikają z pamięci. Czy okres snu najgłębszego jest zupełnem zawieszeniem objawów duchowych, — odpowiedzieć trudno. Powołując się na przesłanki metafizycznej natury lub też ze względów teoretycznych, wielu autorów przypuszcza, że mózg ludzki nigdy nie przestaje być czynnym, że marzenia są nieodłącznym towarzyszem snu. Szerze uzasadnienie tego mniemania spotykamy w dziele prof. Serguéyeff'a, który oświadcza, że właściwie niema snu bez marzeń. W kołach psychologów i lekarzy przeważa jednak pogląd, że marzenia są tylko współobjawem snu powierzchownego, podczas gdy sen najgłębszy jest stanem bezwzględnej nieświadomości i zupełnego spoczynku umysłu. W ostatnich czasach próbowano sprawę tę rozwiązać na drodze ścisłego badania. Vaschide budził śpiących w najrozmaitszych godzinach nocy, określając każdorazowo głębokość snu przy pomocy metody Kohlschütter'a. Postępując w ten sposób, Vaschide stwierdził obecność marzeń sennych u wszystkich badanych przez niego osobników, nawet w okresie snu najgłębszego. W dostępnej dla mnie literaturze nie znalazłem jednak potwierdzenia faktów, przez Vaschide'a podanych, i sądzę, że ostateczne rozwiązanie tej kwestyi wymagać będzie licznych jeszcze doświadczeń i badań.

Marzenia snu powierzchownego nie tylko są częste, żywe i wyraziste, ale, jak już nadmienilem, posiadają dosyć ścisły związek

1) Serguéyeff. *Physiologie de la veille et du sommeil*. Paris 1890.

z najbliższymi wydarzeniami życia codziennego. Sen lekki, często przerywany jest niejako dalszym ciągiem czynności umysłowej, rozpoczętej na jawie. W miarę wzrastania głębokości snu zwiększa się rozdźwięk pomiędzy treścią snów i życiem bieżącym. Sen głębszy przynosi nam myślą w przeszłość oddawna minioną, wskrzesza wypadki z okresu dzieciństwa, odtwarza sceny, zapomniane na jawie lub głęboko w pamięci ukryte. Bunge¹⁾ opowiada, że w młodym wieku namiętnie lubił polowanie, od lat jednak 20 sport ten zupełnie zarzucił. Obserwując własne marzenia, stwierdził on szczególnie pokrępowy wpływ tych nocy, w których wyobrażenia roztaczała przed jego wzrokiem obrazy z dawnego życia myśliwskiego. Oczywiście, że wskrzeszenie dawnych obrazów pamięci było tylko współobjawem zwiększonej głębokości snu, która jedynie zapewnić może ustrojowi należyte wytechnienie. Fakt ten zwrócił również uwagę Vaschide'a i Pilez'a.

Widzimy zatem, że odpowiednio do większej lub mniejszej głębokości snu świadomość śpiącego okazuje pewne wahania i zmiany. Okoliczność ta może być jednym z czynników, warunkujących różnice indywidualne, spostrzegane w życiu codziennym. Jakkolwiek bowiem krzywa głębokości snu w różnych jego okresach u wszystkich wykazuje jednakowe wzniesienia i spadki, to jednak absolutna wysokość krzywej jest wielkością zmienną. Jedni okazują większą skłonność do snu powierzchownego, inni — do głębszego. Zjawisko to, mające niewątpliwie odpowiedni podkład fizjologiczny, znajduje się zapewne w związku z niektórymi właściwościami marzeń sennych wśród obojga płci. Większość autorów przyznaje, że kobiety śpią czujniej od mężczyzn i łatwiej ulegają marzeniom. Heerwagen obliczył, że wśród kobiet śni każdej nocy lub bardzo często 73%, wśród mężczyzn tylko 48%. Podług identycznych niemal obliczeń Sanctis'a, do kategorii osób, które rzadko ulegają marzeniom, należy 50% mężczyzn, a kobiet zaledwie 12%. Prócz tego, sny tych ostatnich posiadają silniej zaznaczoną barwę uczuciową, są więcej żywe i wyraziste, utrwalają się dokładniej w pamięci.

Jaki okres życia ludzkiego sprzyja najwięcej powstawaniu marzeń sennych — jestto kwestya dotychczas sporna. Na podstawie obserwacji dorywczej jedni sądzą, że życie snów rozkwita najbujniej w latach dziecięcych, inni znowu — że w wieku młodocianym lub nawet dojrzałym. Zdaniem Heerwagena rozkwit ten przypada na

¹⁾ Prof. G. von Bunge. Lehrbuch der Physiologie des Menschen. Bd. I. Leipzig 1901. str. 249.

okres pomiędzy 20 i 25 rokiem życia. Później działalność duchowa podczas snu zaczyna stopniowo słabnąć. U ludzi starych marzenia senne występują rzadko i szybko znikają z pamięci. Ich barwa uczuciowa bleda, łączność z życiem rzeczywistym nieznaczna, treść uboga, złożona przeważnie z dawnych obrazów pamięci. Upadek władz umysłowych i utrata pamięci, które oczekują okres zgrzybiałości, prowadzą wreszcie do zaniku marzeń.

III.

Życie świadomości ulega we śnie głębokiemu przeistoczeniu, które pod pewnymi względami zbliża je do zbroczeń umysłu. Mimo braku odpowiednich bodźców zewnętrznych, w wyobraźni śpiącego przesuwa się, jak w kalejdoskopie, długie pasmo obrazów niezmiernie żywych, wyrazistych, przybierających wszelkie pozory rzeczywistego istnienia. Istoty wysnione ukazują się w kształtach cielesnych, zajmują określone położenie w przestrzeni, poruszają się, mówią, słowem objawiają wszystkie właściwości, które umysł ludzki ujmuje w bezpośrednim spostrzeganiu zmysłowem. W ten sposób obrazy senne odpowiadają najzupełniej stanom patologicznym umysłu, noszącym nazwę omamów, urojeń lub halucynacyj. Wobec uśpienia narządów zmysłowych funkcya spostrzegania ulega również spaczeniu. Podrażnienia silniejsze, np. ból, światło jaskrawe przerywają sen i przywracają śpiącemu samowiedzę, podniety słabsze, biorące początek bądź w otoczeniu zewnętrznym, bądź też w oddziaływaniu narządów wewnętrznych, nie będą odpowiednich równoważników psychicznych, lecz dopływają do umysłu w postaci alegorycznie zmienionej, jako t. zw. złudzenia, iluzye.

Drugą cechą charakterystyczną świadomości śpiącego, wyciskającą swe piętno na wszystkich jej objawach, jest przypadkowe, powierzchowne, fantastyczne powiązanie wyobrażeń sennych. Jakkolwiek łączą się one na podstawie tych samych praw kojarzenia, które rządzą życiem duchowym na jawie, to jednak brak czynnej zasady kierowniczej, brak krytyki i skupienia uwagi, nadaje połączeniu temu charakter nadzwyczaj luźny i dziwaczny. Obrazy snują się kolejno po sobie na mocy podobieństwa i styczności, bez czynnego udziału umysłu, który jest podstawą logicznego myślenia i polega na porównywaniu kojarzących się wyobrażeń, uświadomieniu stosunku, jaki

między niemi zachodzi. Na jawie każdy objaw świadomy tysiącem niewidzialnych nici spleta się z całokształtem życia duchowego. Każdej chwili możemy zestawić go z doświadczeniem poprzednim lub obecnem i krytycznie ocenić. We śnie nici te ulegają zerwaniu. Poszczególne wyobrażenia przedstawia zjawisko odosobnione, odcięte niejako od związanej z niem organicznie całości. W barwnym potoku marzeń myśl biegnie naprzód bez określonego celu, przeskakuje z przedmiotu na przedmiot, na żadnym nie zatrzymuje się dłużej, błąka się i na manowce zbacza. A ponieważ każde wyobrażenie senne odnoszone bywa do świata zewnętrznego, więc i wzajemne ich połączenie, tworząc dłuższe lub krótsze łańcuchy obrazów, przyjmuje pozory akcyi rzeczywistej, najczęściej nieprawdopodobnej, fantastycznej, nie liczącej się z zasadniczymi warunkami czasu i przestrzeni. Marząc, pokonywamy łatwo najtrudniejsze do zwalczenia przeszkody, w ciągu kilku sekund przebywamy wielomilowe obszary, latamy po powietrzu bez skrzydeł, rozmawiamy z osobami, które dawno pomarły, robimy świetne odkrycia naukowe, mówimy wszystkimi językami, które istnieją na ziemi. Brak krytyki powoduje nadto niezwykle łatwowierność. Największe nieprawdopodobieństwo wydaje się nie tylko możliwem, ale również bardzo naturalnem i zrozumiałem. Tymczasem owe pomysły genialne, owe utwory poetyckie, które rzekomo świadczyły o szczególnem uzdolnieniu umysłu i chwilowo budziły uczucie zadowolenia, okazują się po przebudzeniu stekiem bezsensu i bredni. Niejednokrotnie są to tylko skojarzenia wyrazów istniejących lub świeżo ukutych, oparte na luźnem podobieństwie dźwiękowym i nawet pozbawione treści. Wskutek przyćmienia samowiedzy, poczucie własnego ja nie zachowuje charakteru ciągłego i jednolitego i w dłuższym szeregu obrazów może się zmieniać i przybierać rozmaite postacie. Stąd znaczne przeciwieństwo pomiędzy rzeczywistym charakterem człowieka i wartością etyczną czynów, dokonywanych we śnie. Radestock przytacza kilka przykładów t. zw. rozdwojenia osobowości, polegającego na tem, że własne uczucia i myśli przypisujemy innym osobom wyśnionym. Prowadząc np. ożywiony spór z przeciwnikiem, który zdumiewa nas bystrością rozumowania i trafnością sądu, zapominamy, że cała ta argumentacya jest jedynie wytworem własnego naszego umysłu. Rozdwojenie osobowości jeszcze jaskrawiej uwytadnia się w tych razach, kiedy śniąc o własnej śmierci, nie przestajemy być dalej świadkami wydarzeń życiowych lub nawet czynny bierzemy w nich udział.

Szybka zmiana obrazów, z których każdy w swem istnieniu przelotnem skupia, że tak powiem, cały zasób energii psychicznej, oraz powierzchowne, przypadkowe ich połączenie — oto najważniej-

sza cecha czynności umysłowej we śnie. W związku z tem znajduje się również niezmiernie zawily i chaotyczny układ marzeń. Czasami tworzą one tak zagmatwaną tkaninę myśli, że wszelka próba odnalezienia w nich wątku lub wytłómaczenia, nasuwa olbrzymie trudności. Odbieramy wówczas wrażenie, że jakaś siła tajemnicza spętała naszą istotę duchową i narzuciła nam myśli, które nie mają podstawy w doświadczeniu poprzednim i zdają się być zupełnie obcemi. Zjawisko to zaznaczone jest silniej u kobiet, aniżeli u mężczyzn. Bliższa jednak analiza wykrywa często owe utajone drogi asocjacyjne, za pośrednictwem których marzenia senne splatają się z całym życiem duchowym człowieka¹⁾. Pomijając bowiem oddziaływanie podnieć zmysłowych i narządów wewnętrznych, jedynym źródłem, z którego umysł czerpie do snów materiał, jest pamięć. Pojęcie to jest nadzwyczaj szerokie. Przedewszystkiem obejmuje ono niezmierny obszar wyobrażeń i pojęć, nabytych w doświadczeniu indywidualnem człowieka i przechowywanych w jego umyśle w stanie utajonym. Zgodnie z porządkiem zjawisk rzeczywistych i prawami naszego umysłu, całość doświadczenia ująć można w pewne kategorie i związki, składające się z połączonych ze sobą dynamicznie wyobrażeń i pojęć. Każde wyobrażenie stanowi cząstkę odrębną i złożoną całości. Z nazwiskiem Sokratesa natychmiast łączy się w moim umyśle ogół wyobrażeń, dotyczących jego osoby, narodowości, szczegółów życia, działalności filozoficznej itd. Otóż wzajemne odgraniczenie różnych zakresów doświadczenia, będące podstawą pamięci, jest zarazem warunkiem prawidłowej i harmonijnej czynności umysłu. Przeciwnie sen, rozluźniając utrwalone w umyśle skojarzenia, staje się w pewnym stopniu zaburzeniem dynamicznem pamięci. Korzystając z przy-

¹⁾ W tym celu użyteczną być może metoda psychologicznego badania snów, podana przez S. Freud'a w wyżej cytowanej pracy p. t. *Über den Traum*. Całość marzenia sennego rozkładamy na pojedyncze ogniwa, z zachowaniem porządku, jaki się utrwalił w pamięci. Następnie staramy się zauważyć i zanotować wszystkie wyobrażenia i myśli, które samorzutnie, bez żadnej refleksyi wyłaniają się w umyśle pod wpływem każdego z kolei ogniwa. W ten sposób każde ogniwo snu staje się punktem wyjścia krótszego lub dłuższego łańcucha wyobrażeń, które odtwarzają najrozmaitsze fakty i zjawiska, wchodzące w zakres doświadczenia jednostki. Zebrany przy końcu analizy materiał (*latenter Trauminhalt*) znajduje się w bardzo ścisłym związku z treścią marzenia sennego i odsłania nam jego charakter zagadkowy. Początkowo Freud stosował powyższą metodę w badaniu objawów patologicznych umysłu, znanych pod nazwą idei niedorzecznych i natrętnych.

padkowego podobieństwa pomiędzy odrębnymi skupieniami wyobrażeń, zespala on w jedną akcję różnolite pierwiastki, pochodzące z rozmaitych zakresów doświadczenia. W tym wypadku umysł śpiącego ujawnia jednocześnie czynność analityczną i syntetyczną. Najpierw rozkłada pojedyncze skupienia na części, a następnie z poszczególnych pierwiastków tworzy nowe kombinacye i związki, zgoła odmienne od wzorów realnych. We śnie zdarza się często, że w wydarzenie z dnia ubiegłego wplatają się i zmieniają jego charakter pewne wyobrażenia, zaczerpnięte z zakresu wiadomości historycznych lub literackich. Marząc, możemy w towarzystwie Hanibala odbywać podróż po Szwajcaryi lub też we własnym mieszkaniu rozprawiać z Sokratesem o nieśmiertelności duszy. Nawet pojedyncze wyobrażenia przybierają często postać mieszaną, złożoną z różnolitych części. Blizką nam osobę wyobrażamy sobie nieraz w kształtach cielesnych, zapożyczonych od obcej osoby i przypisujemy jej właściwości duchowe, zaczerpnięte np. z świeżo przeczytanej powieści.

Widzimy zatem, że umysł śpiącego charakteryzuje zdolność tworzenia nowych układów i form z materiału, otrzymanego poprzednio za pośrednictwem narządów zmysłowych. Zdolność ta, zwana wyobraźnią wytwórczą, stanowi zarazem podstawę twórczości artystycznej. W pewnych przeto przypadkach z chaosu widziadeł i urojeń sennych może wyłonić się jakaś forma niezwykła lub pomysł szczególny, który później w dziele artysty przyobleka się w kształty realne. Prawdopodobnem jest nawet, że marzenia senne dały początek wyobrażeniom naszym o smokach, centaurach, dyabłach i innych postaciach symbolicznych. Do dziś dnia przechowały się wizerunki dyabłów, którzy ukazywali się w czasie snu zakonnicom średniowiecznych klasztorów.

Powyzszą charakterystykę marzeń trudno pogodzić ze spotykaniem u wielu autorów mniemaniem, że we śnie działalność umysłu wskazywać może wyższy, niż na jawie, stopień doskonałości. W pracy np. Dawida czytamy, że „we śnie wzrasta niekiedy dzielność wyższych władz psychicznych, wyobrażeń, twórczego rozumu“¹⁾. Za dowód służą zwykle przykłady Burdacha, Condorceta, Condillaca, Goethego, Lafontaine'a, Voltaire'a i wielu innych wybitnych myślicieli i poetów, którzy podobno we śnie ulegali natchnieniu i marząc, rozwiązywali zawiłe zagadnienia filozoficzne. Mniemanie to jest niewątpliwie spuścizną po dawnej teorii symbolistów, którzy sądzili, że duch ludzki wskutek zerwania łączności ze światem zmysłowym,

1) J. Wł. Dawid. Szkice psychologiczne. Warszawa. 1890. Str. 172.

wznosi się we śnie na najwyższy stopień doskonałości. Rzecz jasna, że pogląd ten niema zgoła żadnej podstawy faktycznej. Przeciwnie, wiemy nawet, że niezbędnym warunkiem snu jest zahamowanie uwagi i wyższych władz ducha, które jedynie stanowić mogą o wartości naszej pracy myślowej. Współdział tych czynników byłby poniekąd zaprzeczeniem snu. Powtórne fakty pomienione, aczkolwiek spotykamy je dosyć często w pracach naukowych, nie są o tyle pewne, ażeby można było opierać na nich poważniejsze wnioski. Przypominają one znaną powszechnie bajkę o Newtonie i jabłku, której jednak nikt na serio nie bierze. Nie mam bynajmniej zamiaru przeczyć, że w pewnych razach idea, zrodzona z samorzutnego i przypadkowego skojarzenia wyobrażeń sennych, po przebudzeniu się śpiącego może istotnie zwrócić jego uwagę i poruszyć umysł w kierunku przez marzenie wytkniętym. Pragnę tylko zaznaczyć, że wobec braku krytyki i logicznego myślenia, uzasadnienie tej idei i szersze jej rozwinięcie jest absolutnie niemożliwe w przebiegu samego marzenia. Gdybyśmy mogli odnotować wszystkie szczegóły rozumowania śpiącego, zauważylibyśmy niewątpliwie liczne braki i niedokładności, które podczas snu nie raziły go wcale. Szczegóły te szybko znikają z pamięci. Usiłując zaś przypomnieć sobie całość marzenia sennego, osobnik ten wtłacza w nie wytwory myślowe, zaczerpnięte ze stanu czuwania, mimo woli uzupełnia je i poprawia i w dobrej wierze uważa to wszystko za rezultat pracy umysłowej we śnie.

Przypuśćmy nawet, że pewna osoba, długo i napróżno łamiąca sobie głowę nad rozwiązaniem jakiejś kwestyi naukowej, kładzie się spać i po pewnym czasie budzi się z jasno sformułowaną odpowiedzią. Zjawisko to bynajmniej nie świadczy o doskonalszej we śnie czynności umysłu. Analogiczne fakty, spostrzegane również na jawie tłómaczą się na drodze fizjologicznej, jako następstwo utajonej pracy mózgu, odbywającej się bez udziału naszej świadomości. Marzenia senne nie grają w tym wypadku żadnej roli lub grają tylko uboczną, polegającą na uświadomieniu utajonej pracy komórek mózgowych, wprawionych w ruch jeszcze w stanie czuwania.

Inne oświetlenie interesującej nas sprawy znajdujemy w pracy jednego z wybitniejszych neurologów współczesnych, Loewenfelda¹⁾. Pragnąc wyjaśnić zagadkowe zjawisko t. zw. somnambulizmu, autor utożsamia je w pewnym stopniu z marzeniem snu głębokiego. Jak wiadomo, jestto zaburzenie czynnościowe, występujące w przebiegu

¹⁾ L. Loewenfeld. Somnambulismus und Spiritismus. Wiesbaden. 1900. Str. 3 — 11.

snu zwykłego i polegające na wykonywaniu różnych czynności złożonych, które w warunkach normalnych wykonywane są tylko podczas stanu czuwania. Mamy więc tutaj do czynienia ze snem patologicznym, który uzewnętrznia się w postaci ruchów skoordynowanych, pozornie przystosowanych do celu. Somnambulik po kilku godzinach snu spokojnego zaczyna okazywać pewien niepokój, porusza się w łóżku, mówi półgłosem, podnosi się, wreszcie wstaje, chodzi po pokoju, prowadzi dalej czynności podczas dnia rozpoczęte, pisze, — w końcu powraca do łóżka i zasypia snem zwykłym. Nazajutrz całe to zajście ginie zupełnie z pamięci, rzadziej pozostawia ono wspomnienie nieokreślone i mgliste. W przypadku, cytowanym przez Abercrombie'go, pewien zdolny adwokat w stanie somnambulicznym napisał trudną rozprawę sądową. Kilka lat temu Renterghem ogłosił przypadek, w którym lekarz podczas snu somnambulicznego dokonał z powodzeniem ciężkiej operacji położniczej. Lafontaine podobno we śnie napisał bajkę „Les deux pigeons“, Condillac zaś doprowadzał nieraz do końca rozdziały „Cours d'études“, rozpoczęte wieczorem. Wiele jednak zebranych w literaturze spostrzeżeń pochodzi ze źródeł wątpliwej wartości i nie zasługuje na wiarę.

Żeby wyjaśnić to tajemnicze zjawisko, Loewenfeld wypowiada przypuszczenie, że pomiędzy marzeniami snu głębokiego i powierzchownego zachodzi wybitna różnica. Podczas gdy te ostatnie, zgodnie ze skreśloną przez nas charakterystyką, są niedorzeczne i odbiegają daleko od zwykłego typu myślenia, to przeciwnie, — pierwsze tworzą ograniczone, ściśle umiejscowione skupienia wyobrażeń, powiązanych logicznie, celowo. A zatem podczas snu głębokiego świadomość nie zmienia swego charakteru, tylko zwięża się i skupia w niewielkiem kole wyobrażeń. W tym zakresie zwiężonym ujawnia ona wszystkie cechy, właściwe czynności duchowej na jawie. Otóż ten „częściowy stan czuwania“ (ein partielles Wachsein¹⁾), występujący wśród snu głębokiego i uzewnętrzniający się w postaci złożonych i skoordynowanych ruchów, jest właśnie stanem somnambulizmu.

W tłumaczeniu Loewenfelda zacierą się niemal zupełnie granica pomiędzy snem normalnym i patologicznym. A jednak sam autor

¹⁾ Termin ten został zapożyczony od Vogta, który uzasadnia go na podstawie swojej teorii neurodynamicznej. Jako dalszą konsekwencję, Vogt uznaje możliwość „snu częściowego“ przy ogólnem czuwaniu (ein partielles Schlafen im allgemeinen Wachzustand). Oscar Vogt, Zur Kenntniss des Wesens und der psychologischen Bedeutung des Hypnotismus. Zeitschrift für Hypnotismus 1895—1896.

twierdzi, że zбочenie to powstaje wyłącznie na tle dziedzicznego lub nabytego usposobienia do chorób nerwowych. Bardzo często w wieku młodym jest ono zwiastunem hysterii. I zapewne, każdy się zgodzi, że istnieje olbrzymia różnica pomiędzy bezwładnością człowieka, w głębokim śnie pogrążonego, a zachowaniem się somnambulika, który w uśpieniu niezwykle, rozwiązuje przy biurku jakieś matematyczne zadanie. Dlatego też utożsamianie stanów somnambulicznych ze zwykłymi marzeniami sennymi nie wydaje nam się słusznym, jakkolwiek musimy przyznać, że między temi sprawami istnieją pewne rysy wspólne i różne przejścia stopniowe. Następnie podstawą całej tej teorii jest uznawanie różnicy pomiędzy marzeniami snu głębokiego i powierzchownego, która ma dotyczyć logicznego powiązania składających je wyobrażeń. Przypuszczenie to bynajmniej nie jest oparte na faktach pozytywnych, doświadczalnie stwierdzonych. Nie znamy ani jednego faktu, któryby usprawiedliwiał mniemanie, że nasza działalność duchowa w powierzchownym śnie ulega większemu upośledzeniu, aniżeli w głębokim. Przypuszczenie to, wysnute z badań nad somnambulizmem, zostało niesłusznie rozciągnięte na marzenia snu normalnego. W rzeczywistości zachodzi raczej stosunek odwrotny i, o ile może być mowa o logicznym powiązaniu wyobrażeń sennych, spostrzegamy je częściej podczas snu lekkiego. Czasami, w miarę budzenia się samowiedzy i nawiązywania bliższych ze światem zewnętrznym stosunków rodzi się nawet słaby odcień krytyki. Przez świadomość przepływają wówczas dwa prądy, z których jeden odpowiada marzeniu, drugi zaś zdaje się mówić, że to wszystko jest snem i urojeniem.

W warunkach prawidłowych główną częścią składową marzeń sennych są obrazy wzrokowe. Stanowią one tło, na którym układają się wyobrażenia, otrzymane za pośrednictwem innych narządów zmysłowych. Według obliczeń Maryi Manasein są one przeważającym pierwiastkiem 85% wszystkich marzeń sennych. Potwierdzają to również badania Weed'a i Hallam'a¹⁾, którzy na ogólną liczbę 381 snów zauważyli przewagę obrazów wzrokowych w 84,5%. W czasach dawniejszych okoliczność tę tłumaczono sobie ścisłym związkiem marzeń z objawami halucynacyjnymi wzroku, występującymi u wszystkich prawie ludzi w chwili zasypiania. Są to t. zw. halucynacje „hypnagogiczne“, o których istnieniu każdy z własnego doświadczenia może się łatwo przekonać i które szczegółowo zbadał i opisał Maury. Źródłem tych zjawisk świetlnych mają być podrażnienia fizyologicz-

1) Cyt. w dziele Sanctis'a str. 221.

ne siatkówki, powstające pod wpływem krążenia krwi, rozszerzenia naczyń wewnętrznych, zmiany światła i t. p. W nowszych jednak czasach stwierdzono, że tylko w rzadkich wypadkach widzenia senne czerpią stąd materiał. Ludzie, dotknięci ślepotą wskutek zniszczenia obwodowych części narządu ocznego, miewają w snach obrazy wzrokowe datujące z czasów, które poprzedzały wystąpienie kalectwa. Manaseina opisuje dwa przypadki, w których obrazy wzrokowe ukazywały się jeszcze po 52 i 54 latach istnienia ślepoty. Zupełny ich brak spostrzegany był tylko u tych osób, które utraciły wzrok przed piątym rokiem życia. Widzimy więc, że obrazy wzrokowe występować mogą nawet w tych przypadkach, w których obwodowe zniszczenie narządu ocznego uniemożliwia powstawanie halucynacji „hypnagogicznych“. Przewaga tych obrazów w marzeniach sennych jest wynikiem niezmiernie ważnej roli, jaką zmysł wzroku gra w poznaniu otaczającego świata i w kształtowaniu się życia umysłowego człowieka.

Jak łatwo przewidzieć, drugie z kolei miejsce zajmują sny, składające się przeważnie z obrazów słuchowych. Według statystyki Weed'a wynoszą one 67,7%. Najczęściej mamy tutaj mieszaninę pierwiastków słuchowych z wzrokowymi. Wyłączna obecność pierwszych jest zjawiskiem bardzo rzadkiem (3,5%) i zdarza się tylko u ludzi o silnie rozwiniętej wyobraźni słuchowej. Dalej idą sny z przeważającym udziałem zmysłu dotykowego i mięśniowego (10,8%). Odtwarzanie wrażeń węchowych i smakowych, wobec słabej ich treści intelektualnej, przez długi czas uważane było w nauce za rzecz niemożliwą. Słynny fizyolog Ludwig sądził, że spostrzegana u pewnych osobników zdolność odtwarzania tych wrażeń, ściśle biorąc, jest wynikiem podrażnienia błony śluzowej nosa i jamy ustnej drobnymi cząsteczkami odpowiednich substancyj. Kwestja ta zwróciła wreszcie uwagę Ribot'a, który rozwiązał ją w znaczeniu dodatniem i wykazał, że 12% osób, przez niego badanych, posiadało zdolność dowolnego i jaknajdokładniejszego odtwarzania wrażeń smaku i wężu¹⁾. To też wbrew twierdzeniu dawnych autorów (np. Radestock'a), udział tych pierwiastków w marzeniach sennych nie budzi więcej żadnych wątpliwości. Według obliczeń pani Manasein ukazują się one w połączeniu z obrazami wzrokowymi i słuchowymi w 5% snów, podług zaś Weed'a obrazy smakowe występują w 6,3%, węchowe — w 6,9%.

¹⁾ Th. Ribot. Recherches sur la mémoire affective. Revue philosophique. 1894, II. 376.

Domieszka pierwiastków uczuciowych przykrych lub przyjemnych, będąca niezaprzeczeniem jedną z najciekawszych stron zagadnienia o marzeniach sennych, w warunkach prawidłowych zależy ściśle od ogólnej wrażliwości uczuciowej człowieka. Natury zimne, niewrażliwe, niezdolne do głębszego przejmowania się wypadkami życia. rzadko ulegają marzeniom i prócz tego posiadają sny obojętne lub bardzo słabo zabarwione pierwiastkami uczucia. Zjawisko to występuje daleko częściej u mężczyzn, aniżeli u kobiet. Tutaj zaliczyć można również większość prostytutek i przestępców, należących do typu ludzi zwyrodniałych. Obraz dokonanej zbrodni odtwarzany bywa w ich marzeniach sennych bardzo rzadko i zazwyczaj bez żadnej domieszki uczucia. Na wyższych stopniach zbrodniczości uczucia i marzenia senne zdają się zupełnie wygasać. Przeczy to rozpowszechnionemu mniemaniu o udręczeniach i katuszach moralnych, którym mają podlegać zbrodniarze wskutek wyrzutów sumienia. Przeciwnie, nawet sen ich jest spokojny, głęboki.

W innej kategorii przypadków umysł objawia skłonność do wyłącznego odtwarzania uczuć pewnego rodzaju i tych mianowicie, które pod względem jakościowym najwięcej odpowiadają ogólnemu usposobieniu danego osobnika. Nawet we śnie jedni widzą świat w barwach posępnych i ciemnych, podczas gdy w umyśle innych budzi on uczucia przyjemne, wesole. Jedni ze szczególnym upodobaniem oddają w snach pierwszeństwo uczuciom religijnym, drudzy -- erotycznym, inni wreszcie, i zdarza się to stosunkowo bardzo często, stają się ofiarą wzruszeń przykrych, np. strachu, obawy, obezwładniającego poczucia niemocy. Wogóle odpowiednio do indywidualnej organizacji uczuciowej, możemy tutaj spostrzegać rozmaite odcienie. Winienem jednak dodać, że przewaga przykrych pierwiastków wzruszeniowych jest nieraz objawem czasowym, powstającym wskutek nieprawidłowej czynności narządów wewnętrznych, jako to zaburzeń w krążeniu krwi, oddychaniu, trawieniu. W tych razach uczucie przykre, mające źródło w zбочeniu chorobowym pewnego narządu, traci znamiona fizyczne, przekształca się we wzruszenie moralne i zabarwia odpowiednio intelektualną część marzenia sennego.

Określenie związku pomiędzy wzruszeniami, doznawanemi na jawie i zabarwieniem snów zyskało w czasach ostatnich nowe oświetlenie, dzięki badaniom Sanctis'a, który temu przedmiotowi poświęcił szczególną uwagę. Wśród ludzi zdrowych, poddanych badaniu, ściśłą zależność w tym względzie stwierdzono zaledwie u 33,5% mężczyzn i 60% kobiet. Natomiast spostrzegano ją nader często u ludzi, dotkniętych hysteryą i neurastenią. W dalszym ciągu badania te wykazały, że odtwarzanie uczuć zależne jest przede wszystkim od ich

rodzaju, natężenia i czasu trwania. Wzruszenia, które na jawie wybuchają gwałtownie i powodują silne wstrząśnienie całej istoty wewnętrznej człowieka, bywają odtwarzane o wiele rzadziej, aniżeli te stany uczuciowe, które oddziałują stale i posiadają słabsze natężenie. Pierwsze zaczynają ukazywać się we śnie dopiero po dłuższym czasie, nieraz po kilku miesiącach. Jako stałe prawidło, Sanctis spostrzegł, że śmierć drogiej nam osoby, powodująca gwałtowne uczucie rozpacz, sprowadza noce spokojne, pozbawione marzeń, podczas gdy choroba jej, oraz troski i kłopoty dnia ustawicznie odzwierciedlały się we śnie. Prawda, że w razie silnego wzruszenia występuje dosyć często bezsenność. Skoro jednak uda się ją przewyciężyć, to sen spokojny lub przerywany marzeniami treści obojętnej, zapewnia skolatanemu nieszczęściem umysłowi prawdziwe wytchnienie. Bolesne wspomnienie odradza się we śnie dopiero po upływie dłuższego czasu, i zwykle, już po osiągnięciu równowagi moralnej. Radow podaje, że skazani na karę śmierci zbrodniarze śpią zupełnie spokojnie podczas nocy, która poprzedza bezpośrednio wykonanie wyroku. Na podstawie tych i wielu innych spostrzeżeń życiowych, możemy powiedzieć, że po silnych wstrząśnieniach moralnych występuje pewne przeciwieństwo pomiędzy życiem uczuciowym we śnie i na jawie. Śniąc, unikamy przede wszystkim odtwarzania tych wzruszeń, które podczas czuwania w stopniu najsilniejszym burzą równowagę duchową. Natomiast głęboko zakorzenione uczucia, trwałe namiętności odradzają się łatwiej i u niektórych osobników nawiązują niekiedy rodzaj ciągłości pomiędzy życiem uczuciowym snów i stanu czuwania. Należą tutaj takie stany uczuciowe, jak miłość, zazdrość, bojaźń, wstyd, nienawiść, pałanie zemstą itp. Najczęściej marzymy o tem, czego się najwięcej boimy lub najsilniej pragniemy.

Zabarwienie uczuciowe marzeń sennych nosi często ten sam charakter fantastyczny, który zauważyliśmy we wzajemnem powiązaniu składających je wyobrażeń. Uwydatnia się to w rażącej nieraz niezgodności pomiędzy treścią snu i jego stroną uczuciową. Wobec sytuacji poważnych, tragicznych, które powinny do głębi przejmować całą naszą istotę wewnętrzną, zachowujemy niezgodną, z naszym charakterem obojętność i spokój. I przeciwnie, jakiś fakt drobny, mało znaczący może przyprowadzić nas o trwogę i boleść. Zjawisko to od dawna zwracało uwagę badaczy i było uważane za następstwo braku krytyki i logicznego myślenia. Nie oceniając należycie sytuacji wyśnionej, doznajemy uczuć sprzecznych z jej treścią. Sanctis jednak w tem tłumaczeniu posuwa się dalej i sądzi, że we śnie sfera uczuciowa staje się poniekąd samodzielną, niezależną od pierwiastków intelektualnych, z którymi łączyć się zwykła podczas stanu czuwania.

Biorąc za punkt wyjścia jakiegokolwiek wydarzenie życiowe, umysł śpiącego wyodrębnia pierwiastki intelektualne od uczuciowych i w marzeniu sennem odtwarza je niezależnie od drugich. Tak np. z przykrego wypadku, który spotkał nas w ciągu dnia, może się odrodzić we śnie wyłącznie jego strona uczuciowa, pozbawiona określonych motywów. Uczucie to jednak wytyka ogólny kierunek snu i tworzy zasadnicze tło, które zabarwia w sposób przykry wszystkie wyobrażenia, przebiegające wówczas przez umysł śpiącego. I mimo ciągłej zmiany wyobrażeń sennych, zachowuje ono swój jednostajny koloryt. Czasami spostrzegamy zjawisko odwrotne. Śniąc np. o jakimś nieszczęściu, możemy odtworzyć jego szczegóły w postaci plastycznych obrazów, zapominamy tylko o wzruszeniu, które ono wznieciło na jawie. Ból fizyczny, powstający wskutek cierpienia pewnego narządu, oddziela się we śnie od swego organicznego podłoża i, łącząc się z innymi pierwiastkami intelektualnymi, przeistacza się w uczucie moralne. Młodzieniec zakochany, którego sny ożywia uczucie miłości, może obrąć za przedmiot swego pożądanego każdą osobę wysnioną, bez względu na jej płeć lub wiek. Widzimy więc, że podczas snu uczucie osiąga pewien stopień niezależności i jako samoistna jednostka psychiczna wstępować może w przypadkowe i fantastyczne połączenia z intelektualną częścią marzenia sennego.

IV.

W powstawaniu marzeń sennych pewien udział mogą brać wrażenia zmysłowe, mające źródło w otoczeniu śpiącego i w narządach ustroju. Wywierają one wpływ zarówno na treść, jak i na zabarwienie uczuciowe marzeń. Wrażenie, otrzymane z zewnątrz, dopływa do umysłu nie w swojej rzeczywistej postaci, jak to widzimy na jawie, lecz przeistacza się i zmienia w swej treści. Staje się ono jedynie pobudką, która na mocy kojarzenia wprowadza w ruch całe szeregi wyobrażeń, przechowywanych w pamięci i znajdujących się w jakimkolwiek związku z wrażeniem pierwotnym. Wytwory, powstające w ten sposób, nazywamy iluzjami czyli złudzeniami.

Niektórzy jednak badacze sądzą, że podczas snu oddziaływanie podniet zmysłowych nie wygasa zupełnie, że do umysłu śpiącego stale dopływają słabe wrażenia dotykowe, mięśniowe, organiczne, pomijając już działanie przypadkowych bodźców słuchowych lub świetl-

nych. Konsekwentnie więc zrodzić się mogło przypuszczenie, że wszystkie marzenia senne mają punkt wyjścia w tych wrażeniach zmysłowych. Pogląd ten, rozmaicie formułowany, znajdujemy w dziełach Weygandt'a¹⁾, Wundt'a²⁾, Tissie'go³⁾, Giessler'a⁴⁾ i wielu innych. Jako dowód, podawane są liczne przykłady snów, z których większość powtarza się stereotypowo w każdym niemal dziele, traktującym o marzeniach sennych. Pozwolę sobie przytoczyć kilka przykładów, zapożyczonych od Wundt'a. „Niewygodne położenie śpiącego wywołuje wyobrażenie uciążliwej pracy, mocowania się lub wdrapywania na wysoką górę. Lekki ból międzyżebrowy odczuwany bywa, jako cios zadany sztyletem przez wroga, lub ukąszenie przez psa wściekłego. Utrudnione oddychanie powoduje sen o bardzo przykrem zabarwieniu uczuciowem, w którym jakiś olbrzymi ciężar przytłacza nam piersi. Zsuniecie się nogi z brzegu łóżka wydaje się śpiącemu, jako spadanie z niebotycznej wieży. Rytmiczne ruchy oddechowe przypominają latanie w powietrzu i poruszanie skrzydłami“. Dalej, jak mówi Wundt, mają tutaj grać ważną rolę podmiotowe pobudzenia siatkówki, które w warunkach fizyologicznych ukazują się w postaci niezliczonych punkcików świetlnych w ciemnym polu widzenia. W wyobraźni śpiącego przeistaczają się one w gromady ptaków, roje owadów, stada ryb, pola kwiatów jaskrawych i t. p. Ustawiczne poruszanie się tego pyłu świetlnego tłómaczy, dlaczego wywołane przezeń obrazy senne ukazują się w ruchomej postaci. Podmiotowe wrażenia świetlne mogą przyjmować w wyobraźni śpiącego najrozmaitsze kształty, zależnie od charakteru współistniejących wrażeń ustrojowych. W tych razach, kiedy nic nie zakłóca spokoju narządów zmysłowych, możemy napawać się widokiem różnobarwnych kwiatów lub owadów. Jeżeli jednak przypadkowo będzie tutaj współdziałało jakiegokolwiek przykre wrażenie dotykowe, łatwo stać się możemy ofiarą napaści jakichś wstrętnych robaków, jaszczurek, które nam pełzają po ciele. Nudności zostają czasami uprzedmiotowione w postaci wstrętnego zwierzęcia, które wyciąga paszczę otwartą w kierunku śpiącego. Częste sny, w których poszukujemy bezowocnie zaginionego przedmiotu lub z trwogą zdajemy egzamin, powstają wskutek pewnych zaburzeń

1) W. Weygandt. Entstehung der Träume. Diss. Leipzig 1893.

2) Prof. Wilh. Wundt. Grundzüge der physiologischen Psychologie. IV Aufl. II Bd. 1893. Str. 536.

3) Le Dr. Ph. Tissie. Les Rêves. II edit. Paris 1898. Str. 14 i 183.

4) Dr. Carl M. Giessler. Die physiologischen Beziehungen der Traumvorgänge. Halle. 1896. Str. 1—3.

w ustroju, np. niewygodnej pozycji, utrudnionego oddechu, bicia serca i t. p.

Z zestawienia tych przykładów widzimy, że Wundt jest zwolennikiem teorii obwodowego pochodzenia snów, podług której wrażenia zmysłowe i ustrojowe określają zarówno treść, jak i zabarwienie uczuciowe każdego marzenia. Tissie w kilku miejscach swej pracy również wypowiada zdanie, że każdy sen ma punkt wyjścia w jakimś początkowym wrażeniu. Giessler rozwija szerzej tę teorię i uzasadnia ją na podstawie ściśle fizyologicznej. Jego zdaniem, energia utajona, gromadząca się podczas snu w układzie nerwowym, przechodzi w stan czynny pod wpływem pobudzeń, które powstają w narządach zmysłowych i wewnętrznych. Wyzwalają one w ośrodkach mózgowych energię ruchu, która z powodu zahamowania uwagi, rozprasza się chaotycznie w rozmaitych kierunkach i wprowadza w drganie różnorodne ośrodki. Praca ta ujawnia się w postaci złudzeń czyli snów.

Skreślone powyżej teorie Wundt'a, Tissie'go, Giessler'a są o tyle ponętne, że zdają się przelewać wiele światła na tajemniczą sprawę pochodzenia snów. Zachodzi jednak pytanie, czy posiadają one dostateczne uzasadnienie naukowe i czy tłumaczą w sposób zadawalający wszystkie zjawiska, w dziedzinie snów spostrzegane. Gdyby każde marzenie senne miało być tylko iluzją, byłoby wprost dziwnem i niezrozumiałem, dlaczego główną częścią składową snów są obrazy wzrokowe. Wiemy bowiem, że funkcya zmysłu wzrokowego ulega we śnie prawie zupełnemu zawieszeniu z powodu braku światła i zamknięcia oczów. Oddziaływanie zewnętrzne zdarza się wprawdzie, lecz o wiele rzadziej, aniżeli w sferze innych narządów zmysłowych. Tissie np. opisuje dwa przypadki, w których światło lampki nocnej, zwrócone na śpiących, wywołało w umyśle jednego obraz pożaru, w umyśle zaś drugiego obraz błyskawicy i burzy. Wundt tę kwestyę pomija milczeniem i prawdopodobnie dla tego przypisuje tak ważną rolę podmiotowym pobudzeniom siatkówki. Przeistaczanie się jednak tych wrażeń świetlnych w wyobrażenia senne jest pomysłem hypotetycznym, nie opartym na faktach. Przecież, jak już nadmieniałem wyżej, obrazy wzrokowe mogą ukazywać się we śnie nawet tym osobom, u których obwodowa część narządu ocznego wraz z nerwem uległa całkowitemu zniszczeniu. Wogóle sądzimy, że podmiotowe wrażenia świetlne nie tłumaczą ani powstawania obrazów wzrokowych, ani tembardziej ich kształtu lub ruchu.

Niektórzy badacze utrzymują, że podczas snu umysł okazuje szczególną skłonność do ujmowania w formie wzrokowej wszystkich wrażeń odbieranych za pośrednictwem innych narządów zmysłowych.

U Mourly Vold'a znajdujemy ciekawy przykład, który ma świadczyć o przeobrażaniu się wrażeń mięśniowych w iluzje wzroku. Vold utrzymuje, że pewne ułożenie kończyn dolnych lub górnych na mocy najdrobniejszego podobieństwa może przeistoczyć się w umyśle śpiącego w obraz zwierzęcia lub jakiejś potwornej istoty. Tłómaczenie to jest najzupełniej dowolne. Wątpimy bardzo, czy wyobrażenia senna, mimo niezwykłej fantastyczności, byłaby zdolna do ujęcia jakiegokolwiek podobieństwa pomiędzy nogą, zgiętą w kolanie, i wysnionym potworem.

Uwagi powyższe dadzą się również zastosować do narządu słuchu, smaku, powonienia. Nie ulega wątpliwości, że w pewnych razach wrażenia stąd odbierane mogą się wplatać w przebieg marzenia sennego i oddziaływać na jego treść i uczucie. W spostrzeżeniach Sanctis'a zapach kwiatów, np. fijołków, heliotropu budził w wyobraźni dzieci sny o przyjemnem zabarwieniu uczuciowem. Na tej podstawie Corning obmyślił metodę leczniczą, która może być stosowana przy pewnych nerwicach. Czynnikiem leczniczym jest tutaj muzyka, która przygrywa śpiącemu i budzi w jego umyśle przyjemne uczucia. Zauważyć jednak trzeba, że oddziaływanie bodźców słuchowych, węchowych i smakowych zdarza się względnie rzadko i poważniejszej roli w życiu snów grać nie może. O wiele większe znaczenie posiadają, według teorii skreślonej, wrażenia dotykowe, mięśniowe i ustrojowe. Podobno słynny filozof Kartezjusz pod wpływem ukąszenia komara śnił o pojedynku, w którym został śmiertelnie zraniony. W przykładzie Wundta niewygodna pozycja przenosi nas myślą w czasy dawno ubiegłe, sadowi na ławie szkolnej i każe się trząść ze strachu przed mającym się odbyć egzaminem. W obydwóch tych przykładach widzimy, że związek pomiędzy snem i wrażeniem oparty jest tylko na luźnem podobieństwie pierwiastków uczuciowych. Tymczasem treść intelektualna, składająca się z obrazów szkoły, nauczyciela, kolegów, pytań im zadawanych, i ich odpowiedzi, — wszystko to zostało wysnute z wyobraźni śpiącego i nie było wcale określone przez wrażenie pierwotne. Niewątpliwie człowiek, posiadający inny skład duchowy, w tej samej pozycji śnić będzie o innym przedmiocie. Wogóle każdy z nas śni na swój własny sposób, zależnie od wpływu różnorodnych czynników, których część omówiliśmy poprzednio.

Rozpatrując w powstawaniu snów udział wrażeń mięśniowych nie zapominajmy o jednej jeszcze właściwości marzeń, spostrzeganej dosyć często w obserwacji codziennej. A mianowicie, w wielu razach marzenia senna same przez się mogą powodować przystosowane do ich treści słabe oddziaływania ruchowe. Śniąc np. o walce zacieklej z urojonym wrogiem, możemy zbudzić się z silnie zaciśniętymi

pięściami. Byłoby jednak błędem ten objaw ruchowy uważać za przyczynę snu. Tymczasem odnosimy wrażenie, że w niektórych przykładach, opisywanych przez autorów, stosunek przyczyny do skutku uległ odwróceniu.

Co się tyczy wrażeń ustrojowych, to przy normalnej czynności narządów wewnętrznych udział tych pierwiastków w powstawaniu marzeń wydaje się nam niepewnym, wątpliwym. Nie podzielamy zdania, spotykanego u wielu autorów, że we śnie z powodu zawieszenia funkcji narządów zmysłowych, wrażenia odbierane z wewnątrz, uświadamiają się lepiej i żywiej, aniżeli podczas stanu czuwania. Samo-obszerycy bowiem nic nam w tym względzie nie mówi. Natomiast zgadzamy się najzupełniej, że wszelkie zbroczenia chorobowe a zarówno czynnościowe, jak organiczne, zarówno przewlekłe, jak ostre, odbijają się żywym echem w treści i zabarwieniu uczuciowem snów. Inaczej kształtują się sny człowieka przy cierpieniach serca, inaczej przy hysteryi i neurastenii, inaczej wreszcie przy przelotnej niestrawności żołądka. Streszczając nasze wywody, uważamy za stosowne jeszcze raz nadmienić, że nie odrzucamy bezwzględnie wpływu wrażeń zmysłowych i organicznych na kształtowanie się snów, chcemy tylko zaznaczyć, że rola ta w warunkach normalnych, jest nieznaczną, drugorzędą. W większości snów mimo najgorliwszych usiłowań nie zdołamy wykryć pierwiastków, z tego źródła czerpanych. Zgadzamy się poniekąd z Surbled'em, który twierdzi, że jedyną mistrzynią snu jest wyobraźnia śpiącego, ona go tworzy, organizuje i prowadzi według swojej woli.

DR. KAROL ROZENFELD.

DRAMAT I OPERA.

I.

Przedstawienie w teatrze Letnim baśni dramatycznej p. Mieczysława Hertza p. t. „Ananke“, było właściwie najważniejszym wypadkiem w okresie trzech ubiegłych miesięcy repertuarowych. *Premiera* odbyła się wprawdzie na scenie teatru Wielkiego; ale z tych najstosowniejszych dla siebie ram, dramat p. Hertza raz tylko jeden korzystał z racyi benefisu p. Żelazowskiego; nazajutrz zaraz przeniesiono go do ogrodu Saskiego, co do pewnego stopnia o losach jego rozstrzygnęło. Dzieło poetyckie i publiczność „świętojańska“, literatura i widzowie „wyścigowi“ — samo to zestawienie już wystarcza i świadczy, jak dalece „reżyserya główna“ nie potrafi orientować się w momentach psychologicznych kampanii repertuarowej, jak nie zdaje sobie z tego sprawy, kiedy, gdzie, w jakich warunkach wytwarza się odpowiednia dla utworu atmosfera, najlepiej powodzeniu jego sprzyjająca. Tej atmosfery niema i być nie może w maju w teatrze Letnim; z góry więc można było przewidzieć, że „Ananke“ niedługo zagości na repertuarze dramatycznym. Tak się też stało — stało się zresztą nie z tej jednej tylko przyczyny. Zanim jednak o innych powodach niepowodzenia wspomnimy, wypadnie przyjrzeć się samemu dziełu, ze wszech miar zasługującemu na baczniejszą uwagę, którą też zwróciło na siebie przed rokiem, przy rozpatrywaniu plonu konkursu imienia Sienkiewicza. Spierano się wtedy o wartość samego rodzaju literackiego, nazwanego „baśnią dramatyczną“, o autentyczność form jego klasycznych; rozprawiano nad stosunkiem w nim motywów realnych do fantastyczno-poetycznych; krytykowano myślową treść jego symbolów; ale na jedno zgodzono się jednomyślnie: że autor ma niepospolity talent.

Treść dramatu nie będzie nowością dla czytelników „Biblioteki“. Wiemy, że „Ananke“ przenosi widza do świata staro-greckiego, gdzie między niebem a ziemią rozegrywa się tragedia przeznaczeń

ludzkości. Rozpoczyna ją rodzaj paktu człowieka, targanego zwątpieniem, z bóstwem, zstępującem gniewnie z Olimpu na jego rozpaczliwe wołania i na klątwy bluźniercze, ciskaue tajemnicy, która przed ludzkim okiem kryje „cud istnienia“. Wyprzedzając wieki, myśl badawcza zdaje się skarżyć faustowem: *leider auch Theologie!* przez usta kapłana Zeusa, szukającego w swej hieratycznej mądrości odpowiedzi na pytanie prześladowcze: „jaki jest cel życia i przyczyna?“. Jeden tylko Zeus mógłby piorunowym błyskiem swego majestatu rozświecić ciemności w jego duszy; lecz Gromowładny milczy i dopiero wzruszony duchowemi katuszami swego sługi, przebacza mu bunt, bo własna niemoc zmusza go do wyznania: „że sam o tem nic nie wie“. Stworzył wprawdzie ten piękny świat, ale „płodził to za cudzem przykazaniem“ — rozkazywał mu zaś „bóg, co bogiem rządzi“ — Ananke. I on, Zeus, władca na niebiosach, uczuł nad sobą te niewidzialne rządy Fatalności, urągającej jego potęgę; i on, za zradnym jej podszeptem zapragnąwszy mieć kogoś, kto wielkie dzieło i moc stwórcy będzie słauił, urobił z marmuru cudnych kształtów człowieka i własnem ożywił go tchnieniem.

Posiadał on wspaniałą, silną duszę,
Co żywy zdroj przewielkich myśli kryła
I wzniosłych czuć bijącym biegiem źródłem.

Ale wtedy Ananke obudziła w łonie bóstwa zazdrosny lęk. Jakże to? Przecież ten twór, to prawie równy jemu wielkością bóg — bo duch w nim nieśmiertelny? Więc zniszczył Zeus swoje dzieło i z błota ulepiwszy bałwana, tchnął weń myśl; lecz w tem brudnem siedlisku skaziła się myśl jego i nic już nie zetrze zmyzy z duszy człowieka, w której tkwić będzie wiecznie pierwiastek błota; nic go nie zbliży do tych prawzorów piękna, niebacznie boską zdruzgotanych ręką. Naprózno teraz korowodem Muz otacza Zeus ziemskie swoje dzieci; porwał je wir poziomych namiętności, owładnął szal żądź dzikich i sam bóg zwątpił o ich poprawie.

Wierzy w nią przecież człowiek, wierzy Filandros w wysła-
chetnienie swego ludu. Podejmie więc to wielkie dzieło, przed niczem się nie cofnie, byleby moc boska w nieuniknionych krzepiła go próbach. Staje tedy przymierze. Zeus dał swemu słudze nieśmiertelność; niech jednak wie Filandros, co go czeka, jeżeli zachwieje się w wierze. Najlżejszy cień zwątpienia będzie dlań wyrokiem śmierci. Umrze

wśród zrodzonych z jego ducha dzieci, jak on „szalonych myślą tępienia zła—a one złorzeczyć będą ojcu, który im ten obłęd przekazał.

I kiedy śmierć na twarz im bladeść rzuci,
Z spienionych warg przez ból bezsilny, wściekły,
Wynijdzie syk, co będzie dla cię kłatwą.

To, co następuje dalej, jest stopniowem iszczeniem się słów zeusowych, przeprowadzonych w akcji od przestrogi, przez groźbę do katastrofy. I tu czas położył swoje piętno. To nie „prolog w niebiosach“, gdzie duch przeżeczenia rozprawia się z Panem, który z boskim mówi mu spokojem:

Es irrt der Mensch, solang'er strebt

i dodaje w przeświadczeniu swej wszechmocy:

*Ein guter Mensch in seinem dunkeln Drange
Ist sich des rechten Weges wohl bewusst.*

Tu zwątpienie idzie z wyżyn, gdzie widać już „zmierzeł bogów“, a tragedia człowieka nie dźwiga się z dołu do góry, z cieniów nocy Walpurgi do światłości heleńskich ideałów Piękna, lecz spada z góry na dół z obezwładnionego Olimpu greckiego w sam ogień orgii na Blocksbergu, gdzie namiętności szalony odprawiają sabat. Temu pesymistycznemu nastrojowi przypisać wypadnie powściągliwość poety w rysunku i kolorycie tła tragedyi. Sama dekoracya Hellady prawie podrzędną odgrywa tam rolę, i Piękno, jako wykładnik życia greckiego, nie występuje na pierwsze plany. Życie objawia się tam raczej w rozkładowych swoich instynktach, w chuciach z którymi walka Filandrosa stanowi właściwą treść tragedyi.

Tę walkę w symbolicznem Biopolis prowadzi przebóstwiony człowiek nieznaną w starożytnym grodzie bronią — przebaczeniem. Pokonawszy smoka, który miastu groził zagładą, wstępuje Filandros, jako zbawca ludu, na tron, opróżniony po zgonie króla, poległego w spotkaniu z potworem, i sprawia, z berłem już w rękę, sądy nad skazanymi na śmierć winowajcami. Wyrok śmierci zawisł nad młodziutką heterą Lagna, o rozpustę przez starców oskarżoną, i nad cze-

ladnikiem rzeźnickim, Kakistosem, który w gajach Afrodyty zamęczył poświęcone gołębie. Piękna, jak kwiat róży, dziewczyna nie rozumie, za co tak sroga ma ją spotkać kara. Wyrósłszy na swobodzie, wśród łąk i pól, czciła tylko Afrodytę, marząc o niej we śnie i na jawie:

Aż w jasną noc, gwiazdzistą, pełną blasku,
Srebrzącą fali skraje białą pianą,
Zstąpiła do mnie z głębin morskiej toni,
Chyliła się nade mną. Woń rozkoszna,
Bijąca od niej, owiała mię całą,
Ustami warg mych tknąwszy, wyszeptwała:
Kapłanką bądź mi pośród synów ziemi,
Boś piękna jak ja sama i czczisz miłość...

I Lagne usłuchała bogini. Kochała wszystkich, którzy miłości chcieli; uczyła żyć rozkoszą, szalem — a dziś wyrok krwawy wydają na nią zgrzybialce, w których żyłach niema już kropelki krwi gorętszej.

Kakistos nie broni się. Widział już śmierć we wszelkich odmianach; czuł dreszcz rozkoszy pod ciepłem spływającej mu po ciele krwi zabijanych zwierząt, patrzył z lubością na konanie męczonych własną ręką niewinnych ptasząt, — nie ulęknie się więc tego, co go czeka.

Tłum Biopolisu, wpatrzony w nowego władcę, śledzi na jego obliczu wrażenie zeznań winowajców. Z twarzy króla nie wyczytać nie może; ale przecież występni potępili się sami—czyż o losie ich wątpić można? Aż gromem na wszystkich spada wyrok Filandrosa. Nietylko przebaczył, ale Lagnę pojmie za żonę, a Kakistosa giermkim swoim uczyni. Dokąd wiodą te szczeble idealne, po których silną stopą, jak mu się zdaje, stąpa wysłannik Zeusa? Filandros pewny jest, że prowadzi na szczyty, a stary kapłan świątyni w Biopolisie ostrzega go, że się w otchłań zagłębiają. Nie wierzy mu Filandros i pewny jest, że kiedyś zbierze plon swoich wysiłków. Więc słowa: „Kapłanie, milcz! — Przebaczam“, — nie zejda z ust jego, nawet wtedy, gdy ci dwoje, którzy mu wszystko zawdzięczają, zdradą i zbrodnią odpowiedzą na jego przebaczenie; nawet kiedy ten lud, który on od zagłady ocalił, wzburzy się przeciwko swemu zbawcy.

Oto Lagne, oczyszczona niby macierzyństwem, wzdycha za „przeszłości czarem“ i sama przed własną spowiada się tęsknotą:

Gdy noc w swe ciemne skrzydła dzień otula
Pod oknem, zda się, słyszę szept gorący,
I dziki śmiech wabiących mię satyrów.

A gdy Kakistos, przeklinając również nałożone nań pęta moralne, rwie się z tej „kazi“ ku „swobodzie jasnej“, hetera pluje ze wściekłością w domowy ogień i oboje w namiętym uścisku, w oczach Filandrosa, uzmysławiają straszny splot rozpusty i okrucieństwa, który kłębi się gdzieś na samem dnie natury ludzkiej. Ale Filandros widzi w tem „Zeusa znak“, nakazuje więc milczenie skrwawionemu sercu męża, nie przeczuwając, że na ojca wkrótce przyjdzie kolej. Synek jego, Elpis, zawadza Kakistosowi na drodze do tronu, dokąd wydobyty z rzeźni giermek po trupach dojść ma nadzieję.

Trzeba więc tylko, żeby znikło królewskie dziecię; trzeba, żeby je własna matka zamordowała. Walka wewnętrzna w sercu Lagny trwa krótko; w kobiecie, dotkniętej pocałunkiem bogini miłości, kapłanka Afrodyty zwyciężyła matkę. Elpis ginie z ręki oszalałej hetery na znak, dany pochodnią przez Kakistosa w rynku, gdzie Filandros przed chwilą roznamiętnił przeciw sobie mieszczaństwo, zapowiedziawszy zniesienie niewolnictwa. Ani jednej kropli piołunu nie zabraknie w czarze goryczy, z której pił już mąż i ojciec, a dokończy obywatel, występujący na czele zbrojnych hufców do boju z najeźdźcą. I tam spotka się po raz ostatni z tym, którego wydzwignął z nicości. Na czele barbarzyńców, szturmujących już do bram grodu, stoi — Kakistos. „I za co ty się mścisz?“ — pyta go z rozpaczą Filandros. — „Za co się mszczę?“ — odpowiada mu z nienawiścią zdrajca:

Ty o to śmiesz mię pytać?
Gnębiłeś mię przez lata swą wyższością;
Niepomny win, miał karać, przebaczałeś,
Dobrocią swą me jasne chwile trudeś,
Szlachetność twa do zbrodni mię przywiodła!

Przepełniła się miara. „O wielki Zeu, zwątpiłem!“ — woła pokonany bohater przebaczenia i pada nieżywy, śmiercią płacąc przegrany z bogiem zakład.

Wygrywa ten zakład — pesymizm, pesymizm zupełny, z którego treści trzeba sobie jednak zdać sprawę, żeby we właściwym oświeceniu spojrzeć na tę posępną syntezę dziejów ludzkości. Nie jest to obniżenie ideału, który wyobraża Filandros, ani przysłoniona złudną szatą „powagi i ciszy greckiej“ apoteoza instynktów, wcielo-nych w Lagnę i Kakistosa. Bohater „Ananke“ nie odkrył też ani nawet nie szukał „trzeciego królestwa“, zwiastowanego przez mistyka Maximusa w „Cezarze i Galilejczyku“ Ibsena, gdzie ma nastąpić pojednanie między helleńskim kultem życia, a odtrącającą jego uciechy chrześcijańską etyką; poeta nie zdaje się nawet uznawać ibsenowskiej historyozofii, według której „zadaniem ludzkości jest powrót do natury przez ducha“. Natura ludzka przedstawia mu się widocznie w postaci „bałwana z błota“, a duch, jak owo wino w nieczystym dzbanie, wyzbył się, zdaniem jego, wszelkiej szlachetności i mocy. Autor stoi wyraźnie po stronie Zeusa, co jednak nie znaczy bynajmniej, żeby występował przeciwko Filandrosowi. Tylko poeta nie wierzy w człowieka. Trzebaż mu proces wytaczać o tę niewiarę, skoro, ogarnawszy głębią badawczej myśli i wysokim wzlotem poetyckim szerokie widnokreśli dziejowe, ujął ręką artysty w symboliczną syntezę cały tragizm odwiecznej zagadki bytu i stworzył rzecz piękną?

Z przyjęcia, gorzej niż obojętnego, jakie spotkało „Ananke“ możnaby wnosić, że taki właśnie proces wytoczono p. Mieczysławowi Hertzowi, że wyrok w nim zapadł przedewszystkiem na zrozpaczonego pesymistę. Niestety, przypuszczenie to, o tyle dla publiczności pochlebne, że stawiałoby ją na stanowisku krytycznej świadomości wobec odtrąconej myśli — jest tylko złudzeniem. Powiedzmy bez ogródki — nie zrozumiano owej „baśni dramatycznej“; nie rozumiała jej ta sama publiczność, która tak stanowczo odporną zajęła postawę wobec pesymizmu Stanisława Przybyszewskiego. Czarnowidztwo autora „Złotego runa“, ubrane w tużurek i w suknię z trenem, przemówiło odrazu językiem tezy społecznej i obudziło czujność instynktu zachowawczego; ale oderwane od życia realnego, przeniesione w sferę pesymizmu filozoficznego, spotkało się z tępą obojętnością. Przybyszewski gniewał wielu widzów; p. Mieczysław Hertz większość ich nudził. Wyznaję, że wolę ten gniew, choćbym go nawet nie podzielał, aniżeli tę nudę, która tak smutnie świadczy o znudzonych. Stała się ona plagą wszędzie, gdzie występuje na scenie jakaś idea, gdzie bodaj na gruncie dnia powszedniego wykwita kwiat poezji. „Szopką“ nazywa się wtedy każda wycieczka wyobraźni w świat fantazji; „nudnem“ jest wszystko, co zgnuśniała myśl z wygodnego kwiatyżmu

wyrywa. Naturalizm niby umarł, ale upiór jego pokutuje, — rzecz dziwna — wśród tych nawet, którzy z nim za życia walczyli. Więc zamiast wmyśleć się wraz z poetą w sfinksową tajemnicę istnienia człowieka na ziemi; zamiast wczuć się w ból odwiecznego rozdarcia istoty ludzkiej, którego dreszcze w przebiegu swoim wskroś wieków tworzą historię, szukano w akcji — codziennej „logiki wypadków“, w bohaterach — przeciętnej „konsekwencji psychologicznej“, w bajce — „zajmujących sytuacji życiowych“. I co najosobliwsza, dopomagała tu publiczności do pewnego stopnia — krytyka, dając jej bałamutne tłumaczenia symbolów, w których poeta zawarł swoją ideę. Oczywiście, że widzę, zasuggestyjonowany komentarzem, jakoby Lagne i Karkistos wcielali jedynie fizjologiczne zboczenia wynaturzonych chuci, nie mógł w tych postaciach widzieć uosobienia odwiecznie z sobą skójarzonych instynktów rozkoszy i dzikości, występujących nawet w religiach zaginionych światów; tem mniej mógł sobie uprzytomnić w trojgu bohaterach przeznaczenia, syntezę całkowitego człowieka i poddać się tragizmowi walki, jaką w tym człowieku toczy przebóstwiona dusza z żywiołowemi siłami przyrody. „A może to był Bóg“ — mówi z trwożliwą niepewnością stary kapłan świątyni w Biopolisie, patrząc na konanie Filandrosa — i w tych pełnych lęku słowach odzywa się cały beznadziejny patos filozofii, wątpliwej, żeby nawet bóstwo mogło odnieść zwycięstwo nad zwierzęciem, zacząjonem w ciemnościach natury ludzkiej. Jakże w tym końcowym akordzie boleśnie drgają pesymistyczne dyssonanse; ale jak wśród nich czysto brzmi nuta tęsknoty do ideału, ukrytego gdzieś wysoko, za chmurami, przesłaniającemi niedostępny majestat Zeusa.

Akord przebrzmiał bez echa; słuszność jednak nakazuje dodać, że w teatrze zrobiono wszystko, żeby ani jeden jego ton nie doszedł ze sceny do widowni. Wspominałem w swoim czasie o reprodukcji w Rozmaitościach „Śniegu“ Przybyszewskiego, jako o *testimonium pauperitatis*, które sama sobie „reżyserya główna“ wydała; pozostaje mi więc tylko dodać, że przedstawienie „Ananke“ było ostateczną na tem świadectwie pieczęcią. Nieudolność i niedbalstwo dalej posunąć się nie mogą. Jako ramy i tło — Grecya Offenbacha z kostiumami i rekwizytami teatru prowincjonalnego; a w tych ramach i na tem tle — padające na chybił trafił słowa, szkiecowane po omacku gesty, jakaś niefortunna maskarada poprzebieranych za symbole aktorów, którzy nie wiedzą, co ze swoim strojem począć i których maskę wykrzywia grymas lekceważenia dla „literatury“. Nazwiska zamilczę; przykro byłoby wymieniać je, skoro należą do najwybitniejszych artystów naszego dramatu; zamilczę tem bardziej, że ostatecznie organizacje

artystyczne aktorów podlegają tym samym prawom, co wszelkie w naturze ustroje; talenty ich wzbogacają się, lub ubożeją, stosownie do atmosfery, w której się rozwijały; w pewnych stosunkach rosną im skrzydła do lotu, w innych, jako zgoła niepotrzebne, nikną zupełnie i nie widać ich nawet w stanie szczątkowym. Taki zanik skrzydeł wypadło, niestety, stwierdzić w ostatnich czasach u naszych artystów: po ziemi chodzą doskonale, gdzieś wyżej szybować nie umieją; — oduczyli się w kojcu reżyserskim, gdzie ich specjalnym karmiono repertuarem. Gdy zaś przypadkiem kojec się otworzył, gdy trafem znaleźli się w szerszych przestworach, kiedy powiało na nich tchnienie ożywcze z legendowych krain, z dziejowej dali, z wyżyn poezyi, — było już widocznie zapóźno, prawo przystosowania zrobiło swoje, z małemi wyjątkami wyglądali tak, jak gdyby im pilno było do kojca.

„Więc jakąż w tem wszystkim — zagadnie ktoś zapewne — odgrywa rolę „reżyser główny“; wszak właśnie dla tego dano mu nazwę „głównego“, ażeby on był tym, który ostatecznie powołuje na scenie do życia przedstawiony utwór, wlewa weń duszę, zmysłem malarskim pogłębia horyzonty poetyczne, czuciem literackiem odtwarza nastroje, artystom pomaga podążać za natchnieniem poety, — słowem wykończy dzieło sztuki ostatniem dotknięciem artysty?“.

Widzieliśmy wszyscy to dotknięcie na przedstawieniu „Ananke“. Reżyser główny tchnął istotnie duszę w piękny utwór p. Hertza — duszę operetki.

II.

Gdyby miarą wyższej wartości utworu miało być, jak głoszą wyniosłe modernisci — jego niepowodzenie, w takim razie p. Bogdan Ronikier znalazłby się istotnie w dobrem towarzystwie, bo mógłby nawet z pewną dozą słuszności twierdzić, że i on nie został zrozumiany — tylko że z gruntu odmienne zaszło tu nieporozumienie. Można, dajmy na to, wahać się w wykładzie symbolów, jeżeli poeta, tworząc je, więcej dbał o treść ideową, niż o plastykę; ale nie można, stąpając po twardym niby gruncie rzeczywistości, obracając się wśród stosunków prostych, codziennych, pozostawiać za sobą pytania: dokąd-że to właściwie dąży autor i o co mu chodzi?

Prawda, że p. Ronikier wybrał znów sferę, w której dramaturg czuje się dziś najswobodniejszym, bo wolno mu z psychologią obchodzić się bez wszelkiej ceremonii — wybrał dziedzinę literatury i sztuki, gdzie dusza bohatera wije się w nieznanym dla zwykłego śmiertelnika katuszach. Więc jeszcze jedna „tragedya twórcy“? Tak, jeszcze jedna, z nieuniknionym męczennikiem twórczości, którego, naturalnie, krzepi w cierpieniach Muza, a nawet opiekują się nim dwie Muzy. Jedna z nich — to mężatka, pielęgnująca, jak się zdaje, *pour le bon motif*, bez żadnej szkody dla wyrozumiałego męża, a z niepojętą dla widza troskliwością, zupełną impotencją literacką dziennikarza, któremu dyktuje gotowe krytyki; druga — to pełna temperamentu, niepodległa dziewczyna, usiłująca wyrwać go z salonowej cieplarni do twórczego w każdym kierunku życia. Dramatycznym motywem sztuki jest walka między temi dwiema kobietami, zakończona tryumfem Beatryczy nad Fornariną. Dla czego ta właśnie zwyciężyła, a nie tamta? Czy konieczność tego zwycięstwa tkwiła w charakterach jednej i drugiej, czy też w duszy samego bohatera; a przede wszystkim, co to za jedni ci zwycięzcy i zwyciężeni i czy sytuacja, w której się szamocą, jest rzeczywiście tragedją poety, czy też zwykłym trójkątem małżeńskim?

Takich pytań nie zadawano sobie ośm lat temu, kiedy p. Ronikier wystawił pierwszy swój utwór p. t.: „Nieszczęśliwi“. Uderzyła wtedy wszystkich od podniesienia zasłony, z pierwszych nieledwie słów początkowych scen, moc rzeczy odczutej i pomyślanej ze zdumiewającą dojrzałością, jaką daje tylko talent. Figury stanęły odrazu silną nogą na pewnym gruncie, sytuacja zarysowała się jasno i wyraźnie; nikt nie mówił nic zbytecznego i nie powiedział słowa niepotrzebnego aż do końca sztuki, która zdawała się nie mieć w sobie warunków do rozwoju akcji, a przecież potęgowała z każdą sceną dramatyczne w widzach zainteresowanie. Teraz inaczej. Teraz chodzą po scenie w niewyraźnych celach niewyraźni ludzie, mają do siebie wzajemnie niewyraźne pretensje i niewyraźnych doznają zawodów. Sama sztuka nosi tytuł „Zawód“, nazwa jednak nikomu nie wyjaśnia, kto właściwie na kim się zawiódł? Owa mężatka, odgrywająca przy swoim protegowanym rolę platonicznej Egeryi, najmniej chyba mogła mieć co do niego złudzeń, a zatem najmniej doznała rozczarowań. Literat, pozbawiony już nie siły twórczej, ale po prostu samodzielności myśli, krytyk, któremu trzeba suggestyonować krytyki, — toż to szczyt niedołęstwa, o inną zaś kompensatę nie chodziło widocznie kobiecie, zawsze śmiało w oczy mężowi patrzącej. A pauna z tempe-

ramentem? Ta z początku przedstawiła się pokaznie. W pierwszym akcie przekorna pensyonarka, w drugim i trzecim materyał na „nową kobietę“, wyciągającą ręce do życia, nie skrępowanego żadnemi więzami społecznemi, zdawała się zapowiadać „duszę“ *moderne*, w której domniemany poeta czerpać będzie siły twórcze. Tymczasem w ostatnim akcie „dusza“ pamięta bardzo o swoim ciecie, okiem trzeźwym, sceptycznym, prawie znużonem, patrzy zarówno na mężczyznę, zbankrutowanego fizycznie, jak i na pisarza, tak już zupełnie przez chorobę obezwładnionego, że nawet zarobić nic na dalszy pobyt w Nizy nie potrafi. A tu, „na Jasnym brzegu“, w rajskich światłach, barwach i woniach, wszystko wokoło nich drga rozkoszą i użyciem, tylko on niezdolny jest zdobyć się na najskromniejszą pieśczętę. Więc to jest „zawód“? Może. Ale w takim razie skąd ta namiętność w zapasach z rywalką, przybywającą na Rivierę po resztki suchotnika cielesnego i duchowego? i kogo one sobie właściwie wydzierają wzajemnie? czy poetę, nieistniejącego ani dla tej, która była jego suflerem, ani dla tamtej, która przekonała się, co wart bez suflera; czy też kochanka, którym dla jednej nie był, a dla drugiej podobno już nie jest? A może to on doznał zawodu, spotkawszy tylko mertresę tam, gdzie spodziewał się znaleźć Mużę!

Nie chciałbym korzystać z okazji do łatwego kalemburu, jaką nastęrcza przez naturalne skojarzenie myśli tytuł sztuki p. Ronikiera; ale trudno istotnie powstrzymać się od uwagi, że zawiedzioną jest tu najwięcej publiczność, ta zwłaszcza, która pamięta, jak obiecująco wystąpił przed laty autor „Nieszczęśliwych“. Obietnice nie spełniły się — dodajmy j e s z c z e, niepodobna bowiem przypuścić, aby jedynym końcem takiego początku miał być nieodwołalny „zawód“. Tymczasem zaznaczamy, że dobra gra artystów uttrzymała sztukę na afiszu przez kilka przedstawień i że obok pani Lüdowej, szlachetnie traktującej rolę bezinteresownej opiekunki, obok p. Wostrowskiego, który dużo zrobił, nastroiwszy widzów miłosiernie dla literackiego eunucha, pani Trapszo-Chodowiecka świetnie przedstawiła bohaterkę niewieściego buntu. Wyraz sarkazmu w fizyognomii, w gestulacji wybuchy siły, szukającej sobie ujęcia na zewnątrz, ciętość dyalogu, namiętny nastrój w momentach erotycznych — wszystko złożyło się na plastyczną całość, która byłaby doskonałą, gdyby nie zbyteczne ostatnich scen przedramatyzowanie.

Jedno wreszcie powodzenie stwierdzić wypadnie wśród szeregu klęsk, jakich doznał repertuar oryginalny w minionym kwartale: udała się względnie „Tęcza“ p. Stefana Krzywoszewskiego. Podkre-

ślam wyraz „względnie“, nie może tu bowiem być mowy o jakimś długotrwałym sukcesie literackim, lub choćby tylko kasowym. Powodzenie było średnie, umiarkowane, dyskretne i zupełnie ustosunkowane do rodzaju i wartości utworu. Pan Krzywoszewski jest bardzo zręcznym dziennikarzem, a dziennikarstwo jego najłatwiej, najchętniej przybiera formy lekko-dramatyczne. Gdy zaś dodamy, że teatr jego mieni się też błyskotliwym felietonizmem, łatwo pojmujemy, dla czego sztuki p. Krzywoszewskiego trafiają do gustu publiczności, dla której odcinek jest dziś ostatniem słowem literatury i sztuki. Jako korespondent zagraniczny naszych gazet, lubi autor „Tęczy“ ujmować swoje spostrzeżenia w ożywiony, często dowcipny dyalog; na scenie znów przemawia do widza tym eleganckim sceptycyzmem, który wygląda, jak gdyby pod osłoną światowego „dobrego tonu“ ukryć chciał bezwzględność obserwacji życiowej. Między pesymizmem i optymizmem usiłuje p. Krzywoszewski przetrząść ku wygodzie publiczności most „złotego środka“ i „Tęcza“ jest właśnie takim siedmiobarwnym mostem.

Szkoda, że na ciemnym brzegu spotkał się p. Krzywoszewski, przypadkiem oczywiście, z p. Feldmanem, choć w praktycznym sensie nie wiele mu to zaszkodziło; kto wie nawet czy zestawienia, bodaj mniej dla niego korzystne, nie oddały autorowi podobnej przysługi, jak polemika dziennikarska z powodu „Małych dusz“. Rozprawiano nad analogiami i różnicami, — mówiono o „Tęczy“, a sztuka teatralna, w przeciwstawieniu do żony Cezara, zawsze na tem wygrywa.

Temat „Tęczy“ i „Cienia“ prawie ten sam: tu i tam cień przeszłości staje na drodze do szczęścia młodej dziewczyny, która, oddawszy się w upojeniu wielką miłością ukochanemu człowiekowi, a przebolawszy potem strasznie chwilę szału, ma wyjść za mąż. Tylko cieniem u p. Feldmauna jest wspomnienie zmarłego tragicznie kochanka, a p. Krzywoszewski daje mu żywe kształty uwodziciela, powracającego po śmierci żony do uwiedzionej, w nadziei przebłagania jej za kłamstwo, za podstępne swego małżeństwa ukrywanie. Różnią się też zasadniczo bohaterki w poglądach na swoje czyny. Heroina p. Feldmauna, jak wiadomo czytelnikom „Biblioteki“, w śmierci szuka wyjścia z tragicznej sytuacji; bohaterka p. Krzywoszewskiego wychodzi z niej po stopniach ołtarza. Która z nich ma słuszość? Zdaje się, że absolutnej racji, ze względu na psychologię jednej i drugiej, nie można przyznać żadnej; sądzę jednak, że w krytycznym momencie życia bohaterki p. Krzywoszewskiego katastrofa właśnie byłaby zrozumialsza, aniżeli zwrot kompromisowy. Natura to bowiem

bez komplikacji, stojąca szczerze, po prostu, bez zastrzeżeń, na gruncie etycznym, i na zapytanie: „czym ja naprawdę winna?“, znajdującą w sumieniu raczej gotowe, kategoryczne twierdzenie, aniżeli okoliczności łagodzące, które w duszy heroiny p. Feldmana zdają się usuwać pojęcie błędu, a zatem powinny były obudzić wątpliwość co do samej ekspiacy. Ale p. Krzywoszewski, jak gdyby przeczuwając, że jego „Tęcza“ znajdzie się na jednym afiszu z „obrazkiem w słońcu“ p. Tatarkiewicza, toruje drogę towarzyszowi zapowiedzią pogody, co mu o tyle łatwiej przychodzi, że znalazł bardzo poczciwego, bardzo w swym lekkim komizmie sympatycznego konkurenta dla skruszonej bohaterki. Że zaś znakomicie grał tego pociesznego amanta pan Frenkel, więc nawet przy energicznym, prawie surowym charakterze, jaki nadała heroinie pani Siemaszkowa, można w teatrze, w ciągu wieczoru, godzić się na takie tęczowe rozwiązanie dramatu, zwłaszcza że felietonowy nastrój tej dramatyczności nie staje temu na przeszkodzie, a doskonała gra pani Trapszo-Chodowieckiej i pana Nowickiego podtrzymuje w felietonie życie sceniczne.

Teatralnej „Tęczy“ p. Krzywoszewskiego odpowiada w zupełności teatralne „słońce“ p. Tatarkiewicza, i gdyby ktoś chciał oprzeć na tej literackiej meteorologii jakieś kierunkowe symptomy, mógłby do niewesołych przyjść wniosków. Słońce, którego poeta nie może znaleźć u siebie i musi po nie w skórze prowansalskiego felibra wędrować aż do Francyi! — doprawdy, to wygląda prawie jak symbol. Nie bierzmy tego jednak zbyt sztywnie na seryo. Wszak ta „Msza majowa“, w ukwieconej różami wiosce, to nabożeństwo wiosenne, z pstrą cizbą, tłoczącą się do kościołka; te modły z towarzyszeniem organów, przy których dźwięku śliczne dziewczę, wraz z zabłąkanym w te strony „przechodniem“ Coppé'go, modlą się po swojemu w świątyniach młodych serc, pod wyłoczonem słonecznie sklepieniem niebios, — wszakże to także felieton, tylko wierszem. Dodajmy ładnym wierszem, do którego zresztą przyzwyczaił widzów autor „Królowej bajki“ i „W sieciach satyra“, i który jeszcze dźwięczniej brzmi w poetycznej dykcyi pani Trapszo-Krywultowej i pana Rolanda.

III.

Tak się przedstawia w upłynionej ćwierci roku bilans polskiej literatury. A zagraniczna? Nie było jej właściwie — i gdyby nie takie przygodne okazyje, jak benefisy, lub gościnne występy artystów, zapomnielibyśmy, że poza nami coś tam ludzie tworzą na szerokim świecie. Dzięki jubileuszowi p. Mieczysława Frenkla, poznaliśmy sztukę Oktawiusza Mirbeau: „Interes przedewszystkiem“ (*Les affaires sont les affaires*); przyjazd aktora sceny lwowskiej, p. Kazimierza Kamińskiego zelektryzował trochę zmartwiałą repertuar, w którym zjawił się wznowiony „Gabryel Borkman“ Ibsena i nieznany nam dotąd „Margrabia de Priola“ Henryka Lavedana.

Oktawiusz Mirbeau zdobył sobie w ciągu swojej hałaśliwej działalności literackiej dwa tytuły do rozgłosu: „odkrył“ Maeterlincka i napisał „Dziennik pokojówki“. Moznaby się nad tem zamyslić: w jaki sposób autor „Dziennika pokojówki“ doszedł do „odkrycia“ Maeterlincka, gdyby się nie pamiętało wirtuoza pornografów, Armanda Sylvestre, który tworzył „mistyczne“ dramaty. W Paryżu wszystkie drogi prowadzą do... reklamy; Oktawiusz Mirbeau, w roli komisanta, obwożącego swój wyrób nawet po Niemczech, dowiódł, że się na tem zna, i dał we własnej osobie najwymowniejszą może ilustrację, zarówno aforyzmu „interes interesem“, jak bohatera najnowocześniejszej tezy. Indywidualność wrzaskliwa, natrętna, nie cofająca się przed niczem, byle tylko *épater le bourgeois* i bodaj chwilowo zapanować na widowni — powiedzmy właściwiej na rynku literackim — przedstawia się w niejednym rysie jako Izydor Lechat literatury.

Któż to jest ten Izydor Lechat?

Francuzi, wzywający tak często bez zajknięcia różnych imion nadaremnie, wspomnieli Balzac'a i jego arcytwór Mercadet'a. Jest w tem porównaniu tyle właśnie racyi, ile jej miał Oktawiusz Mirbeau, wymawiając jednym tchem nazwiska Maeterlincka i Szekspira. Epicki *faiseur* z „Komedyi ludzkiej“, typ, wcielający w siebie cały jeden czynnik społeczny, symbol, wypełniony najsubtelniejszą psychologią sfery, figura, prawie posągowa, opromieniona „poezyą interesów“ — i ten szkic gruby, rzucony brutalną ręką z taką przesadą, że chwilami do karykatury się zbliża! Można-ż podobne zestawienie rać na seryo; można-ż posunąć je tak daleko, żeby w Izydorze Le-

chat widzieć Mercadeta „większego, wywyższonego prądami obecnej doby? „Usiłowałem tę „większość“, to „wywyższenie“ odnaleźć tam, gdzie się takie różnice najnaturalniej zaakcentować powinny: we wzmożonej komplikacji duszy bohatera. Pół wieku dla nikogo na darmo nie przemija i aferzysta musi, jak każdy z nas, gromadzić w sobie osady przepływających czasów. Napróżno jednak szukałem nowych psychologicznych odcieni; pokazuje się z różnych poglądów krytycznych, że Izydora Lechata dźwigać ma ponad Mercadeta — siła.

Istotnie, siły odmówić mu nie można, trzeba tylko dodać, że ma ona wszystkie cechy charakterystyczne chwili bieżącej: dużo krzyczy, szeroko gestykuluje i wiele mówi o sobie. Jestto ten gatunek siły, który w nowoczesnej polemice wysuwa z pośród głośnych frazysów mocną pięść; a Lechat wygląda tak właśnie, jakby polemizował osobiście z samem życiem, jak gdyby mu ustawicznie groził kulakiem, i pod tą grozą robił z niem interesy. Inteligencya, geniusz aferzysty? O tém wszystkiem słyszymy tylko naokoło, a słysząc domyślamy się, że Lechat ma być zapewne rodzajem *megalomanu*, który w swoich przedsięwzięciach nie tylko widzi sposób zaokrąglenia fortuny, ale odczuwa rozkosz energii twórczej, podniecającej mózg jego i nerwy gorączką działalności, skierowanej na wszystkie strony, potęgowanej coraz nowemi kombinacyami. Jedyną prawdziwą jego namiętnością są interesy; przez nie i dla nich tylko żyje, one mu są tak potrzebne, jak powietrze, którem oddycha; one kierują każdym jego krokiem, nawet wtedy, zwłaszcza wtedy, gdy, opancerzony artykułami kodeksu karnego, okrada łatwowiernych, morduje bezbronnych w samotrząskach spekulacyjnych. Tak zapewne było przed odsłonięciem kurtyny; bo w chwili podniesienia zasłony, jedynym dostępnym dla nas dowodem geniuszu Izydora Lechat jest jakieś szachrajstwo z dwoma „przemysłowcami“, tak widocznie naiwnymi, że nie miał się doprawdy bohater z czem popisywać. I nie tu właściwie wypadł punkt ciężkości sztuki, lecz w stosunku aferzysty do jego otoczenia. Podobnie jak wszyscy monomani, Lechat uważa swoich za narzędzia, i nie się nie orientuje w ich duszach indywidualnych. Gdyby nawet chciał o nich dbać, to czyż ma czas na obserwacyę, która nie nie przynosi, a pochłonięty interesami, mógłże dostrzedz, że jego żona, poczciwa mieszczańka, dusi się w wielkich apartamentach zamkowych, gdzie historyczne osobistości zdają się wołać do niej ze swoich ram złożonych: „idź sobie stąd!.. nie z naszej jesteś rasy!“; mógłże zobaczyć w ukochanym synu bezdusznego hulakę, zajętego tylko grą i kokotami, „palacza“ samochodowego, wyczerpanego przedwczes-

śnie obłędem kilometru; mógłże wysledzić w mózgu córki, zamysłonej i w sobie zamkniętej rozczyń buntu przeciw wszystkiemu, co jest życiem Lechata; zauważyć w całej jej istocie odruchy pogardy i odrazy dla ojcowskich spekulacyj, bogactw i sposobów, jakimi je zdobył?

Więc tu dopiero tkwi dramat; ale dla tego właśnie nie Balzac jest jego ojcem duchowym, lecz po prostu Oktawiusz Feuillet, i to jeszcze wypadnie może przeprosić twórcę „Montjoye“ za to postawienie na jednym poziomie „Interesu przedewszystkiem“ z dramatem, gdzie człowiek występuje z takim artyzmem w całej pełni swej bogatej psychologii. Pamiętają wszyscy bukietek fiołków, składany przez córkę w gabinecie ojca, który jednym rozmachem bezwzględnej woli zburzył ognisko domowe. Z tych kwiatków, symbolizujących miłość, nie pozostało dziś ani śladu, zdeptała je nienawiść, owa przemożna „siła“, wciskająca się przez literaturę do życia. Germana Lechat nienawidzi ojca za wszystkie nędze swej sztucznej egzystencji, za wstyd, jaki wdychać musi z otaczającej ją atmosfery. I ona stanie na przeszkodzie w kombinacjach, mających ziścić marzenia jego ambicyj. Lechat postanowił oddawna przyłączyć do dóbr swoich sąsiedni majątek margrabiego Porcelleta. Sposobność nastrocza mu się sama; zrujnowany arystokrata przyszedł prosić bez skutku o nową pożyczkę, i już ma odejść z kwitkiem, kiedy sąsiad aferzysta wskazuje swemu dłużnikowi najdogodniejszą drogę do wyjścia z rozpaczliwej sytuacji. Lechat ma córkę, margrabia ma syna, związek młodych umorzy wszelkie wierzytelności między starymi i stworzy z dwóch posiadłości wspaniałe dla dzieci dominium. Rozmowa parweniusza z arystokratą — to, jakby powiedział Sarcey — *la scène à faire*. Tylko że ją tyle razy już robiono! tyle razy stawały z sobą oko w oko dwie wrogie sobie epoki, jedna zamarła na zawsze, druga żywotniejsza niż kiedykolwiek i coraz pewniejsza przyszłości! Mirbeau nie cofnął się jednak przed powtórzeniem; zagrał w nim polemista, zbrojny w argumenty równie dla obu stron silne, których mu własne życie dostarczyło. Ten ciężki a krewki prowincjonalista, przez jakiś czas podprefekt, a potem, gdy go z urzędu usunięto, wróg mieszczaństwa i duchowieństwa; ten obrońca żołnierzy, a następnie nieprzyjaciel armii; ten nawrócony mieszczanin, którego mus opłacania podatków przerobił na anarchistę; ten legitymujący się literaturą arystokrata, podszyty aptekarzem Homais — wie dobrze, kiedy, gdzie, w jakiej skórze, co trzeba powiedzieć. Więc mu się udało rozmowa Lechata z margrabią Porcelletem, doprowadzona w końcu do pożądanego wyniku: markiz prosi o rękę Germany Lechat dla swego syna. Odmowa Germany, spa-

dająca na całą rodzinę, jak piorun z jasnego nieba, nie dziwi nikogo wśród publiczności; od pierwszej sceny pierwszego aktu panna Lechat nie wygląda na kobietę, zdolną do handlarskich spółek; czuć w niej burzę; drga w jej duszy nuta protestu, a na tej nucie Mirbeau gra z lubością; protest dzisiejszy przeciwko sympatyom wczorajszym — to przecież cała jego literatura. Niespodzianką dla widza jest dopiero motyw odmowy, wyznanie: „mam kochankę“, ciśnięte w twarz rodzicom i obcemu człowiekowi, chociaż właściwie siurpryzą nie powinno być dla nikogo, kto czytał „Dziennik pokojówki“. Obserwacya służby, podglądającej państwa przez dziurkę od klucza, musiała przecie i tu znaleźć swoje zastosowanie i jedno tylko zdumiewać może w całej tej brzydocie: solidarność krytyki z tą psychologią pokojówek. Wszak wybitny recenzent, p. Paweł Flak, z całą powagą twierdzi, że oddanie się Germany młodemu chemikowi, Lucynowi Garraud, jest nietyle aktem miłości, ile raczej jedyną formą buntu, na jaki zdobyć się może natura rewolucyjna w myśli i w uczuciu przeciwko wszystkiemu, co w niej naokoło budzi obrzydzenie.

A logika tej „silnej“, „efektownej“ sytuacji? Oto nadchodzi taki moment, kiedy Izydor Lechat, „oszust, złodziej“, jak go własna córka w równie „silnej“ scenie nazwała, prawie zaczyna mieć rację. Młoda dziewczyna, uchodząca za czystą, zostaje potajemnie kochanką człowieka, którego jej ojciec z nędzy wydzwignął, a protegowany ojca kradnie mu przez wdzięczność honor córki. „Ładnie wygląda ten świat, który mojemu przeciwstawiacie“, — może powiedzieć aferzysta, — „z jakimież to cnotami przystąpiliście ze mną do walki?“. I pod jednym tylko względem omyliłby się Izydor Lechat w tej swojej apostrofie. Tu niema żadnych zestawień, tu niema walczących ze sobą odrębnych światów, tu niema właściwie ani cnot, ani grzechów — tu jest „przedmiotowość“, nie ta wielka, artystyczna, uprawniająca wobec sztuki wszelkie objawy życia, tylko ów tani i łatwy objektywizm anarchisty, patrzącego na wszystko około siebie pod kątem niwelującego protestu. To też najzabawniejszą z wielu pretensyi Oktawiusza Mirbeau jest pretensya do powagi satyryka. Co za złudzenie! Satyra nie istnieje bez ścisłej obserwacyi i bez rozważnej psychologii, a do zdobycia powagi nie wystarczają głośne tyrady i rozwichrzone ruchy: potrzeba imponującej stałości zasad i zupełnego oddania się ideom jasnym, niewzruszonym.

Wszystko to nie znaczy bynajmniej, żeby „Interes przede wszystkim“ był sztuką bez wartości... teatralnej. Owszem, — scenicznie rzecz ta o tyle jest wdzięczna do grania, że ma role, ma zwłaszcza jedną rolę bohatera tytułowego, która, znalazłszy wybor-

nego przedstawiciela w p. Mieczysławie Frenkle, zapewniła powodzenie utworowi Oktawiusza Mirbeau. Było to również powodzenie artysty, obchodzącego w wieczór premierowy dwudziestopięciolecie wiernej służby prawdziwej sztuce. Wybór roli wypadł szczęśliwie, przedstawił bowiem w całej pełni talent, który, rozwijając się w kierunku nowoczesnych poglądów na życie, odzwierciedlonych w literaturze, wzbogaca się tonami tragikomizmu. Czysty, wyosobniony z życia komizm rzadko się dziś na scenie odzywa. do śmiechu wciska się melancholia, smutek, często cierpienie, i komik współczesny nie może obywać się bez tych nut minorowych. Frenkiel, uderzając w te struny z wielkim arcyzmem, wydobywał z nich w „Pięknej ogrodnicy“, w „Skowronku“, w „Dramacie Kaliny“, słiczne akordy. Symfonię całą wygrał w „Cyrano de Bergerac“, symfonię, wzruszającą do głębi poetyczną harmonią humoru i bólu. Na przeciwnym biegunie stojący Izidor Lechat zajmuje niemniej oryginalnym splotem różnobarwnych motywów, Humor aferzysty cierpki, ostry, niekiedy zjadliwy, ma przytem jakąś groźną jowialność, z której widz, śmiejąc się, uczuwa chwilami przebiegające po ciele mrowie. Pozornie, śmieszności Lechata, małpującego szlachtę, przedrzeźniającego manieri arystokracji, pyszniącego się tem, że „ośmiu godzin potrzeba do obejścia naokoło jego majątków“, wyglądają na zwykłe przywary dorobkiewicza; ale Frenkiel taką im nadaje fizyognomię, że z pod dobroduszości parweniusza wysuwają się pazury drapieżnika, a pazury są straszne, gdy je Lechat prawdziwy, *sans phrase*, w stanowczej chwili pokaże. Ten rodzaj grozy wydobyty z komizmu, jest tem artystyczniejszym momentem w grze, rozumnie we wszystkich szczegółach obmyślanej, że Frenkiel, troskliwszy od samego autora, akcentuje w niej, gdzie potrzeba, czysto ludzkie pierwiastki. Płacz aferzysty na wiadomość o śmierci syna trafia szczerością do każdego słuchacza. Jest w nim coś więcej prócz fizycznego odruchu, jest ból człowieka, który coś jednak w życiu ukochał. Jakże w chwilę potem imponująco wygląda ten mocarz, napół sparaliżowany, z obwiśniętą nieruchomo ręką, piorunujący spojrzeniem obu oszustów, pewnych, że podeszli oszusta; jaka rzeczywista siła myśli bije od tego obezwładnionego cieleśnie apoplektyka!

IV.

Innego *megalomana* przedstawił, występując u nas, p. Kamiński. Nazywa się „Jan Gabryel Borkman“, i choć artysta lwowski nie od tej sztuki rozpoczął swoją gościnę na tutejszej scenie, to przecież z „wieku i urzędu“ należy się chyba Ibsenowi pierwszeństwo przed panami Brieux, Lavedanem i... Kaweckim, zwłaszcza, że piszący te słowa dłużny jest czytelnikowi „Biblioteki“ uzupełnienie charakterystyki sędziwego poety, podanej przed laty na tem miejscu w szkicu „Skandynawizm w literaturze“.

„Jan Gabryel Borkman“ jest w szeregu ostatnich sztuk Ibsena jakby ogniwem pewnego cyklu, któryby „trylogią starości“ nazwać można. Od „Budowniczego Solnessa“ począwszy, aż do „epilogu dramatycznego“, pod tajemniczo brzmiącym tytułem: „Gdy zbudzimy się nieżywy“ przebiega przez te trzy utwory jakiś dreszcz starczy w którym czuć zawody intelektualne, gniewy antyspołeczne i melancholie erotyczne. Pod wpływem tego dreszczu oblicza się Ibsen czy też jego rzecznik z przeszłością, tej zaś gotowe następstwa kombinują się zazwyczaj w naszych oczach w jedynej, rozstrzygającej a zakończonej katastrofą sytuacji. Do obrachunku wzywa *Ideenträger* czy też poeta nie siebie samego — jego doskonale rozwinięte ja, stoi ponad sprawami sumienia — lecz życie, które powinno mu być dać wszelkie „radości“ a zwykle czegoś tam nie domierzyło, i społeczeństwo, którego żadnych węzłów nie uznawał, ale które za dłużnika swego uważa. Obrachunek nie może obyć się bez kobiety, ona to bowiem wciela dla poety i radości życia i nakazy społeczne i wszelkie do życia żale, ona też występuje jako *ananke*, likwidujące mniej lub więcej tragicznie te pretensje schorzałego indywidualizmu.

Rola kobiety w dramatach Ibsena, należących do tej literatury obrachunkowej, zmieniła się do niepoznania. Nora, tyle zawdzięczająca swemu mistrzowi, przybiera teraz odmienną postać oskarżycielki, zarzucającej mu że nie dotrzymał swoich wspaniałych przyrzeczeń. Prawda że obiecywał wiele, bardzo wiele. Na wikingowym statku, płynąc po falach, wzburzonych podmuchem romantyzmu ku wysniewionej krainie przyszłości, przyrzekł towarzyszącej mu odważnie kobiecie — królestwo. Teraz jemu, staremu, dawny cel zdobywczej podróży majaczy już tylko, jak piękna z baśni kraina, a ona, wiecznie młoda, *das Ewig Weibliche* nie przestaje dopominać się o obiecane czary.

Popatrzmy tylko na Hildę Wangel, jak całą wolę wyteża ku zniszczeniu się królestwa, zamkniętego dla niej w tajemniczym słowie „niemożliwe“, posłuchajmy jak tłumaczy budowniczemu Solnessowi, żeby nie budował już ani kościołów dla Boga, ani domów dla ludzi, tylko dla niej „zamki na lodzie“, jak go dopóty przekonywa że „powinien mieć siłę wspięcia się tak wysoko jak sam budował“ dopóki podstarzały mistrz nie runął ze wzniesionej przez siebie wieży. Przyjrzyjmy się teraz bohaterce „epilogu dramatycznego“. Idealnie piękna, służyła rzeźbiarzowi za model „Zmartwychwstania“, przedstawionego w postaci czystej kobiety. Oddawała mu piękność swoją bez obsłon i zastrzeżeń; ale duch jego czynił zastrzeżenia. Artysta nie dotknął nigdy materialnie rzeczywistości; człowiek nie dotknął nigdy kobiety zmysłami, lękając się o czystość swego dzieła. A kobieta, treścią swoją z naturą zespolona, znienawidziwszy twórcę za jego dla natury obojętność, opuściła artystę, który jej był także królestwo na szczytach obiecał, i nie mogąc już odnaleźć pierwotnej do życia drogi wpadła w obłądne przywidzenie że jest nieżywa. Kiedy zaś powtórnie po latach się spotykają, jest już zapóźno. On, zmartwiał w atmosferze powszedniości, pozuje na zmarnowanego artystę; ona rzuca mu w twarz niemoc jego w pogardliwym słowie: „poetol“, co znaczy mniej więcej: „stary dzieciaku bez siły i woli! Zamordowałeś mi najprzód duszę modelując moje ciało, teraz w miękkiej skrusze i pokusie mordujesz sam siebie!“

Coś podobnego słyszymy z ust kobiety, którą niegdyś kochał Jan Gabryel Borkman.

— Jesteś zabójcą, mówi Ella Rentheim do Borkmana, popełniłeś grzech śmiertelny — zamordowałeś we mnie miłość. Grzech to niedarowany, zabić zdolność kochania w ludzkiej istocie.

Przetłumaczone na zwykły język znaczy to że Borkman porzucił niegdyś Ellę, prawie z nim zaręczoną, odstąpiwszy ją rozkochanemu w młodej dziewczynie rywalowi, którego pomocy potrzebował do swoich finansowo-społecznych planów.

Obrachunek jak widzimy odbywa się we wszystkich trzech dramatach między tym samym w gruncie rzeczy bohaterem, a bohaterką podwójnego typu. On jest owym powtarzającym się w całej twórczości Ibsena żeglarzem, który w połowie drogi utknąwszy na mieliznie i stojąc u steru nieruchomego okrętu, wśród cicho zapadającej nocy zstąpił w głąb swej duszy i przekonał się, że szaloną przedsięwziął wyprawę, bo nie stworzony jest na króla ziemi obiecaną, bo niema w sobie słonecznej natury zwycięzcy, bo miejsce jego w nowym zamczysku nie na blankach, lecz pod sklepieniami piwnicznymi, bo dołą jego jest dźwigać jak belka, nie powiewać jak chorągiew. Ona, gdy

ma na imię Hilda, Regina wyszła ze szkoły Nietzschego i wyrzeka kochankowi, społecznikowi lub artyście, że „sumienie, jego bardzo słabowite, delikatnie zbudowane, żadnego nie zniesie uderzenia i nigdy całkowitego ciężaru nie podźwignie“; a kiedy nazywa się Ella jest pełną słodkiej kobiecości, wyobrazicielką „etyki niewolników“. Starość jego zaostrza z nią zatarg jątrzącemi przypomnieniami wszystkiego co być mogło w niepowrotnej dobie a nie było, i potęguje kolizję do dramatycznego napięcia; ale dramat to zawsze jeden, tragedia woli między mężczyzną słabym, zastanawiającym się, chwiejnym, a kobietą silną, która, bądź idzie za uczuciami, za nieprzewartem instynktami z bezwzględnością żywiołu, pochłaniającego wszystko po drodze, bądź też „moralność stada“ mu przypomina.

Jedna z takich nierównych par, Jan Gabryel Borkman i Ella Rentheim najbliżej stoi ludzkich uczuć, skoro więc można o niej mówić niekoniecznie jak o Apokalipsie, spróbujmy powiedzieć co między tymi ludźmi zaszło i jakie roszczą do siebie pretensye.

Jan Gabryel Borkman był ambitny a niewiele miał skrupułów. Pragnął wielkiej fortuny, z myślą zapanowania pieniędzmi nad światem, przebudowania społeczeństwa od podstaw i zapewnienia wszystkim ludziom szczęścia. Pierwszym szczeblem do tej wymarzonej wielkości miało być dyrektorstwo banku; że zaś nominacya zależała od potężnego finansisty, który kochał namiętnie narzeczoną Borkmana, więc przyszły dyrektor zerwał bez wahania małżeństwo z Ellą i ożenił się z jej siostrą Gunhildą. Spełniona ofiara zwraca się jednak przeciwko niemu, Ella bowiem odpycha miłość finansisty, który wpływowi Borkmanna przypisuje jej opór, a posiada broń przeciwko swemu rywalowi. Dyrektor banku, marząc w rozpędzie interesów o urzeczywistnieniu swej chimery, naruszył powierzone sobie depozyty, z czego zwierzywszy się przed finansistą sam mu ułatwił zemstę. Zbrojny w kompromitujące listy powiernik zdradza przyjaciela i oddaje go w ręce sprawiedliwości. Wróciwszy do siebie po pięciu latach więzienia, Borkman znajduje w domu nieubłaganą żonę, która nie może mu darować hańby, ciężącej na nazwisku Borkmanów. Żyją tak we dwoje pod jednym dachem, ona na dole, on na pierwszym piętrze, samotny, zdziczały, mierząc ustawicznie niespokojnym krokiem swój gabinet, gdzie oczekuje ciągle tych, co, ukorzywszy się przed jego geniuszem, przyjdą zaklinać go aby stanął napowrót na czele banku i spełnił rozpoczęte dzieło odrodzenia ludzkości przez dobrobyt.

Ośm lat upłynęło.

Przez ten czas wyrósł na młodzieńca Erhard Borkman, syn Gabryela i Gunhildy. Do lat piętnastu wychowywała go ciotka Ella,

której mienie ocaliło od ruiny szwagra. Ona to ofiarowała w jednym ze swoich domów przytułek Gunhildzie po uwięzieniu jej męża a następnie Borkmanowi, gdy go wypuszczono na wolność. Kiedy chłopiec skończył piętnasty rok, Gunhilda upomniała się o swego syna, marząc o przygotowaniu go do missyi odwetowej. Na jego to młode barki pragnęłaby włożyć zadanie podźwignięcia z upadku czci i fortuny Borkmanów. Sztuka rozpoczyna się, mając za sobą cały szereg faktów już dokonanych, o których wzmianki i wyjaśnienia trzeba dopiero, jak zwykle u Ibsena, wyławiać z dyalogu, w miarę rozwijającej się akcji.

Widzimy więc Borkmana, rodzaj społecznego wizyonera, dumnego, zgorzkniałego w odosobnieniu; Gunhildę, kobietę oschłą, despotyczną, zawziętą na męża za zmarnowane szczęście, za splamiony honor rodziny, wyniosłą względem siostry, która nie przestała kochać Borkmana; widzimy Ellę uosobienie tkliwości, poświęcenia, ubóstwiającą zawsze swego szwagra mimo jego manię, i żalującą z całego serca odebranego jej Erharda. Wszystkie te charaktery, przy całej egzotyczności, występują coraz wydatniej w akcji jasnej, prostej, tak prostej w swojej szarzyźnie, że niewiadomo właściwie dla czego się na to wszystko patrzy, dla czego się tego wszystkiego słucha w tak podnieconym nastroju. Catulle Mendès dał na to niegdyś dowcipną odpowiedź, charakteryzując bowiem przez porównanie talent Ibsena w malowaniu małomieszkańskich środowisk, nazwał go „dzikim Henrykiem Monnier.“

Jest istotnie coś dzikiego w fizyognomii najbardziej oswojonych filistrów skandynawskich; jest coś niepokojącego w najspokojniejszych z tej sfery figurach. Powie tam ktoś rzecz zwykłą, powszednią, a ma przytem minę, jak gdyby błędem okiem patrzył w najgłębsze życia tajniki; spełni ktoś czyn zupełnie pospolity, a daje przytem do zrozumienia, że to się stało z pobudek nie dla każdego dostępnych; żadne słowo, żaden gest tych ludzi nie ma tego samego, co u innych i gdzieindziej, znaczenia; wie tam nie ginie; wszystko, nie wyłączając odgłosu kroków na wyższym piętrze i dolatującego z góry echa cmentarnej muzyki, przenika nasze „dzienne sprawy“ grozą utajonych katastrof. Poezya, — mówią jedni; filozofia, — przekonywają drudzy; mistyka — twierdzą inni. To, czy owo, — nie ulega wątpliwości, że ci, którzy w tem nie widzą roboty, których to nie nuży, zostają pod wrażeniem nawet wtedy, gdy *le sublime touche au ridicule*. Bo cała prawie sztuka obraca się około kłótni dwóch kobiet, wydzierających sobie wzajemnie Erharda. Ella pragnie mu przy sobie życie uprzyjemnić; Gunhilda chciałaby go zmusić do zrehabilitowania ojcowskiego imienia; a ten Erhard jest sobie po prostu brzydkim młokosem, który dał się złowić na wędkę dojrzałych wdzięków separatki,

równie bogatej, jak... swobodnej. Scena, w której, postawiony między dwiema matkami, mówi bez ceremonii do jednej: „nudziłbym się za bardzo u ciebie“, a do drugiej: „u ciebie byłbym nieszczęśliwym“, byłaby przykrą, gdyby jej w sposób, zgola dla autora niespodziewany, nie łagodziła... śmieszność.

Z zupełną natomiast intencją, figura, w założeniu śmieszna, wzrusza widza do głębi, jakkolwiek, a może dla tego właśnie że należy do postaci epizodycznych, które u Ibsena mają zwykle nadzwyczajną żywotność. Obok tragicznego maniaka, trawionego jeszcze gorączką niewyśnionych snów o wielkości, i jak wszyscy maniacy, rozprawiającego bez końca, zamiast działać, postawił Ibsen łagodnego illuminata, Foldala, zostającego ciągle pod urokiem Borkmana, mimo ruinę, o którą go przyprowadził krach bankierski. Foldal żyje z pensyjki skromnego jakiegoś urzędu i pociesza się po swoich stratach pieniężnych, pisząc tragedye. I on też marzy o sławie i jest jedyną istotą, z którą Borkman obcował w ciągu swego ośmioletniego pustelnictwa, bo ten pocziwiec słuchał jego majaczeń, obietnic i wróżb ułudnych, może dla tego, że Foldal także śni z otwartymi oczyma, wierzy również w swój geniusz poetycki. Ale gdy chce przeczytać scenę ze swej sztuki, Borkman przerywa mu z niecierpliwością:

— Co znaczy scena teatralna, kiedy idzie o zbawienie ludzkości!

Foldal kiwa z powątpiewaniem głową:

— Ale bo widzisz, — odpowiada przyjacielowi, — jeżeli chcesz wrócić do interesów, musisz naprzód wyjednać wyrok rehabilitacyjny.

— Czy uważasz to za niemożliwe?

— Niema do tego wystarczających motywów...

— Ludzie wyjątkowi nie potrzebują wystarczających motywów.

Foldal ze smutkiem odpięra, że prawo nie zna ludzi wyjątkowych.

— Nie jesteś poetą, — mówi mu gniewnie Borkman.

On nie jest poetą! Cios ugodził w samo serce.

— Dopóki wierzyłeś we mnie, — zwraca się do Borkmana—i ja miałem wiarę w ciebie.

— Więc okłamywaliśmy się wzajemnie, — odpowiada szorstko Borkman.

— Może, ale w gruncie rzeczy czyż taką nie jest przyjaźń?

— Tak, tak, umieć okłamywać, na tem polega przyjaźń.

Kto potrafi stworzyć taką scenę, kto umie później dać drugi jej wariant, prawdziwy klejnot, ten jest pisarzem niezwyklej miary.

Ostatni akt sztuki wysoki ma polot.

Borkman pierwszy raz od ośmiu lat wychodzi ze swej wilczej jamy.

— Muszę — rzecze nieprzytomnie do Elli — obejrzeć moje skarby, w łonie góry ukryte.

I idzie wskroś śnieżnej zawiei, z wierną towarzyszką, ponure snując majaki, aż lodowata dłoń śmierci miazdzy mu serce w tej wędrówce. Gunhilda nieżywego już znajduje męża, wtedy siostry podają sobie ręce ponad trupem człowieka, którego obie, każda po swojemu, kochały...

Tak wygląda Jan Gabryel Borkman.

A symbol? Gdzież, w czym, jaki jest symbol? Mamyż wierzyć Brandesowi, który, stworzywszy symbolicznego Ibsena, naśmiewa się teraz z tych, co w każdym przecinku, w każdym domyślniku wietrzyli tajemnice? On, który się przecie na tem zna, oświadcza, że dramaty Ibsena są po prostu sztukami realistycznymi, w których tyle właśnie jest symbolu, ile np. w „Zięciu pana Poirier“.

Więc z nas zażartowano?

Boję się bardzo, czy tak nie jest; lękam się tem bardziej, że w ostatnim utworze, w „epilogu dramatycznym“, który ma być tragedią twórczości Ibsena, bohater zjadliwie natrząsa się z „fistrów sztuki“. Dla nich to, dla dogodzenia ich realistycznym zachciankom, on, mistrz, fałszował swoje artystyczne ideały, za co oni odplacili mu podsuwaniem dziełom jego intencji, których nigdy nie miały. Więc się mistrz zemścił, nadając wizerunkom ludzkim, przy uderzającym podobieństwie, zwierzęce fizyognomie. Z rzeźbionych portretów, zdumiewająco trafionych, wyzierają głowy końskie, ośle łby, psie czaszki, świńskie ryje i brutalne wołowe konterfekty.

Po tem ostrzeżeniu nie kwapmy się tak bardzo pomnażać meżeryę.

Zanim spróbuję w kilku słowach scharakteryzować psychologię, na jakiej p. Kamiński oparł własne pojęcie postaci Borkmana, wspomnę jeszcze o nowej sztuce, w której artysta lwowski zaświadczył o wielostronności swego talentu. Wzmianka jest tem potrzebniejszą, że „Margrabia de Priola“ wcielony został do tutejszego repertuaru dramatu i komedii jedynie dzięki występom p. Kamińskiego.

„Margrabia de Priola“ ma w twórczości Henryka Lavedana stanowić objaw zwrotu ku sile i powadze. Publiczność i krytyka spodziwiają się teraz, że autor „Księcia Aureca“, który był dotąd punktem kulminacyjnym jego powodzeń, przestanie się powtarzać; że talent jego, jałowiejący widocznie i ugrzęzły na mieliźnie dźwignie się i z całą energią wypłynie na fale szerokiej literatury. Może. Nie tru-

dno nawet byłoby zgodzić się na to, że „Priola“ jest początkiem takiego zwrotu, chociaż, gdyby wartość tego utworu miała być oceniana jedynie przez porównanie z tem, co go poprzedziło, autor „Margrabiego“ nie wieleby na tem zyskał. Wznieść się ponad bezustanne popularyzowanie na scenie romansu „światowego“; stworzyć coś żywoźniejszego od powtarzającej się ciągle karykatury banalności, przemówić językiem solidniejszym od owej kwintensencji dowcipu paryskiego, który, jak złośliwie zauważył Ernest Charles, tem się odznacza, że w nim najlepiej smakują na prowincyi; — do tego, zdaje się, nie potrzeba było osobliwego wysiłku. Należy jednak być sprawiedliwym. „Margrabia de Priola“ jest wysiłkiem niewątpliwym, próbą istotną literackiej metamorfozy.

Już sam temat wymagał odwagi niepośledniej. Stworzyć nowego Don Juana... jakie nęcące zadanie! — a od tego bohatera w prostej linii ma pochodzić Priola, który sam się w tym duchu charakteryzuje w rozmowie z Piotrem Morain, swoim synem naturalnym, wychowanym tajemnie przez ojca na spadkobiercę jego mądrości życiowej. Ta zaś filozofia w wykładzie osobliwszego ojca dla nauki młodzieńca, nieświadomego swego pochodzenia, tak mniej więcej brzmi: „Jedyną rację bytu na tym świecie ma zadowolenie instynktów; moralność, cnota, wstyd nie istnieją, a że największą rozkosz człowiekowi rasowemu daje miłość, ku wzruszeniom przeto miłosnym dążyć powinny wszystkie jego wewnętrzne moce. Zresztą, ponieważ niema tak subtelnego wstydu, którego by nie pokonało dobrze prowadzone obłączenie; niema kobiety, któraby się nie poddała nagłym oświadczeniom zręcznego uwodziciela, więc wszystkie kobiety, jakie napotka w swem otoczeniu mężczyzna, „który wie“, do niego należą. Byle tylko ręce wyciągnął, a brunetka czy blondynka, okrągła czy wysmukła, namiętna czy zimna, — każda padnie w jego objęcia“.

Wprowadzenie w czyn tej teorii margrabiego, ku zbudowaniu jego domniemanego następcy, stanowi akcję sztuki, a czyny są ilustracją aforyzmu: kobieta jest jak cień; gonisz ją — ucieka od ciebie; uciekasz od niej — goni za tobą. Pani de Valleroy bawi się, żartuje, igra, ale ulegnie. Priola jest o tem przekonany; nie idzie mu jednak o faktyczne następstwo ujarzmienia, bo dla nowoczesnego Don Juana największą rozkoszą jest pościg, natarcie i opór. Kobieta przestaje być pożądaną w chwili, kiedy się oddaje. Wierny zatem swej zasadzie, margrabia odegra z panią de Valleroy scenę, pełną niebezpiecznych, ryzykownych zwrotów, w której, doprowadziwszy pokonaną do zaofiarowania się w wymownem spojrzeniu, odtrąci ofiarę prawie w momencie psychologicznym. Co innego z panią Lechesne. Jestto żona margrabiego, po rozwodzie z nim zaślubiona z uczonym, trochę

zapędzonym w lata. Spotkanie z Priolą, którego kochała, rozbudza dawne uczucie, zdradzające się pomięszaniem, a margrabia nie byłby Don Juanem, gdyby w tych właśnie warunkach nie ułaknął owocu zakazanego. Tkliwe słowa, wskrzeszające obrazy rozkosznej przeszłości, rozpoczną dzieło uwodzenia; uwieńczyć je ma list miłosny, wydobyty przez Priolę w obecności Piotra Morain'a ze stesu korespondencji z żoną, w którym dzisiejsza pani Lechesne, a ówczesna margrabina de Priola zaprzysięga mężowi wieczną miłość. Ale tu młody potomek Don Juanów nie okazuje się godnym swoich przodków: oburzony Morain ciska Prioli w twarz całą nizekzemność jego postępków, wywołując wybuch gniewu zawiedzionego wychowawcy — i to jest początek katastrofy. Przyspieszy ją traf, podsuwający Morainowi portret jego matki, znaleziony w szufladzie z listami miłosnymi, których uporządkowanie powierzył Priola synowi w celach „pedagogicznych“. Gdy w dodatku nie powiódł się margrabiemu plan usidlenia pani Lechesne, uratowanej dowcipnym fortelem przez przyjaciółkę, dawniej już dostrzegającą niebezpieczeństwo; kiedy Piotr Morain pokazuje margrabiemu fotografię swej matki, — Don Juan czuje chwiejący się pod stopami grunt,

— Mógłbym cię wyzwalać i zabić, — mówi doń mściciel, — ale ja czegoś więcej pragnę. Oznajmiam ci śmierć powolną, straszliwą, zapowiadam zaczajony paraliż, następstwo rozpustnego życia, rozkład, który zrobi z ciebie łachman ludzki, wątły i bezwładny, zanim cię zniszczy do szczytu.

I przepowiednia sprawdza się wkrótce pod uderzeniem nieubłaganej choroby, zostawiającej margrabiemu zaledwie dość czasu do odsłonięcia Morainowi tajemnicy jego urodzenia.

— Nie żyje? — pytają obecni.

— Żywy nieboszczyk, — objaśnia lekarz. — A to gorsze od śmierci, bo to może potrwać dwadzieścia lat.

— Któż go będzie doglądał?

— Ja, — odpowiada Morain — i na to słowo zapada zasłona.

Z dwóch Don Juanów klasycznych: francuskiego, padającego z bluźnierstwem na ustach, i hiszpańskiego, ukorzonego w skrusze i pokucie, wybrał Henryk Lavedan typ Molierowski, jako bliższy zapewne „nowożytnej duszy“. Czy jednak ta bliskość wydobywa się plastycznie na scenie, czy postać, która nęciła wyobraźnię tylu poetów i artystów odwiecznie w niej drgającą prawdą, żyje istotnie we współczesnych nam ramach głębszym życiem swoich prawzorów, i czy nie występuje tu natrętnie kwestya dekoracyi i kostiumu, tak ważna w optyce teatralnej? Wszystkie te wątpliwości akcentować lub osłabiać może gra aktora — tej więc przedewszystkiem przyjrzyć się

wypadnie. Ale przedtem warto rzucić okiem na galeryę typów, które artysta lwowski wcielił podczas swej gościny na tutejszej scenie.

Literat Kalina, sędzia śledczy Mouzon, wizjoner Borkman, rozpustnik Priola,—jaka różnaitość wizerunków psychologicznych, jakie różnice w plastyce zewnętrznej, jakie odrębności w fizyognomii duszy ludzkiej!

A jednak jest coś, co w grze p. Kamińskiego nadaje większości tych figur jakieś cechy wspólne, co w odtwarzaniu ich jednocześnie zdaje się uwydatniać poglądy artysty na sztukę aktorską i człowieka na życie. Mimo nowożytny widocznie kierunek swych studyów, wydobywających z pod dotykanej warstwy realizmu głębsze pokłady duszy, p. Kamiński nie należy do tej grupy „najmłodszych“ aktorów, którzy, naśladowując rzeźbiarzów „modernes“, dają na scenie szkice, traktowane „wielkimi płaszczyznami“. Artysta lwowski bardzo dba o pełność kształtów, wykończy drobiazgowo rysunek, wyglądką kontury i wypukłości i lubi, żeby figura, którą wyrzeźbił, ze wszystkich stron mogła być obejrzaną. Więc maska, obmyślana w każdym szczególe, ma nam odrazu otwierać skrytości charakteru; więc dykcya ze wszystkimi swemi przerwami, pauzami, domysłnikami i prawie naturalistycznymi zająknięciami, udegią doskonałością modulacyj głosowych i plastyczną dosadnością każdej niemal wymówionej zgłoki; więc gestykulacya, trzymana na ogół w liniach, bardzo powściągliwie kreślonych, akcentuje jednak z pewnym naciskiem w ruchach charakterystycznych drgnienia temperamentu, uczucia, namiętności, niemal że błyski myśli. Któż w znamiennych podrzuceniach głowy Kaliny, w bezwiednem układaniu się jego figury, w płynności mowy, wlewającej odrazu wchłonięty materiał książkowy, nie pozna literackiej pozy na orlę spętane w więzach powszedniości? Kto nie dostrzeże w starannie wyczesanej, lysawej głowie, w misternie wypielęgnowanej brodzie sędziego Mouzon, w jego głosie zimnym, bezdźwięcznym, w dykcji suchej, jak referat biurowy, w gestach nerwowych, niecierpliwych, typu, mającego u Francuzów specjalną nazwę *un arriviste*, karyerowicza, który w przerwach między jednym a drugim wyścigiem o awans, nurza się w pospolitych uciechach życiowych na zimno, bez temperamentu, z systematycznością zmysłowego mieszcucha? A Borkman? Czyż to nie wspaniałe wcielenie w postawie, chodzie, ruchach i mowie monomana wielkości, czy nie znakomite upostacowanie zewnętrzne lwa, zamkniętego w klatce, z ruchami, rozkołysaniami od ciągłego przemierzania ciasnoty swego dobrowolnego zamknięcia, ze sztucznym w słowach patosem, rozsnuwającym w paroksyzmach gorączkowe wizye? Studium prawie patologiczne — bo ten

lew wygląda chwilami, jak gdyby miał już początki rozmiękczenia mózgu... I tak coraz wyżej, aż do Prioli, który ze swoją wygoloną twarzą rzymskiego dekadenta, z wytworną całością postaci dystynkcyjną, z akcentami subtelnej sarkazmu we frazesach swej *amoralnej* filozofii, jest niewątpliwie najświetniejszą p. Kamińskiego kreacją. To nie *beau ténébreux* z doby romantyzmu, działający na kobiety tajemniczym czarem przeczuwanej fatalności; to dzisiejszy zdechłak w wielkim stylu, bohater rozkładu, dusza gnijąca, która na uczcie życia smakuje jak skruszała „po pańsku“ zwierzyna, Ten właśnie smak nęci znieprawione kobiece natury, i ta „dzisiejszość“ nowoczesnego rozpustnika, przeprowadzona w grze p. Kamińskiego z nadzwyczajnym artyzmem, czyni wskrzeszonego Don Juana aktualnością, obywającą się bez trykot, płaszcza hiszpańskiego i szpady przy boku.

A teraz jeden szczegół.

Kiedy literat Kalina podnosi co chwila głowę, zwracając ją przytem charakterystycznie, jak gdyby sam przed sobą w lustrze pozował; kiedy sędzia Mouzon, przed wejściem żony Etschepara, ukradkiem w lusterku się przegląda; kiedy Borkman, usłyszawszy pukanie, pod wpływem swej *idée fixe*: że społeczeństwo przychodzi złożyć hołd jego wielkości, poprawia też przed zwierciadłem włosy i brodę, — wszyscy trzej wyglądają tak, jak gdyby p. Kamiński z intencją w grze swojej wydobywał z każdego... kabotyńca. Intencja usprawiedliwiona w różnym stopniu we wszystkich trzech postaciach; ale właśnie umiejętność zachowania tych stopni i przystosowania do nich techniki aktorskiej wkracza już w dziedzinę filozofii życiowej artysty, zwłaszcza gdy margrabia de Priola, w którym niema ani jednej żyłki kabotyńca, najsilniej w interpretacji p. Kamińskiego drga prawdą życiową. Znaczyłoby to w języku praktycznej mądrości, że szczerymi, wolnymi od aktorstwa w życiu mogą być tacy tylko jak Priola ludzie i że oni to dają artyście najwdzięczniejszy do odtwarzania materiał. Poglądy artysty na życie nie podlegają dyskusji i interesować mogą zawsze ilekroć w nich twórczość jego szczerze się wypowiada. Pod tym względem równouprawnione są wszystkie, czego byliśmy świadkami w ciągu występów p. Kamińskiego. W jednej z piękniejszych scen w „Gabryelu Borkmanie“, stoją obok siebie dwaj niewątpliwie najlepsi dziś artyści sceny polskiej: p. Kamiński i p. Frenkiel, a jeżeli pierwszy z nich zdaje się reprezentować takie zapatrywania na życie i sztukę o jakich wspominałem wyżej, to drugi w roli Foldala, owego odepchniętego przez Borkmana pocziwiny, z przedziwnym, artyzmem

przypomina publiczności zdanie pewnego znakomitego rzeźbiarza: że najpiękniejszym, choć może najtrudniejszym dziełem sztuki jest... dobry człowiek.

V.

Zdarza się często, że niepowodzenie dzieła wywołuje żywe, namiętne niekiedy rozprawy. Obrona utworu występować zwykła w takim razie jako najistotniejszy moment dyskusji, prostującej sądy krytyczne, które bywają czasem niekrytycznymi. Trafia się także wprost przeciwna sytuacja: powstają protesty przeciwko powodzeniu, popierane motywami o zepsutym smaku publiczności, niezdolnej odróżnić tandety od prawdziwego dzieła, kuglarskiej zręczności od twórczego natchnienia. Ale cóż powiedzieć o wypadku w którym niemal formułowano pretensje do słuchaczy o to że słuchali z przyjemnością cudnej muzyki i że dwadzieścia kilka razy tłumnie po to przyszli do teatru?

Taki wypadek zaszedł z operą G. Oreficego p. t. „Chopin“. Wsiadłszy na wielkiego konia „zasady“, krzywiono się tu i owdzie w krytyce na ten szereg pełnych przedstawień.. nie brakowało nawet apostrof o... profanacyi.

O co tu właściwie chodziło i w imię jakich zasad występowano w tej sprawie — jeżeli to wogóle sprawą nazwać można?

Zdolny muzyk, włos, p. Orefice, dobrał sobie ziomka, librecistę, który wysnuł z życia Chopina treść do opery, skombinowanej przez kompozytora wyłącznie z tematów Chopina, o czem p. Orefice, z góry jaknajlojalniej uprzedził publiczność. Libretto niema w sobie oczywiście nic biograficznego; zarówno bohater jak otaczające go postacie, są raczej symbolami, użytymi do wyrażenia stanów duszy genialnego poety tonów a jego własna muzyka wypełnia te symbole, w sposób, świadczący najprzód o głębokim kulcie włoskiego kompozytora dla Chopina, a powtóre o doskonałym wczuciu się w duchową treść jego dzieł. Zdawałoby się że nic nie może być prostszego nad taką psychologię kompozytora i jego utworu; tymczasem ta właśnie psychologia została najsilniej zakwestyonowana „Jakiem prawem p. Orefice przystosowywał samowolnie do pewnych sytuacji swego dramatu takie a nie inne motywa; jaką drogą doszedł włoski kompozytor do wniosku, że melodeje zapożyczone z użytych przezeń nok-

turnów, ballad, scherzów, preludyów, a nawet etiud, mogą odpowiadać uczuciom które im kazał wyrażać; co go upoważniło do przypuszczeń, że usposobienie w jakim Chopin wydobywał ze swej duszy te melodie odpowiadało właśnie nastrojom, wytworzonym przez librecistę? Takie pytania stawiano w formie zarzutów p. Oreficemu, nie zwracając na to uwagi, że dla każdego słuchacza czy krytyka, który nie jest doktrynerem odpowiada na nie sam — Chopin.

Odpowiada również pytaniem: „A skądże wiecie wy, tak skory do zarzutów, co, kiedy, jak i dla czego ja tworzyłem i czy to, na czem wy budujecie wasze domysły i głosy, prawdziwszem jest od domniemań włoskiego komentatora? Muzyka jest mową sugestyi, która ma swoje kojarzenie uczuć, podobne do kojarzenia myśli, i wytwarza w duszach indywidualne światy. Macie wy wasze, pozwólcie jemu mieć swoje, zwłaszcza jeżeli tu chodzi o przetłomaczenie mojej duszy na mój język.“

I na to istotnie trudno coś rozsądnego odpowiedzieć; bo przecież to nie p. Orefice mówi o Chopinie, tylko Chopin sam się wypowiada, a spór o wybór tematów jest po prostu dziecinny. Tam, gdzie w drobnym mazurku, w króciutkim walcu płynie fala najgłębszego liryzmu; gdzie w kilkunastotaktowym preludjum zamyka się cały poemat, a polonez zawrzeć może rozpaczliwy dramat; gdzie z etiudy wydzie-
ra się okrzyk tragiczny, — tam tylko ciasny pedantyzm gatunkować może uczucia według form muzycznych, jak gdyby tu szło o nokturny Fielda, o fantazyje Kalkbrennera, albo o *Gradus ad Parnassum* Clementiego.

Uczucia te zresztą redukują się w samym życiu Chopina do paru typowych, i te właśnie wypełniają cztery obrazy libretta, dla nich wyłącznie szukał p. Orefice odpowiedników muzycznych w całej twórczości Chopina. Nie było mu trudno znaleźć i dać im doskonałą ekspresję w śpiewie i pełen życia koloryt w orkiestrze. Pierwszy obraz — to na dekoracyjnem tle Żelazowej Woli wpływy ziemi rodzinnej i młodocianego uczucia na geniusz, wyrywający się do lotu: więc pieśń ludowa jako nastrój zasadniczy, a wśród niej pierwszy śpiew miłosny, czysty, prawie dziecinny, jak owa kołysanka, z której snuje się jego melodia. W drugim — Nohant, George Sand i cała głębia namiętności, którą w źródle samem zatruwa nieuleczalna tęsknota. Trzeci obraz przenosi nas na Majorkę, na widownię walk wewnętrznych, szarpiących duszę mistrza z gwałtownością burzy, rozpiętanej nad ziemią i nad człowiekiem. Wreszcie w czwartym — Paryż i śmierć z ostatnią pociechą w uścisku dziewczęcia, które było pierwszą jego miłością i które mu z sobą

przyniosło wizję utraconego raju. Wszystko to w konturach i barwach, w jakie muzyka ująć może bole i radości ludzkie; więc czas i miejsce rozplywa się w atmosferze dźwięków; bohaterowie są melodyjną ekspresją uosobionych uczuć; życie brzmi, drga, rozegrane jakąś bezimienną symfonią — a duszą, z której narodziła się ta symfonia, jest — Chopin.

Tego Chopina słucha z zachwytem publiczność, i to właśnie mają jej za złe — bo powinna go słuchać tylko na fortepianie. W interpretacji fortepianowej wolno wirtuozowi puszczać cugle fantazyi — nazywa się to wtedy indywidualnem pojmowaniem mistrza; ale nie wolno dobremu muzykowi przedstawić Chopina w muzyce Chopina. Wtedy bowiem dzieje się profanacya.. Zabawnie to wygląda!

I tak się też wydało publiczności, która, wchłaniając mimo wszystko poezję z najczystszej krynicy, potrafiła oddać każdemu, co mu się należało. P. Orefice, popisujący się na koncercie z własnymi kompozycjami, nie wywarł na niej wrażenia, ale wdzięczna była p. Oreficemu, jako tłumaczowi, za jego operową transkrypcję z Chopina, która słuchaczom prawdziwą rozkosz sprawiła.

Powodzenie „Chopina“ miało, jak wszyscy pamiętają, zdecydować w sferach teatralnych o dalszych losach opery polskiej; jeżeli tak, — to wyborni wykonawcy utworu p. Oreficego, panie Zbońska i Lucówna, pp. Leliwa i Grąbczewski, będą mogli słusznie pochwalić się, że talenty ich szczęśliwie na te losy wpłynęły.

W. BOGUSZAWSKI.

SŁOWACKIEGO „BEATRYX CENCI“.

I.

Mało zapewne znaną jest rzeczą, że Słowacki napisał właściwie dwie tragedye pod tym tytułem: jedną w języku francuskim, a drugą (później) w polskim. Pierwsza z nich uległa zatracie, ale nie zupełnie, gdyż zachowały się z niej fragmenty, które wydał jeszcze w r. 1870 prof. Gasztowtt w Paryżu. Dziwną jest rzeczą, że urywki te nie zwróciły dotąd bliższej uwagi nikogo z tych, którzy o „Beatryx Cenci“ Słowackiego pisali ¹⁾; są one bowiem pierwszorzędnej wagi dla bliższego wniknięcia w genezę naszej polskiej tragedyi; dają nam pierwszy punkt oparcia, z którego wychodząc, postaramy się dokładniej oznaczyć czas powstania tej tragedyi, oraz wpływy zewnętrzne, które złożyły się na jej genezę.

Tragedya francuska powstała, jak słusznie twierdzi prof. Małecki, w r. 1832 w Paryżu. W liście z d. 9 listopada 1832 r., donosi poeta matce, że w tym miesiącu był sześć razy na tragediach francuskich.. dla poznania się lepiej z Francuzami terazniejszymi i grą aktorek. „Albowiem — pisze dalej — pod sekretem powiem Ci, Ma-

¹⁾ Hoesick: „Beatryx Cenci“, czyli o rzekomym wpływie Schelley'a na Słowackiego, „Ateneum“, 1892, I.

Porębowicz: Jeszcze o „Beatryx Cenci“ Słowackiego“, „Ateneum“. 1896, II.

Pini: Kilka słów w sprawie wpływu Schelley'a na Słowackiego „Beatryx Cenci“, „Ateneum“, 1897, II.

Fragmenty „Beatryx Cenci“ wydał dr Biegeleisen, „Tygodnik ilustrowany“, 1893, №№ 204 — 206.

Fragmenty francuskie wydał prof. Gasztowtt: „Oeuvres complètes de Jules Słowacki“, t. I, Paris, 1870.

mo, że piszę tragedję dla jednego z tutejszych teatrów. Nie wiem jednak, czy mi ją przyjmą i czy zechcą zapłacić“. Do tych słów dodaje prof. Małecki następującą notatkę: „Między papierami po śmierci poety, przez rodzinę jego przywiezionymi do kraju, rzeczywiście znaleziono dwa małe urywki z francuskiego dramatu, pisanego jego ręką, a poprawianego gdzieś indziej innem piśmem, zapewne przez jakiegoś rodowitego Francuza. Urywki te są z końca sztuki: jeden z czwartego, drugi z piątego aktu“. Rzeczony urywki, które się wydały wydawcy „zbyt mało znaczące, aby je zamieszczać w zbiorze pism pośmiertnych Słowackiego“, udzielił prof. Małecki prof. Gasztowttowi ¹⁾, który, uważając je za jeden fragment ²⁾, ogłosił to w roku 1870, jako I, II, III i IV-tą scenę aktu V-go.

Po bliższem wglądnięciu w wydrukowane urywki, widzimy, iż prof. Małecki był bliższy prawdy, twierdząc, że są to dwa fragmenty, nie jeden. Sam prof. Gasztowtt zaznacza, że przed końcem sceny, którą nazwał II-gą, istnieje większa luka w rękopisie ³⁾. Co więcej, druga część (po tej luce) zupełnie nie zgadza się z pierwszą. Gdy bowiem w pierwszym fragmencie Beatryx i jej rodzina znajdują się już w więzieniu, w drugim Giano nie wie jeszcze nic o zbrodni, którą popełniła jego ukochana. Widać z tego, że nietylko mamy tu do czynienia z dwoma fragmentami, a nie jednym (jak już twierdził prof. Małecki), ale co więcej, fragment 2-gi (wydany jako koniec sc. II, sc. III i początek IV-ej) pochodzi z początku tragedji, mianowicie (jak się później przez porównanie z tragedją polską przekonamy) mniej więcej z aktu II-go; natomiast fragment 1-szy (wydany jako sc. I i II) jest rzeczywiście urywkiem z aktu V. To zmienia zupełnie znaczenie zachowanych urywków, gdyż w ten sposób, gdy jeden z nich pochodzi z początku, a drugi z końca sztuki, dają nam one możność odtworzenia w przybliżeniu planu całej tragedji francuskiej, a tem samem pozwalają porównać ten plan pierwotny z naszą tragedją polską.

Fragment 2-gi przedstawia nam (jak się z akcji łatwo domyśleć) mieszkanie rodziny Cencich. Jest to wieczór ⁴⁾. Beatryx rozmawia

1) L. c., zob. notę do str. 16.

2) Un fragment de tragédie, str. 16; ce fragment du drame inédit, str. 435.

3) Il existe en cet endroit une lacune dans le manuscrit, str. 438.

4) Giano wchodząc mówi: „Bonsoir“.

z bratem swym, Thomasem, a nad nimi zawisła duszna atmosfera spełnionej zbrodni, morderstwa ojca. Puka ktoś. Thomaso idzie otworzyć, wyciągając sztylet; dopiero siostra zwraca jego uwagę: „Nie wyjmuj przecież zawsze sztyletu, gdy drzwi otwierasz“. Wchodzi Giano. Z rozmowy, która się zawiązuje, dowiadujemy się, że Giano Giani kochał Beatrycę i kochał ją oddawna, jeszcze za życia jej ojca ¹⁾. Będąc jednak artystą i utrzymując się jedynie z malarstwa, nie śmiał prosić o rękę bogatej patrycyszki rzymskiej. Dopiero niespodziewana protekcya wysokiego dygnitarza Kościoła, wydobyła jego i jego brata z nędzy, i obecnie wślawił się w całym Rzymie obrazem, w którym przedstawił swą kochankę jako Jephthe (*sic*), uwieńczoną kwiatami. Sama Beatryx była mu wzajemną i za życia ojca przysięgała mu, że będzie tylko do niego należeć ²⁾, dopiero od śmierci ojca nigdy już tej obietnicy nie ponowiła.

Obecnie Giano prosi Thomasa, jako głowy rodziny, o rękę jego siostry. Oświadczenie to wywołuje ogromne wrażenie na Beatrycy, która pragnie z nim rozmówić się sam na sam. Następna scena miała zawierać rozmowę między kochankami; już jednak na trzecim zdaniu zachowany fragment się urywa. Jaką miała być treść owej rozmowy, łatwo odgadnąć, skoro tylko porównamy nasz fragment z polską tragedją, mianowicie z zakończeniem aktu II. W fragmencie zapowiada Beatryx, że ma swemu kochankowi opowiedzieć ważne rzeczy; (*j'ai des choses graves à te dire*) tak samo w pierwszym rzucie zakończenia aktu II-go mówi Beatryx: „Chodź, powiem ci straszną historję“. Niewątpliwie zatem, w fragmencie francuskim, podobnie jak w tragedji polskiej, następowało teraz wyznanie strasznej zbrodni, przyznanie się do zabójstwa ojca.

Fragment I szy (wydany jako scena I i II aktu V-go) przedstawia nam ponure więzienie, w którym zamknięci są: Beatryx, matka jej, Lukrezzia Cenci i bracia, Thomaso i Azzo. Stróż więzienia oznajmia, że ksiądz czeka w celi na uwiezionych, a zarazem opowiada, że Ojciec św. miał już podpisać na nich wyrok ułaskawienia, ale, dowiedziawszy się, że nowa zbrodnia, tak samo straszna, została popełniona ³⁾, przedarł papier i nie chce już nic o tem słyszeć. Zbrodni tej nie chce dozorca wymieniść, mówiąc, iż człowiek,

1) „Encore du vivant de votre père“. W polskiej tragedji kochankowie widzą się po raz pierwszy na pogrzebie ojca.

2) „Vous m'avez juré alors de n'appartenir qu'à moi.“

3) „Qu'un autre crime aussi terrible avait été commis.“

tak samo nieszczęśliwy, jak oni¹⁾ (niewątpliwie Giano Giani) zabronił mu o tem mówić. Następuje scena pożegnania. Dozorca zatrzymuje odchodzącą Beatrycę, i wzruszony jej losem, chce jej dać flakonik z trucizną, jeżeli nie dla niej, to może dla kogoś, nad którym ona się ulituje²⁾; mówi, że Beatryx nie może się już niczego spodziewać; stary kardynał jest jeszcze u papieża, lecz wstawia się o los kogoś innego³⁾. Beatryx przyjmuje machinalnie flakonik. Odźwierny, wychodząc, spotyka Giana, który pyta się go tylko, czy Beatryx nie wie o niczem⁴⁾. Niewątpliwie następowała teraz dalej rozmowa w więzieniu między Beatrycą a Gianim, jak widzimy z 2-ej sceny aktu V-go polskiej tragedyi, w której podłożona jest ta sama sytuacja z tą małą zmianą, że miejsce odźwiernego zajmuje słodka Dolorida.

Jakież jest zatem stosunek polskiej tragedyi do owych fragmentów francuskich? Prof. Małecki wyraził opinię, że „osnowa polskiego dramatu zupełnie odstępuje od pomysłu, wedle którego, o ile wnosić można z fragmentów, rzecz ta była przeprowadzona w sztuce francuskiej“⁵⁾. W świetle przytoczonych szczegółów zdanie to okazuje się nie ściśle, widzimy przeciwnie, że pomysł pierwotny, odbudowany z zachowanych urywków, odpowiada prawie zupełnie późniejszemu, z którego powstała tragedia polska.

W tragedyi francuskiej, tak samo, jak w polskiej, źródłem tragicznego konfliktu jest miłość Giana do Beatrycy, splamionej krwią ojca. W obu Giani nie wie z początku o tej strasznej zbrodni i dowiaduje się o niej z ust samej Beatrycy. Tak samo, jak w tragedyi polskiej, tak i we fragmentach, Giani i jego brat. są dziećmi nieprawemi wysokiego dostojnika Kościoła. W obu utworach, po wtrąceniu całej rodziny Cencich do więzienia, zabija Giani swego brata, a ta nowa zbrodnia uniemożliwia ulaskawienie Beatrycy przez papieża; w obu również Giani dostaje się do więzienia, a ów wysoki dostojnik (Orsini) wstawia się gorąco do papieża za losem swego syna.

Jedyna rzecz zasadnicza, która różni oba opracowania, francuskie i polskie, to założenie całej tragedyi, nawiązanie węzła tragicznego, z którego snują się dalsze wypadki. We fragmentach Giani kocha Beatrycę jeszcze przed spełnieniem przez nią zbrodni; miłość

1) Un malheureux comme vous.

2) Dont vous aurez pitié.

3) Il intercède pour un autre que vous.

4) Elle ne sait rien:

5) J. Słowacki, wyd. 3-cie, t. I, str. 195 i 196, nota 3.

ta jest wzajemną i Beatryx przysięga swemu kochankowi, że będzie tylko do niego należała. Dopiero zbrodnia rozdziela ich w chwili, gdy już byli bliscy dopięcia zamierzonego celu, i staje się przyczyną dalszych tragicznych wypadków. Natomiast w tragedii polskiej nieć akcji przesunięte są ze świata realnego w zaświat. Tajemnicze wiedźmy pojawiają się przed Gianim i pokazują mu ściętą głowę Beatryczy. Na ten widok miłość jego wybucha płomieniem, nosząc w sobie już w samym zarodku cały tragizm fatalności, z nią związaną. Odtąd fatum, uosobione w trzech wiedźmach, zawisło nad całą akcją, ono popycha Giana do morderstwa własnego brata (zresztą niczem innym nieuzasadnionego), które uniemożliwia ułaskawienie Beatryczy, a tem samem powoduje śmierć samobójczą Giana. Fatum tryumfuje, pokonane dopiero w ostatniej chwili przez obraz Najświętszej Panny.

Później zastanowimy się, jakim wpływom przypisać należy to wprowadzenie metafizyki w ziemskie czyny. Obecnie idzie nam tylko o stwierdzenie faktu, że temat polskiej tragedii jest ten sam, co francuskiej, że zmiana polega jedynie na uchwyceniu tego tematu z innej artystycznej strony, na pogłębieniu motywów akcji i przypisaniu im metafizycznego znaczenia, ale że sama akcja, realny bieg wypadków, działające postaci, a nawet główne sytuacje, pozostały niezmiennione, tak, jak zrodziły się w umyśle poety w trakcie tworzenia tragedii francuskiej, t. j. w r. 1832 w Paryżu.

Ostateczne rozstrzygnięcie tej kwestyi ma dla nas znaczenie, skoro zechcemy zbadać, jakie było źródło właściwego pomysłu tragedii, skąd czerpał Słowacki faktyczne dane do przeprowadzenia akcji. Dotychczasowe wszystkie badania, w tym kierunku podejmowane, były tylko ciągle przypuszczeniami bez tej realnej podstawy, jaką uzyskujemy przez ustalenie daty powstania pomysłu. Rok 1832, przyjęty jako granica, do której skryształizował się ten pomysł, każe z góry odrzucić przypuszczenia prof. Porębowicza o wpływie sztuki pp. Béraud et Bouilly, p. t.: „Guido Reni“, De Custin'a: „Beatrix Cenci“, oraz o wpływie Kroniki Stendhal'a. W ten sam sposób usuwamy wszystkie, tak liczne przypuszczenia o wpływie Schelley'a na genezę tej tragedii, gdyż w tym czasie jeszcze o Schelley'u nie było nic sły-chać w Europie.

Jedynym źródłem faktycznym utworu Słowackiego jest opowiadanie, nie poparte żadnymi dokumentami, w wielu miejscach (jak nowsze badania dowiodły) błędne, lub niedokładne, podawane w różnych zbiorach ciekawych historii i wypadków. Przytaczamy

tutaj w streszczeniu tekst owej historyi tak, jak ona była znaną z czasów Słowackiego ¹⁾).

„Francisco Cenci był jednym z najgorszych ludzi, jakich zna historia. Chciwość, skąpstwo i występne żądze składały się na jego charakter. Z pierwszej żony miał on pięciu synów i dwie córki, z którymi się obchodził z nieludzkiem okrucieństwem. Gniewu jego nie mogła złagodzić nawet druga jego żona, Lukrecya, kobieta wielkiej piękności i cnoty. Tymczasem zbrodniarz ten poczuł występna żądze ku swej córce Beatryczy, odznaczającej się wielkim wdziękiem i pięknnością. Rozdrażniony oporem, zaczął znęcać się w sposób potworny nad żoną i córką. Wówczas, za namową Giacoma, najstarszego syna, i Guerry, kochanka Beatryczy, postanowiono go zabić. Guerra wynajął do tego czynu dwóch bandytów ²⁾). W oznaczonej porze, w nocy, gdy Francisco Cenci zasnął po silnej dawce opium, obie kobiety zaprowadziły morderców do sypialni, oczekując w sąsiednim pokoju wyniku czynu. Po chwili obaj bandyci wracają, oświadczając, że nie mogą zabić bezbronnego. Wówczas Beatrycze, oburzona, wyrwa im z rąk narzędzia śmierci i sama chce dokonać czynu, czem zawstydzeni złoczyńcy powracają do sypialni i spełniają straszne morderstwo. Trupa wyrzucają kobiety na podwórze. O świcie zaczyna cała rodzina lamentować nad nieszczęśliwym wypadkiem, któremu uległ ich ojciec, gdyż upadł jakoby z ganku i zabił się na miejscu. Sąsiedzi uwierzyli płaczom, a ciało nieszczęśliwego zostało uroczyście pogrzebane.

„Tymczasem jeden z dwóch bandytów dostał się przypadkowo w ręce sprawiedliwości i wyznał całą prawdę. Wówczas matka i córka zostają uwięzione, a razem z nimi dwaj bracia, Giacomo i młodziutki Bernardo. W pierwszym przesłuchaniu przeczą wszyscy stanowczo zarzucanej im zbrodni i bronią się w sposób, przekonywający sędziów. Gdy jednak Guerra, którego także chciano uwięzić, uciekł, a równocześnie, gdy dostał się w ręce sądu bandyta, którego Guerra namawiał do zabicia drugiego mordercy, by ten także nie wydał tajemnicy, wówczas sąd postanawia wziąć oskarżonych na tortury. Giacomo i Lukrecya wyznali zaraz wszystko, a pod ich wpływem i Bea-

¹⁾ Charles Diguët: „Les grandes amoureuses“ (B. Cenci).

Franz Gräffer: Cabinet historischer Trauergemälde und Schreckensscenen, Wien, 1813 (Beatrix Cenci Vatermörderin).

²⁾ Może Słowacki myślał także przedstawić scenę układów z bandytami, gdyż w przekreślonej scenie w rękopisie maluje obóz bandytów w dawnym grobowcu w Kampani i Giana, który przychodzi do nich.

tricie, która teraz chce całą winę przyjąć na siebie. Papież skazuje wszystkich na śmierć, ale na prośby sławnego prawnika, Farinaccia, skłania się już do zamiany kary. W tej chwili jednak rozchodzi się wiadomość o nowej zbrodni w Rzymie, której dopuścił się niejaki Paolo Santa Croce na swojej matce. Papież, oburzony, podpisuje wyrok śmierci. Stracenie odbywa się na placu około mostu św. Anioła. Beatricze, jej matka i brat giną na rusztowaniu; z całej rodziny pozostaje tylko nieletni Bernardo“.

Istniało jeszcze drugie opowiadanie tej historii ¹⁾, które znów wspomina o jakimś Mario Guerra „monsignore“; ten Guerra jest towarzyszem młodych Cencich; kocha on Beatriczę i myśli się z nią ożenić.

Z pierwszego porównania tej historii z fabułą naszej tragedyi widać, że Słowacki przejął całą treść historyczną i kolejne następstwo poszczególnych faktów. Równocześnie jednak przeprowadził poeta kilka zmian: usunął zupełnie postaci bandytów, a zbrodnię kazał spełnić samej Beatryczy. Następnie, połączył Słowacki postać kochanka Beatryczy, „Guido Guerra“, z wspomnianym w drugim opowiadaniu „Monsignore Mario Guerra“, i uczynił ich braćmi, z których pierwszego nazwał „Giano Giani“, a drugiego Monsignor Pietro. Podanie o portrecie Beatryczy, który miał wykonać zakochany w niej malarz, Guido Reni, przejął również Słowacki, przypisując ten talent malarski księdzu Pietro ²⁾. Wreszcie zbrodnię, której się dopuszczono w tym czasie w Rzymie i która uniemożliwiła uwolnienie Beatryczy, połączył poeta przyczynowo z jej sprawą. Oto zmiany, przeprowadzone w historycznej fabule wypadku.

W tragedyi Słowackiego znajdujemy jednak cały szereg scen i obrazów, których źródła nie należy szukać w historii tragedyi, ale w tragediach Szekspira. Na kwestyę tę zwrócił pierwszy uwagę Bełcikowski; dokładniej zajął się nią p. Hösick ³⁾. Ponieważ jednak nie wyczerpano szczegółów i tylko na ogólne podobieństwa zwrócono

¹⁾ Zob. „Revue des deux mondes“, 1837, t. XI i Bartoletti: „Francesco Cenci e la sua famiglia“, 1879. Dokumenty te były ogłaszane za czasów pobytu Słowackiego w Paryżu w dziennikach (por. Porębowicz).

²⁾ Znany ten obraz nie przedstawia właściwie B. Cenci, jak udowodniono w nowszych czasach: zob. H. del Epinoy „La famille de B. Cenci“: Revue des Quest. hist. XXVII. „Psychologiczne przypuszczenie“ p. Hösicka o wpływie tego portretu na genezę tragedyi, oparte jest na zbyt kruchych podstawach.

³⁾ „Ateneum“, 1892, I.

uwagę, nie wahamy się poddać jej jeszcze raz szczegółowej i gruntownej analizie, której cel w dalszym ciągu naszej pracy stanie się widoczny.

Na polską tragedję Słowackiego wpłynęły zwłaszcza dwie tragedje Szekspira: „Makbet“ i „Romeo i Julia“. P. Hösick zwrócił uwagę, że trzy wiedźmy, które (w tragedji Słowackiego), zjawiwszy się na wezwanie matki, trzymają odtąd nici akcji, są przejęte z „Makbeta“. Postaramy się wykazać, że nietylko sam ten pomysł, ale nawet obrazy, towarzyszące zjawieniu czarownic, są wzorowane na Szekspirze.

W scenie 3-ej aktu I-go „Makbeta“ widzimy trzy wiedźmy, które opowiadają sobie nawzajem swoje czyny. Wreszcie trzecia z nich woła:

Trąba brzmi, puzon dmie:
Makbet, Makbet zbliża się.

Wchodzą Banko i Makbet, a pierwszy z nich, ujrawszy trzy wiedźmy, mówi:

Któż są
Te tam postacie wywiędłe i szpetne

Wówczas Makbet odzywa się:

Jeśli możecie, mówcie — kto jesteście?

Cały ten obraz znajdujemy w 8-ej scenie I-go aktu „Beatryx Cenci“. I tam rozmawiają trzy wiedźmy, pełne dzikiej radości, aż wreszcie trzecia z nich woła:

Cicho mów — cicho mów!
Słyszysz, idzie człowiek nasz,
Cyt, cyt, cyt -- pokażmy twarz.

Wchodzą Giani i Cesario, a pierwszy z nich mówi:

Cesario patrzaj — tam, przy obelisku
Czy widzisz? jakieś trzy straszdyła czarne,
Z bladymi stoją pochodniami,

a potem zwraca się do czarownic, wołając:

Mówcie do mnie:

Podobnie scena pierwsza aktu IV-go „Beatryx Cenci“, wzorowana jest na scenie aktu IV-go „Makbeta“.

U Szekspira Makbet zaklina tajemnicze trzy czarownice, by odpowiedziały na jego pytania:

Odpowiedzcie mi, odpowiedzcie na to,
O co was pytam.

Wówczas słyszy głos:

Makbecie! Makbet! lękaj się Makdufa,
Lękaj się tana Fifu — przyjm tę przestrożę.

Gdy zjawisko owo znika, woła za niem Makbet napróżno:

Jeszcze słow!

U Słowackiego Giani woła:

Widma — do mnie.
Błagam was, mówcie! mówcie! ja was błagam.

Wówczas odzywa się głos:

Od brata twego ją broń, broń od brata.

Giani chce się dowiedzieć więcej i rozpaczony woła:

O mary, widzę, że mnie opuszczacie,
Uległe władzy silniejszej zniknięcia,
Niż moja władza zaklęć. Jeszcze słow!

Jeszcze jeden obraz z tragedyi Słowackiego wzorowany jest na „Makbecie“, mianowicie scena (10 i 11 aktu I-go), gdy Tomaso w nocy budzi swym krzykiem mieszkańców, wołając:

Ratunku! w bramę stukajcie do Cencich,
 Tu Cenci leży skrwawiony — mój ojciec!
 Stukajcie w bramę do Cencich — ratunku!
 Obudźcie moją matkę — o morderstwo!

Na to pojawia się matka Cenci, mówiąc:

Słyszę głos mego syna i lamenty,
 Ze snu się zrywam...

Wówczas jeden z mieszczan, bojąc się wrażenia, jakie nanią wywrze straszna wiadomość, woła:

Zabitego żona!
 O, nie puszczajcie kobiet!

Tak samo u Szekspira w 3-ej scenie II-go aktu Makduf oznajmia wśród ciemnej nocy zamordowanie króla:

Hola! Wstawajcie! Przybywajcie! Bijcie
 W dzwony na alarm. Mord! piekielna zdrada!
 Banko! Donalbein! Malkolm! Przybywajcie!
 Otrząście z siebie sen, tę maskę śmierci,
 By śmierć prawdziwą ujrzeć. Przybywajcie
 Co tehu!..

Wówczas wchodzi Lady Makbet i mówi:

Co się stało,
 Że tak złowrogiej trąby odgłos wszystkich
 W domu rozbudza? Dla Boga, Makdufie,
 Mów, co się stało!

Na to Makduf z równem uczuciem, jak mieszczanin Słowackiego, jej odpowiada:

O, szlachetna Pani,
 Nie wam to słyszeć, cobym mógł powiedzieć;
 Wiadomość tego rodzaju trafiwszy
 Niewieście ucho, zabiłaby.

Niejednokrotnie zrobiono już uwagę, że para kochanków—Giani i Beatryx, przypominają zupełnie Romea i Julię, że postać ojca Anzelma wzorowana na ojcu Laurentym Szekspira, że nawet walka dwóch rodów, Colonna i Orsinich, ma swe źródło w walce, którą wiodą Monteki i Kapulety. Podobieństwo to sięga jeszcze dalej i w owej tragedyi Szekspira znajdujemy znów wzory całych obrazów: [„Beatryx Cenci“.

Oto widzimy u Szekspira (akt II, sc. I) spotkanie zwolenników dwu wrogich rodów. Tybalt, zoczywszy Romea, mówi do niego:

Romeo, nienawiść
Moja do ciebie nie może się zdobyć
Na lepszy wyraz, jak ten: jesteś podły.

Romeo jednak, widząc w Tybaltcie krewnego Julii, nie chce z nim walki i odpowiada spokojnie:

Tybaltcie, powód do kochania ciebie,
Jaki mam, tłumi gniew, słusznie wzburzony
Taką przemową...
Sprzyjam ci, owszem, bardziej, niżes zdolny
Pomyśleć o tem, nie znając powodu.

Wówczas przyjaciel Romea, Merkucio, zdumiony jego ustępstwem, dobywa szpady, walczy z Tybaltem i pada raniony śmiertelnie. Widząc jego śmierć, Romeo odzyskuje cały hart ducha i z bronią w ręku rzuca się na Tybalta.

Czyż nie ten sam obraz widzimy u Słowackiego w scenie (4ej, aktu I-go), gdy Tomaso spostrzega Gianiego na pogrzebie i woła:

Zabiwszy trupa, przyszedłeś na pogrzeb?
Przepowiedziałem, że się w tłumie kryje
Jakiś z Orsinich — szpieg, albo zabójca.

Giani, tak samo, jak Romeo, dowiedziawszy się, że wróg jest krewnym jego ukochanej, odmawia walki:

Do pochwy włóż twoje żelazo,
Bo ja nie będę nigdy twoim wrogiem.

Wówczas Cesario, przyjaciel Gianiego, woła.

Oszalał! Giani, co słyszysz? — oszalał!
Cenci, ja także jestem na usługi
Twojej wściekłości — ja także z Orsinich.

W walce między nim a Tomaszem, pierwszy jest śmiertelnie ranny. Giani widząc śmierć przyjaciela, dobywa szpady i wyzywa Tomasa do walki, którą przerywa dopiero zjawienie się Beatryx.

Nie będziemy się zastanawiali nad podobieństwem sceny w ogrodzie ojca Anzelma (10-ta, akt I) ze scenami w celi ojca Laurentego; zwrócimy tylko uwagę, że podobieństwo to występuje jeszcze wyraźniej, jeżeli uwzględnimy fragment „Beatryx Cenci“, (wydany po raz pierwszy przez d-ra Biegeleisena)¹⁾, w którym Giani i Beatryx mają wziąć ślub w kaplicy Stella Matutina, przed uprzywilejowanym w tym celu księdzem.

Scena w lochach kościelnych (5-ta, aktu III-go) jest również wzorowana na Szekspirze. I tam (akt T, sc. 3) Julia leży w trumnie w grobowcu, w którym spoczywają zwłoki zabitego Tybalta; budzi się na wejście ojca Laurentego, który, słysząc w dali hałas, pragnie ją jak najrychlej uprowadzić z tego miejsca:

Pójdź, zaprowadzę
Do manasteru świętych sióstr zakonnych,
Nie zwłócz, nie pytaj, bo warta nadchodzi.

Lecz Julia, przekonawszy się o śmierci Romea, sprzeciwia się jego woli, i w chwili, gdy wchodzi do grobowca warta, przebija się sztyletem, padając martwa na ciało swego kochanka.

U Słowackiego Beatryx budzi się w lochach kościelnych, przyprowadzona tam przez cień zabitego ojca. W tej chwili wchodzi Anselmo, za którym postępują inkwizytor i zbiry. Ojciec Anselmo pragnie ratować nieszczęśliwą i nakłania ją, by skryła się za trumny, lecz Beatryx, uprzytomniwszy sobie, że jest opuszczoną przez ko-

1) „Tygodnik ilustrowany“, 1893.

chanka, sądzi, że tylko „milczący grób“ do jego serca przemówi, i wydaje się dobrowolnie w ręce sprawiedliwości.

Wreszcie, aby już wyczerpać cały wpływ tej tragedii Szekspira na Słowackiego, należy zauważyć, że pomysł napoju, wywołującego sen, podobny do śmierci, przejęty jest również z „Romea i Julii“. Tam ojciec Laurenty daje Julii flaszczykę, mówiąc, że po wypiciu zawartego w niej napoju:

Każdy twój członek pozbawiony władzy,
Zdrętwieje, zstęgnie, zziębnie jak u trupa.
I w tym pozornym stanie nagłej śmierci
Zostawać będziesz czterdzieści dwie godzin;
Wtedy się ockniesz, jak ze snu błogiego.

U Słowackiego tę samą rolę spełnia względem Gianiego ojciec Anselmo, który pociesza jeszcze przed śmiercią Beatrycę, że jej kochanek nie umrze:

I oto zaraz mu dadzą w napoju
Usypiający napój Penitencji
I do mej celi zaniosą śpiącego.

Z zestawienia tych wszystkich reminiscencji przekonywamy się, że są one czemś nowem, czemś, czego w pierwotnym (francuskim) obrobieniu „Beatryx Cenci“ nie było. Tam węzły akcji były związane w sposób naturalny, nie jak później, przez trzy czarownice. Tam spotkanie między kochankami było w mieszkaniu Beatrycy, nie jak później — w celi pustelnika. Tam niema jeszcze wzmianki o zawiści i walce dwu rodów ¹⁾. Brak tam również motywu z usypiającym napojem, a Giani zapewne ginie, zażywszy truciznę ²⁾. Skoro zatem Szekspir jest źródłem tych wszystkich zmian w pierwotnym

¹⁾ Możemy to napewno twierdzić z opowiadania Giana, któryby o tem wspomniał.

²⁾ Na to naprowadza szczegół, że dozorca daje Beatrycy flakonik z trucizną, który ma być jeżeli nie dla niej, to dla kogoś, nad kim ona się ulituje.

pomyśle, to niewątpliwie jego tragedye były tym czynnikiem zewnętrznym, który pobudził Słowackiego do podjęcia dawniej stworzonego i zarzuconego pomysłu. Szekspir napęłnił głowę poety nowymi obrazami, które, rzucone na dawniej już utkane tło, stworzyły polską „Beatryx Cenci“.

Ten szczegół, bardzo ważny do zrozumienia genezy naszej tragedyi, prowadzi nas bezpośrednio do kwestyi dalszej, do oznaczenia czasu, w którym ta tragedia powstała.

Dotychczas, w ślad za prof. Małeckim, wszyscy, którzy o tym utworze pisali, przyjmowali jako datę powstania r. 1840. Jako podstawa do takiego przypuszczenia, posłużyła prof. Małeckiemu karta, która się znalazła między papierami Słowackiego z napisem jego ręki: „Tragedya Beatryx Cenci — napisana 1840 roku“; a następnie notatka w „Tygodniku Poznańskim“ (18 maja 1840 r.), donosząca (mylnie), że się dramat Słowackiego pod tym właśnie tytułem drukuje w Paryżu. Obie jednak wiadomości nie przesądzają faktu, że wymieniona tragedia mogła być tylko wykończoną, ostatecznie przerobioną w Paryżu, że jednak właściwa jej geneza przypada na czasy wcześniejsze. Wszak tak samo tragedia „Mazepa“ została ostatecznie napisana w r. 1840, choć (jak staraliśmy się udowodnić¹⁾ powstała niemal w całości już w r. 1834, w czasie pobytu poety w Szwajcaryi.

Ważną podstawę do rozstrzygnięcia tej kwestyi daje rękopis tragedyi, który znajduje się w posiadaniu prof. Małeckiego²⁾. Rękopis ów składa się z siedmiu arkuszków dwu-kartkowych papieru listowego w dużym formacie (mniejsze 4-o), z których ostatni składa się tylko z jednej kartki (druga oddarta); na rogu po lewej ręce znak wodny, korona i litery: BATH. Na pierwszej stronie w dwu kolumnach dwie sceny, obie z napisem scena VII³⁾, oraz, niewątpliwie później dodany, spis osób⁴⁾. Na drugiej stronie zaczyna się właściwie tragedia, pisana ręką Słowackiego, czystem i wyraźnem, choć drobnem pismem, tylko miejscami kreślona: Na ostatniej stronie w drugiej kolumnie, która pozostała wolna po skończeniu tragedyi, znaj-

¹⁾ „Biblioteka Warszawska“, 1903.

²⁾ Łaskawości czcigodnego twórcy najlepszego do dziś dzieła o Słowackim, zawdzięczam możliwość korzystania z tego rękopisu, za co na tem miejscu ośmielał się złożyć Mu należne podziękowanie.

³⁾ Wydane przez d-ra Biegeleisena.

⁴⁾ Podany również przez d-ra Biegeleisena.

dujemy rzut końcowej sceny z „Lilli Wenedy“¹⁾). Forma zewnętrzna rękopisu dowodzi, że mamy tu do czynienia nie z pierwszym rzutem tragedyi, ale z odpisem, poprawianym miejscami. Na szczególny ten zwrócił moją uwagę prof. Małecki, który powołał się zwłaszcza na to, iż przy pierwszym rzucie Słowacki nie miał nigdy zwyczaju wypisywać imion mówiących osób, lecz jedynie kreską zaznaczać zaczynające się nowe przemówienie; w naszym zaś rękopisie imiona wszędzie najdokładniej zaznaczone. Dalej — na 25 stronie pisma, 15 jest prawie bez żadnych poprawek, 8 z małemi przekreślaniami i zmianami, a tylko 2 wyraźniej pokreślone i pozmieniane. Wszystkie owe zmiany są dwojakiemu rodzajowi; albo w czasie pisania wyraz, kilka słów, lub cały ustęp jest przekreślony i zaraz bezpośrednio w dalszym ciągu zastąpiony czemś innem, lub już napisany ustęp jest zaopatrzony bądź z boku, bądź między liniami, odpowiednim wariantem; kilka jest wreszcie ustępów, zupełnie wykreślonych. Te wszystkie szczegóły dowodzą, że poeta, pisząc ów manuskrypt, miał przed sobą pierwszy rzut tragedyi, który kopiał nie machinalnie jednak, ale w sposób twórczy, zmieniając równocześnie z przepisywaniem nieodpowiednie wyrazy, wprowadzając miejscami nowe zwroty, lub wreszcie tworząc nowe warianty (jak np: owo bardzo szczęśliwe zakończenie aktu I-go²⁾), dopisane po przekreśleniu pierwotnego, w kierunku pionowym na wolnem miejscu dwiema kolumnami, lub zakończenie aktu V-go, napisane między liniami)³⁾. Ta cała praca, to ostateczne wykończenie tragedyi, przypada niewątpliwie na rok 1840 (jak tego dowodzą owe urywki z „Lilli Wenedy“, pisane na ostatniej stronie). Na jaki jednak czas przypada właściwa geneza naszej tragedyi, kiedy powstała ona w umyśle poety i po raz pierwszy została przelana na papier — oto kwestya, nad którą chcemy się tu bliżej zastanowić.

Stwierdzenie wpływu Szekspira dostarcza nam ważnych w tym kierunku argumentów. Kiedyż bowiem wpływ ten działał na Słowackiego najsilniej? Oto w okresie szwajcarskim i włoskim; później, od czasu podróży wschodniej, Dante i Byron królują w jego umyśle.

¹⁾ Ta ostatnia strona została odtworzona w wydaniu lwowskiem poezyi Słowackiego, t. III.

²⁾ Zmiana, zaznaczona w wydaniu prof. Małeckiego.

³⁾ Pierwotnie końcowe słowa Giana brzmiały: „Widzisz, zniknęły — bądź zdrów,.. już mi ciemno, bądź zdrów, mój ojcze“. Później zaś: „Widzisz, zniknęły... Patrz, ja na tej szybie Najświętszą Pannę sam namalowałem. A teraz zbita. . tu tęcza blasków — o! tu, pod sercem tu już!..“.

Ale i w tym okresie największego wpływu Szekspira, są pewne fazy, i gdy zrazu zachwycał go przedewszystkiem „Hamlet“, jako najbardziej spokrewniony z bajronowskimi bohaterami, gdy później „Makbet“, „Lir“, oraz „Sen nocy letniej“ zapalają jego fantazyę („Balladyna“), ostatnie stadyum stanowi wpływ „Romea i Julii“. Pod wpływem tej tragedyi powstała np. przesłiczna scena poematu „W Szwajcaryi“, przedstawiająca ślub kochanków w domku pustelnika. Na tej podstawie możemy postawić przypuszczenie, że „Beatryx Cenci“, napisana pod wpływem „Makbeta“ i „Romea i Julii“, powstała w czasie, niezbyt odległym od chwil powstania „Balladyny“ (1834) i „W Szwajcaryi“ (1835)¹⁾.

I oto właśnie jest taki okres w życiu Słowackiego, następujący bezpośrednio po szwajcarskim, mianowicie czas pobytu poety w Sorrento (lipiec 1836 r.), do którego nie umiano dotąd odnieść żadnego z dzieł Słowackiego. Wiemy bowiem, że Słowacki tworzył w tym czasie; prof. Małeckci rzucił przypuszczenie, że tym utworem, który wówczas został napisany, był poemat „Wacław“. Tymczasem poemat ten powstał (jak staraliśmy się udowodnić)²⁾ nie w Sorrento, ale znacznie wcześniej, mianowicie w Genewie, w pierwszej połowie 1833 r. (przed „Kordyanem“). Wobec tego stajemy znów przed kwestyą, które też z dzieł Słowackiego w tym czasie zostało napisane? List poety, opisujący pobyt w Sorrento, potwierdza przypuszczenie, że dziełem tem była właśnie tragedia „Beatryx Cenci“.

„Przepędziłem miesiąc cały w Sorrento“ — pisze poeta³⁾. — Całe dnie przepędzałem z sobą samym i z Szekspirem... Życie moje wiejskie w Sorrento przypomniało mi dnie samotne, przepędzone w Veytoux, nad brzegiem jeziora; i to podobieństwo dwóch chwil błędnego życia miłem mi było. Pisałem trochę, myślałem, czasem się modliłem, kiedy w blizkim kościółku grający organ dochodził do mojej cichej celi. Czasem, jak w obrazach włoskich, lub flamandzkich, słuchałem, oparty na murze, grającej na gitarze dziewczyny. Była to młoda moja gospodyni, która mi ciągle dawała serenady... I tak przeszedł mi cały miesiąc życia bez żadnej rozmaitości“.

Ta „cicha cela“ poety, te wspomnienia z Veytoux, gdzie tworzył poemat „W Szwajcaryi“ i idealną parę kochanków, ta młoda dziewczyna włoska, wyprawiająca poecie serenady — czyż nie każe to wszystko

1) Zob. mój artykuł w „Bibliotece Warszawskiej“, 1901. Datę tę można uważać jako pewną.

2) „Pamiętnik literacki“, 1903.

3) Neapol, 3 sierpnia 1836 r.

mysleć o miłości Giana do Beatryczy, o ojcu Anzelmie i jego celi klasztornej, o młodej Doloridzie, która na harfie gra Gianiemu piosneczkę? A dalej ta charakterystyczna wzmianka: „dnie przepędzałem z sobą i z Szekspirem“, czyż nie tłómaczy ogromnego wpływu tego pisarza na naszą tragedję?

Ale jest jeszcze jeden szczegół w samej tragedji, który w największym stopniu to przypuszczenie nasze popiera. Oto włoski koloryt całego utworu, włoskie zwroty w języku, drobne szczegóły, które tylko przy bezpośredniej styczności z życiem włoskiem, podpadają pod uwagę.

Gdy ojciec Anselmo mówi np. do Giana: „Sam nie uważaj, że słońce — idź, przejdź się!“¹⁾ — czujemy gorący dzień włoski, w którym za dnia przy słońcu nikt nie opuszcza domu, dopiero przy chłodzie wieczornym. W innej znów rozmowie ojciec Anselmo rzuca charakterystyczną uwagę, znaną dobrze we Włoszech:

Spokojny ranek, lecz będzie gorąco,
Bo już bukszpany pachną mocno²⁾.

Obywatel, opowiadający na ulicy drugiemu o popełnionej zbrodni, zaprasza go na butelkę kianti³⁾. Na grobach na cmentarzu stoją cyprysy⁴⁾. Gdy Beatryx mówi do Doloridy: „Nie drzyj, nie mieszaj się ł a d n a!“ — mimowoli przychodzi nam na myśl nazwanie „bella“, tak często stosowane we włoskiem do młodej dziewczyny. Tak samo Dolorida odpowiada jej: „Bądź zdrowa — młoda, piękna moja panil“. Ojciec Anselmo, oznajmiając chwilę stracenia kochankom, używa charakterystycznego włoskiego zwrotu: „Przyszła godzina“. Wreszcie, w języku pełno zwrotów i słów włoskich, lub tylko nieco spolszczonych, np.: addio, Signora, kianti, Monsignore, avvocato, per Bacco, quatro, parricidio, Santo Padre, bajocco; delator, justycya, gracya, apelcyny, strega.

Już te szczegóły wskazują na bezpośrednie zetknięcie z Włochami i przejęcie się językiem i zwrotami włoskimi; cóż dopiero mówić

1) Str. 36.

2) Str. 51.

3) Str. 41.

4) Str. 58.

o znakomitej scenie ludowej, która odbywa się na placu Ponte Sant' Angelo, jakby żywcem pochwyconej z życia ludu włoskiego: Ten tłum, czekający na widowisko, uwijająca się między nim trasterwerina ze swemi pomarańczami, żebracy, którym penitenci rozdają pieniądze—to wszystko mógł stworzyć tylko autor, który sam widział podobne sceny we Włoszech.

Lecz może te wszystkie szczegóły, rzucone przez poetę, to tylko wspomnienia dawniej doznanych wrażeń włoskich, które wówczas, w r. 1840, w Paryżu, odnowiły się w jego pamięci? Tu powołamy się na tę szczególną właściwość Słowackiego, natychmiastowego reagowania na otaczającą go naturę, przystosowywania myśli własnych i uczuć do krajobrazu, na który patrzył. W Szwajcaryi powstał poemat „W Szwajcaryi“, Wschód wydał „Ojca zadżumionych“, Ziemia św. stworzyła „Anhellego“, Florencya „Dantyszka“; czyż nie uprawnia nas to do przypuszczenia, że tak samo widok Rzymu, a następnie Neapol i Sorrento zrodziły bezpośrednio „Beatryx Cenci“?

Te wszystkie podane szczegóły, które z jednej strony potwierdzają, że omawiana tragedia powstała w Sorrento w lecie 1836 r., dowodzą jeszcze, że drugim obok Szekspira czynnikiem, który wpłynął na genezę tego utworu, było bezpośrednie zetknięcie z przyrodą i kulturą włoską. Gdy Szekspir rozpałał imaginację poety, budził szereg scen i obrazów, całe otoczenie, cała przyroda rzucała na nią swój własny miejscowy refleks. W takich warunkach rzucony dawniej pomysł, rzucony bez głębszej myśli, może w chęci wyrobienia się w stylu francuskim, lub, co prawdopodobniejsze, celem zasilenia kasy autorskiej — teraz zmartwychwstał; na szarem tle pierwotnem pojawiły się pełne potęgi i grozy sceny, szablonowy dotąd koloryt włoski zajaśniał barwami, czerpanemi już z rzeczywistości, i w ten sposób powstała owa pełna okropności i poezji tragedia, w której namiętność i idealna miłość, okrucieństwo i szlachetność, fatalizm i rozpaczne wysiłki woli, złożyły się na całość, oblaną gorącym powietrzem włoskiem, skąpaną w włoskiem słońcu, dającą bezpośrednio genialne odczucie charakteru i natury włoskiej.

Później, podczas powtórnego pobytu Słowackiego w Paryżu, w czasie, gdy poeta starał się zamknąć prace z dłuższego okresu, gdy przygotował do druku „Trzy poematy“ i „Anhellego“, gdy wykończył ostatecznie „Mazepę“, wówczas i „Beatryx Cenci“ ujrzała na nowo światło dzienne. Na obudzenie powtórnego interesu do tej tragedyi wpłynął przedewszystkiem jeden fakt z życia Słowackiego. Oto poeta zakochał się; majestatyczna postać p. Bobrowej zapełniła jego ser-

ce i fantazyę. Wówczas to zapewne rzeczywiste uczucie przywiodło mu na myśl poprzednie, przeżyte raz w fantazyi i wyrażone w płomiennych strofach Giana; prawdziwe męki miłości skierowały na nowo myśl jego na historię dwojga kochanków, i oto Słowacki przepisuje rzut pierwszy, równocześnie zmienia i przerabia, wygładza i wzmacnia, nadaje swemu utworowi ostateczną formę. Kto wie, czy w tem wszystkim nie kierowała nim jakaś myśl praktyczna, cel egoistyczny, by tragedya tą zjednać uczucie p. Bobrowej, bo oto w niedawno wydanych listach Słowackiego do Niedźwiedzkiego ¹⁾ znajdujemy taką krótką, ale bardzo charakterystyczną wzmiankę: „Avant hier je lui (t. j. Bobrowej) ai lu ma Beatrix C...(enci) et la commotion électrique qu'elle en a ressentie ne peut se comparer qu'à celle qu'on reçoit en se baignant d'une torpède... Elle a trouvé la passion supérieurement bien peinte; il est vrai, qu'en lisant je trouvais des inflexions de voix qui faisaient vibrer toutes les cordes de son âme...“.

Nie znamy powodu, dla którego tragedia, wykończona niemal zupełnie, nie została przez poetę wydana drukiem. Że nosił się z takim zamiarem, że ozamierzonom wydaniu wspominał znajomym i czytał im może ten utwór, dowodzi notatka, umieszczona w „Tygodniku literackim“ ²⁾, podana przez „jednego z najszanowniejszych korespondentów“ tego pisma: „Słowacki wydrukował nową tragedya „Beatryx Cenci“. Trudno wyobrazić sobie większego steku zbrodni, pominąwszy tę dążność, która dziś i samym Francuzom obrzydła. Cóż Polak ma wspólnego z Włochami?..“.

Notatka ta była fałszywą, gdyż tragedia Słowackiego pozostała w rękopisie do czasu, gdy wydobył ją na światło dzienne prof. Małecki. Dowodzi ona jednak, że gdyby nawet utwór ten został wydany nie wywarłby zapewne wrażenia, lub raczej wywarłby wrażenie ujemne.

To uprzedzenie do utworu Słowackiego panuje aż do dzisiaj. Gdy w r. 1872 „Beatryx Cenci“ była wystawiona na scenie krakowskiej, pisał z tego powodu Szujski ³⁾: „Beatryx w całości swojej jest jakby strasznym snem, trapiącym wyobraźnię człowieka przeciwieństwami najwyższego piękna i najwyższej grozy. Wzruszenia litości dla ofiar tej kabały szatańskiej mieć nie możesz; wrażenia za-

¹⁾ „Biblioteka Warszawska“, 1893, t. I.

²⁾ Poznań, 1840, 18 maja.

³⁾ „Tygodnik ilustrowany“, 1872, I, str. 229.

pierają ci oddech. Z upadającym Gianim czujesz się zdeptanym potęgą straszną, w której niema najwyższej myśli chrześcijańskiej, miłosierdzia Bożego. Nikt ci też w sztuce nie powie słowa spokojnego, szczytowego, jakim zwykle Szekspir najkrwawsze swoje kończy tragedye; ojciec Anselmo wyda ci się głupim i niezgrabnym moralistą, a kurtyna zapada, jakby szeleszcząc słowa Milтона: „Bottomless perdition...“.

Że uprzedzenie to nie jest zupełnie słuszne, że „Beatryx Cenci“ nie ustępuje innym tragedjom Słowackiego, że czasem celuje między niemi dramatycznym zakrojem i subtelnym obrazem psychologicznych kolizyi, postaramy się wykazać w naszej pracy.

II.

Czy krytyka naukowa zdoła uzasadnić, na czem polega wrażenie, jakie wywołuje dzieło sztuki, czy w ogóle takie uzasadnienie jest potrzebne, czy nie lepiej zostawić każdemu wolność odczuwania i rozumienia — oto pytania, które cisną się na myśl, gdy przystępujemy do psychologiczno-estetycznego rozbioru naszej tragedyi. Tak często w ostatnich czasach podnoszono zarzuty przeciw t. zw. krytyce naukowej, tak często odmawiano jej prawa i podstaw do wydawania jakichkolwiek sądów, że mimowoli nasuwa się wątpliwość, iż może w istocie tylko określenie wrażenia, jakie na nas pewne dzieło wywiera, jest możliwe, że może właśnie taka subiektywna krytyka jest właściwą krytyką naukową.

A jednak, czyż to subiektywne wrażenie nie wymaga jakiego regulatora, czyż nie wymaga (jeśli ma przedstawić jakąkolwiek wartość dla drugich), jako koniecznego warunku, rzeczywistego zrozumienia i głębokiego wniknięcia w dany utwór? I czy nie będzie to może właśnie zadaniem krytyki naukowej, aby to zrozumienie ułatwić, aby nagromadzić szereg środków pomocniczych, wskazówek i sądów, które pozwolą rzeczywiście w myśl poety wniknąć, intencje jego zrozumieć, plan całości i artyzm szczegółów przeniknąć. A po takim wyjaśnieniu, czyż jeszcze określenie wrażenia jest potrzebne? Sądzimy, że nie; a przynajmniej, że po za tą granicą kończy się już

rola krytyki naukowej. Uświadamiać i wyjaśniać—oto jedyne jej zadanie, jedyny cel i warunek istnienia ¹⁾).

Poprzednio zbadaliśmy genezę tragedyi Słowackiego, obecnie stoimy przed nią, jako dziełem ukończonem, jako całością artystyczną. Całość to niezwykła. Dawne teorye, które każą pytać o cel główny dzieła, o naczelną linię akcji, okazują się tu bezużyteczne. To, co u każdego dawnego tragedjopisarza byłoby rzeczą główną, to, co u Shelleya np. jest punktem kulminacyjnym, zabójstwo ojca, — przesunięte tutaj na sam początek sztuki, niemal poza ramy akcji, przedstawione w pierwszym akcie krótko, jako fakt. Ani długiej walki moralnej, ani nawet bliższego uzasadnienia tego czynu nie widzimy.

O cóż więc idzie? może o tragedję duszy, wypływającą z wyrzutów sumienia, o straszną walkę jednostki zbrodniczej z sobą i światem, z prawem boskiem i ludzkim?

Niel! Walka ta jest, ale w stanie potencjalnym, jako fatum, wiszące nad czynami; a przed naszymi oczyma rozgrywa się sielanka między Gianim i Beatryczą, sielanka pełna czaru, uderzającej woni, blasku południowego, namiętności i idealizmu. Jaktol więc ta okropna zabójczyni ojca nie doznaje wyrzutów sumienia, walki wewnętrznej po czynie, który spełniła, może myśl ową i owe uczucie odwrócić od obrazów strasznej zbrodni i zdolną być do nowego życia?

Wytlómaczenie tego faktu znajdujemy w charakterze Beatryczy, w rysach, jakie jej poeta nadał, w zamiarze, z jakim postać tę odтворzył.

Beatryx, stojąc przed sobą, w ten sposób siebie i czyn swój charakteryzuje:

Na miejscu gdzie krew moją rozlejecie,
Postawcie ołtarz białemu wstydowi
I z alabastru posąg przezroczystry,
A szyję jego krwią oczerwienisz,

¹⁾ Kwestya „krytyki naukowej“, poruszona przez Emila Hennequin'a w pracy p. t. „La critique scientifique“ (tłómaczenie polskie Fr. Rawity Gawrońskiego) wywołała żywą dyskusję. U nas pisali o tem: Przewóski: „Krytyka naukowa dzieł sztuki“, („Ateneum“, 1892, I) i dr M. E. Trepka: „Krytyka i krytycy literaccy we Francyi“ („Ateneum“, 1891, I). Por. recenzję Brunetiére'a: „L'évolution des genres“ przez E. Porębowicza („Biblioteka Warszawska“, 1892, I), oraz artykuł o Lemaitrze („Biblioteka Warszawska“, 1896, I).

Zakryjcie perły, albo lilijami;
A będzie to Bóg nowy, — w nowym Rzymie!..
I to jest całą obroną — *Rzymianki*.

Podobnie, przy ostatniem pożegnaniu z kochankiem, mówi ona:

Pamiętaj o mnie — *jako o Rzymiance*
Nieskazitelnej, strasznej, nieszczęśliwej!

Oto klucz do zrozumienia charakteru Beatryczy! Rzymianka dumna, nieugięta, ceniąca cześć swą nad życie, a w obronie tej czci gotowa na wszystko, pełna świadomości swych czynów i poczucia odpowiedzialności za nie, nie dająca się powodować nikomu i nie dbająca o opinię świata, tylko o opinię tego, któremu sama swe serce oddała. Typ, jakby ze stali odlany, u którego niema miejsca na walkę wewnętrzną, na starcie sprzecznych dążeń i uczuć; jest tylko walka zewnętrzna z ludźmi, ze światem i z tą siłą obcą, tajemniczą a straszną, wolą Boga, czy szatanów, słowem fatum, które wreszcie zwycięża.

A jednak nie poskąpił Słowacki temu typowi pewnych rysów prawdziwie ludzkich, jakby dla stwierdzenia, że ta jednolitość jest dopiero zdobyta wysiłkiem woli, natężeniem wszystkich władz ducha.

Jak szczerym, jak z głębi serca idącym jest jej okrzyk, gdy, wydarta z hańbiących ją objęć ojca, na słowa matki: „Chodź tu!” — woła, drżąca cała ze strachu: „Matko! ja nieszczęsnal!”. Ta sama Beatrix, tak słaba i szukająca jeszcze podpory, w chwili wspólnie postanowionego czynu okazuje się jedyną z rodziny, zdolną bez wahania go wypełnić; gdy Tomaso stchórzył, gdy sztylet upuścił na ziemię dokonywa morderstwa ojca. Odtąd niepewności i wahania się kończą; jakaś siła straszna bije z jej słów, gdy, wychodząc z pokoju zabitego, mówi: „Jestem spokojną”. W tej chwili spełniła się poprzednia prośba matki, zanesiona do tajemniczych potęg nieziemskich, by z dzieci jej zrobiły Rzymian. Za chwilę, gdy pojawi się na placu przed trupem, będzie już „cicha“, „z surowymi na ustach uśmiechy“, jak posąg przeszłości, na którego twarzy to, co obecne, nie zostawia śladu“, jak „sprawiedliwość, ważąca trupią krew na swojej szali“, „krwawa i przerażająca“, „straszniejsza, niż piekło“ i „bez nadziei“.

Teraz już nie żałuje zbrodni, którą z całą świadomością i poczuciem odpowiedzialności spełniła, jako czyn konieczny, nakazany obroną własnej godności i czystości. Jeżeli cierpi, jeżeli ucieka wreszcie z domu krwi i kłamstwa, to nie dla tego, że brzydzi się pierwszą, lecz, że nie może znieść drugiego, tej konieczności ukrywania się i zasłaniania, którą pociąga za sobą zbrodnia. Pietro Negri zna dokładnie charakter Beatryczy, gdy mówi do Tomasa:

Uważaj,

Ona się brzydzi nie krwią, — lecz przymusem
I fałszywością.

Dla tego to przy odnalezieniu trupa zabitego, gdy matka udaje łzy i rozpacz, Beatryx stoi „nieporuszona i ku ziemi trzymając oczy“; dla tego także, gdy idzie z matką skrycie prać skrwawione rzeczy, gdy matka każe jej stać przy bramie i krzyżeć, gdyby kto nadszedł, woła z oburzeniem: „Bojaźń ohydna!“. Dla tego wreszcie miary tego, co znieść może, dopełnia drobny fakt, iż matka każe jej wypraną bieliznę zawiesić dla wyschnięcia na krzyżu. Wówczas Beatryx ze słowami: „Zgroza! dom szalonych!.. Matko, nie szukaj córkil..“ — otwiera bramę i ucieka na ulicę.

Wszystkie te szczegóły, drobne i ledwo uchwytnie, zostały uwydatnione z mistrzostwem wielkiego artysty i wielkiego psychologa.

I właśnie w takiej chwili, w takich warunkach rodzi się miłość.

Od chwili spotkania z Gianim, Beatryx poznaje od pierwszego wejrzenia, że była „przeczcuciami dawno rozkochana w nim jednym“, że „jemu broniła wierności“. — „Słuchaj!“ — mówi w pierwszej rozmowie do Giana:

Nie wiem, kto ty jesteś!

Ale przez twoje ręce pragnę skonać!

Ale przez twoje ręce być zabita,

A przez twe oczy, tak smutne — płakaną,

A przez twe serce czyste przebaczoną...

Jej całym pragnieniem, niemal warunkiem dalszego istnienia staje się to, żeby *on* nazwał ją „czystą i niewinną“:

Zapisz to w sereu — mówi do Pietra —
 Co jego oczy czarne odpowiedzą,
 Bo to mi będzie sądem, karą, śmiercią.

Scena, w której Beatryx zeznaje swemu kochankowi spełnioną zbrodnię, należy do najpiękniejszych w twórczości Słowackiego.

Bardzo subtelny, niemal dziwny powód tej rozmowy; ona chce przekonać Giana, że jej „kochać nie można“. Słowa te kobiece zakrywają naturalnie pragnienie gorące zaprzeczenia ze strony kochanka i skrytą nadzieję, że tak będzie, że on nie potępi.

Stawia więc odrazu wszystko na jedną kartę, zrzucając straszną tajemnicę swej duszy, zajęta równocześnie gorączkowem „czytaniem duszy“ na bladej twarzy kochanka. Słowa jej padają prędko, jak-gdyby spieszno jej było zbyć się ciężaru sumienia, słowa krótkie, jasne, bez tłumaczenia, uniewinniania się, przerażające w świetle nagicznych faktów: „Cenci zabity — ja zabiłam ojca; — splamioną byłam — ha!“ To końcowe „ha!“, to oddech duszy, która wyznała wszystko i stoi przed tajemnicą wyroku, od którego jej cały los zależy. I teraz znów cała nasza wytężona uwaga przenosi się na Giana, którego krótki poprzedni wykrzyk: „Księżę Anselmo!“ był głosem człowieka, stojącego nad przepaścią, mającego jasną świadomość, że w nią runie, a broniącego się jeszcze instynktownie przed upadkiem. Teraz z kochanka, pełnego wiary i siły, przemawia człowiek, któremu naraz zmrożono serce, wyrwano wszystko:

Padre Anselmo!

Weź ty umarłą! — ja pójdę po trumny
 Po dwie — po jedną tylko... lecz szeroką!

Boleść i miłość, bezlitosny wyrok i bezgraniczne współczucie, potępienie i litość, brzmią razem w tym tragicznym wykrzyku rozdartego serca ludzkiego.

Sprawa, którą wytoczyła Beatryx, skończyła się jej przegraną; jej ukryta nadzieja stracona; ten, którego wybrała za najwyższego sędziego, od którego los swój cały uczyniła zależnym, potępił. Po okresie ogromnej gorączki i podniecenia, następuje zupełne odrętwienie. W nocy jednak męczą ją *teraz dopiero* wyrzuty sumienia, upersonifikowane w postaci zmarłego ojca; straszniejsza, niż lady

Makbet w swym śnie hypnotycznym budzi się w lochach obok trumny zabitego. W tej chwili rodzi się postanowienie oddania się w ręce sprawiedliwości i pragnienie śmierci:

Drżałam, należąc do niego; — lecz teraz
Jestem własnością ludu i aktorką.
On wydarł ze mnie więcej, niż ogniste
Wydrą tortury, niż ta blada mara,
Która mnie tutaj prowadziła...

Dopiero w więzieniu dostaje Beatryx list od swego kochanka z zapewnieniem jego miłości.

I tu następuje załamanie w jej uczuciach. Ta miłość wielka i potężna, to wzajemne uczucie człowieka, pod którego sąd się poddała, oczyszcza ją i podnosi we własnych oczach. „Ja się czuję czystą“ — mówi Beatryx w więzieniu do Giana. — „Splamioną miłość oczyściła ze wszelkiej zmazy“. Lecz „miłość przyszła późno“; Beatryx czynem swym okupiła swą czystość, lecz zabiła swe szczęście. Oto tragedia jej duszy.

Pod wpływem tego uczucia ta Rzymianka harda i nieugięta, która nie cofa się poprzednio przed zbrodnią w obronie swego wstydu i honoru, u której nawet miłość objawia się zrazu „bladą hardością“, ta „dumna dziewczyna“ przeradza się w inną istotę; jej twarde, ostre kontury załamują się w miękkie rysy; łzy pojawiają się w jej oczach. W rozmowie ostatniej z Gianim sama dziwi się nieznannej dotąd czułości i miękkości, która jej serce ogarnia:

Bądź spokojny!
Zaklinam ciebie — dziwnie rozczulona;
Bo nie myślałam nawet, że ja zdolna
Tak miękko i tak łzawo mówić z tobą,
Lecz ta godzina jest bez drugiej dla mnie,
I ty nareszcie znikniesz mi z przed oczu...
I Bóg mnie weźmie... o! tak rozplakaną...

Na ostatnią chwilę życia zachowany jest jej jeszcze cios najcięższy, wiadomość, że ten, któremu oddała swe serce i duszę, ma być razem z nią ścięty na rusztowaniu. W chwili tej czuje Beatryx, że

stała się nieświadomie przyczyną nowej zbrodni i śmierci kochanka. To też gdy Giani niemal z radością woła:

O Beatryx! — ja! — idziemy razem!

jej żal głęboki objawia się tą cichą skargą:

I nie przeczułam, że *on* zabił Pietra,
O! jak okropne nas związały losy!
O! jak mi będzie strasznie skonać...

Mimo to kochankowi nie daje odczuć tego żalu, pełna miłości i słodyczy, pocieszona w końcu nowiną, że chociaż sama zginie, Giani napojem usypiającym zostanie uratowany od stracenia. Jej śmierć jest pełną ekspiacją jej winy. Widzimy ją zdala, idącą na rusztowanie „jak królowa“. „Rozplakała się, gdy kat uciął włosy“, — a z nią „lud zaczął płakać, jak małe dziecko“.

Odwieczny temat, który Rzym tyłu autorom nasunął już na myśl, — przejście od idei pogańskich do chrześcijańskich, odrodzenie przez miłość — został w tym typie Rzymianki w nowem ukazany świetle. Problem ogólnoludzki uchwycony został ze strony psychologii jednostki, odmalowany na tle uczuć osobistych i miłości ludzkiej¹⁾.

Jakże słabym wobec tego typu bohaterskiego wydaje się Giani. Ten, którego miłość Beatryczy uczyniła nad nią panem i władcą, sam najbardziej potrzebuje podpory, pomocy, oparcia. Jest on o tyle miękki i wrażliwy, o ile ona energiczna i narzucająca swą wolę, o tyle ulegający, o ile ona stanowcza; słowem, pozbawiony punktu oparcia we własnym „ja“, typ z galeryi Hamletów, Horsztyńskich i Połanieckich, głębszy może od tych wszystkich uczuciem, a jeszcze słabszy wolą.

Jego miłość ma charakter podobny, jak uczucie, wyrażone w „Szwajcaryi“. Nie znał jeszcze Beatryczy, nigdy z nią nie rozmawiał, a już zakochał się w niej na wieki. Że podobnie, jak w „Szwajcaryi“, czynnikiem głównym było tu działanie kolorów, zestawienie

¹⁾ Por. „Beatryx Cenci“ z „Irydyonem“ Krasińskiego.

barw, słowem wpływ malarski (usymbolizowany zresztą doskonale w szczególności, że Giani naprzód ma widzenie obrazowe ukochanej, które przelewa na płótno, a później dopiero odkrywa rzeczywistość, odpowiadającą temu widzeniu) dowodzi krótka wzmianka Gianiego o Beatryczy:

Pomyślał o niej Bóg, gdy tworzył *słońce*,
I z myśli światła ją stworzył — a *ona*
Dala początek tęczom i kolorom,
Które ze słońca duszy mają duszę.

Miłość ta budzi się przez oczy, za którymi dopiero idzie serce. Co więcej, znajdujemy tu nawet myśl jakiegoś oddziaływania duszy jednej na drugą za pośrednictwem oczu. Giani, gdy widzi po raz pierwszy Beatrycę, woła do Cesaria:

O patrz! pomyślałem —
I w myśli tylko stworzone pytanie
Posłałem do niej oczyma i na to
Odpowiedziała mi sehyleniem głowy,
Choć w inną stronę zapatrzona, jakby
Oczu ją moich głos doleciał i już
Zmusił miłośnicie ucieć.

Uczucie to ma charakter marzenia sennego, przy którym dusza traci pamięć o materji:

Jestem jak człowiek, który *we śnie lata*
I czuje, że mu nie stanie błękitu,
Albo odwagi.

Pod wpływem tego uczucia staje się Giani jeszcze bardziej niezdolny do życia, jeszcze bardziej potrzebujący opieki, oparcia.

To oparcie zewnętrzne znajdował on zrazu w owym przyjacielu Cesariu; po jego śmierci pragnie go jeszcze raz obudzić z martwych, „uczynić żywym dla siebie“. Nie znajdując u żywych podpory, szuka

jej u tajemniczych potęg, u duchów ciemnych, których obecność czuje koło siebie:

Jestem gotowy prawie wam się cały
Oddać i waszym radom się powierzyć.
Byleście były ze mną aż do końca
I nie rzuciły z samym sobą.

Odtąd nabiera siły wielkiej człowieka, popychanego obcą, wyższą władzą do czynu. Zabójstwo brata, przyznanie się wobec sądu do zbrodni, dostanie się do więzienia, wszystko to z przerażającą szybkością rozgrywa się przed naszymi oczyma, spełniane w tem uniesieniu szaleńca, widzącego tylko cel swych pragnień i ślepo na przebój do niego dążącego:

Taka walka musi się skończyć przegraną, a zwalony gmach marzeń przywała swemi ruinami bohatera.

Niema może w całej twórczości Słowackiego piękniejszej karty, głębiej pomyślanego i odczutego pomysłu i tragiczniejszej sytuacji, jak ta scena ostatnia naszej tragedyi, poświęcona już samemu Gianiemu. To uczucie człowieka, którego po całej walce strasznej zostawiono samego, odartego z tego, co było treścią, istotą jego życia, zdającego sobie jasno sprawę, że tak ma już... musi już na zawsze zostać, to uczucie wstrząsa do głębi i budzi głęboką litość.

Beatryx przeceniała jego siły, gdy powierzyła mu do wychowania małego Aza; jego automatyczne ruchy i jakby mechaniczne odpowiedzi są dowodem, że wszystko już w tej duszy zagasło. A naraz do tego mózgu dostaje się myśl, rzucona nieopatrznie przez ojca Anzelma, myśl straszna, która nagle z całą przerażającą jasnością w nim się uświadamia, że to on właśnie, on sam stał się sprawcą śmierci Beatryczy.

W takiej chwili śmierć jest wybawieniem, jest aniołem jasnym, przynoszącym ciszę i spokój. Gianie ginie z imieniem Panny Najświętszej na ustach; furye, zjawiające się w ostatniej chwili, nikną przed tą świętością.

Któż to są jednak te trzy tajemnicze postaci, te trzy wiedźmy, czarownice, czyli raczej furye, jak je poeta stale (w rękopisie swej tragedyi) oznacza. Gianie nazywa je „matkami rozpaczy”, — Lucrecia Cenci wspomina, że były „Eumenidami nazwane przed wieki”.

Że Słowacki myślał rzeczywiście o furyach (Eumenidach) ze starożytnej tragedyi, z węzami u głowy i pochodnią w ręku, a nie o czarownicach, dowodzi kilka charakterystycznych szczegółów.

Jedna z tych furyj mówi: „Żegnajmy węzami dom“, — a w innym znów miejscu: „Węzami sądową zamiotliśmy kuryę“.

Gdy się zjawiają po raz pierwszy matce, woła ona:

Okropnel.. czy to wasz głos, czy *gwizdanie*
Waszych warkoczy słyszę, okropnice?
 Od was śmiertelny chłód na twarz mi wieje,
Pochodnie wasze cuchną...

Tomaso zaś opisując je mówi.

Włos każda miała ruchomy i jakby
 Nie zależący od poruszeń ciała, a w rękach
 Niosły pochodnie.

Jeżeli jednak „furye“ w tragedyi greckiej były przedewszystkiem mścicielkami wszelkich czynów, przeciwnych porządkowi natury, były niejako personifikacją wyrzutów sumienia, to Słowacki nadał im prócz tego rolę inną, rolę „duchów ciemnych“, które pobudzają do wszystkiego złego, do zbrodni, a potem męczą następstwami złego czynu. Skutkiem połączenia w ich osobie tych dwu funkcyj, karania za zbrodnie i inicjatywy do złego, rola ich w tragedyi nieproporcjonalnie wzrosła, tak, że zdają się niemal trzymać w swych rękach nici akcji. Brandes wyraził się z tego powodu o całej tragedyi, iż Słowacki „zepsuł ją, zastępując psychologię ludzką nieskończonym tańcem czarownic“¹⁾.

Słowacki był jednak zbyt wielkim i genialnym psychologiem, aby utracić przed oczu rzecz najbardziej konkretną, duszę ludzką. Co za znakomity typ ta Lucrecia Cenci, pełna krwi południowej, dyżająca zemstą, przywiązana namiętnie do dzieci a równocześnie kierująca nimi despotycznie, przesądna i zabobonna, wzywająca równo-

1) Odczyty o literaturze XIX wieku.

czesnie duchów z piekła na pomoc, a potem ślubująca Chrystusowi, że oczy da sobie wydrzeć, jeżeli ją z więzienia uratuje; ta Włoszka typowa, która przy zwłokach męża lamentuje za wszystkich, która później przed sądem wypiera się całej winy i miota obelgi i przekleństwa na donosiciela, na sędziów, na Orsinich, a wreszcie mdleje na widok strasznego obrazu. Podobnie, jak później Gwinona w „Lilli Wenedzie“, przedstawia ona pierwiastek siły i zaciętości, wyrobiony straszną walką życiową i ten sam pierwiastek stara się przelać w swe dzieci: „Zróbcie z nich Rzymian“ — błaga tajemnicze potęgi.

Wiernem odbiciem jej charakteru, jakby z tego samego spizu odlały jest jej syn Tomaso ¹⁾, żołnierz wyćwiczony w wojsku Colony, szorstki i stanowczy, wrażliwy na honor, przywiązany ślepo do matki, gotów bronić czci swej siostry. W chwili stanowczej zawahał się przed morderstwem ojca, ale później z całą siłą namiętności i nienawiści broni siebie i rodzinę od udowodnienia im tej zbrodni. Rys to wspólny mu z matką; oboje nie mają żadnego skrupułu, by zwalić winę mordu na nienawistną im rodzinę Orsinich, oboje znoszą nawet tortury, by ukryć straszną tajemnicę; w tej sile panowania nad sobą i obrony siebie jest jakieś pierwotne bohaterstwo i Tomaso, wracając z tortur, opowiada z dumą: „Język pokąsałem z bólu, ale głowa moja do mnie należy... Targano mnie i kości moje krzyczały w ciele o pomoc; ale moja dusza zagłuszyła wołanie kości i wrzask podły cielesnych władz, zbuntowanych przeciwko językowi — łkającemu...“. Co za potęga bije z tej postaci, gdy w obliczu sądu łży Orsiniego. Jeżeli Słowackiemu szło o to, by nosobić w nim rzymskie pierwiastki charakteru, hart, siłę i nienawiść, to w tej scenie udało mu się to najlepiej.

A obok niego mały Azo; w duszy tego dziecka odbija się cała tragedia, która się około niego rozgrywa. Azo jest jeszcze dzieckiem, a już matka wyrabia w nim „rzymskie“ cechy charakteru; gdy skarży się, że jest sennym, woła: „Tu psiątko, przy nogach, na kamieniu...“. W przyszłości widzieć w niem chce mściciela:

Niechaj przekleństwa moje rosna z tobą
I rosna w tobie!.. i rosnij na zemste.

¹⁾ Należy zaznaczyć, że u Słowackiego (w rękopisie) Lucrecia Cenci jest matką swych dzieci, nie macochą (jak np. u Shelley'a). W opisie osób, podany przez prof. Małeckiego, zaszła pod tym względem zmiana.

Błogosławiąc zaś swe dzieci po raz ostatni, woła do Aza:

A ja do ciebie będę przychodziła
 We śnie... i uczyć będę rzeczy strasznych,
 O których wiedzieć trzeba człowiekowi
 Krwią oblanemu macezyną w dzieciństwie.
 Furye! oddaję wam dziecko w opiekę!

Z drugiej strony, Beatryx, odrodzona i uszlachetniona przez miłość, przelewa część swego uczucia na dziecko; pragnie, by po jej śmierci znalazło w Gianim opiekuna, starszego brata, by znalazło u niego litość i miłość.

Słuchaj, Gianie,
 Ty weźmiesz mego małego braciszka
 I będziesz kochał — co? będziesz go kochał?

Gdy zatem pierwsza chce w dziecku zbudzić hart, zaprawić je do walki i zemsty, druga pragnie je widzieć na drodze miłości i przebaczenia.

Jest jeszcze jedna postać, która występuje na początku i to na chwilę, ale koło której obraca się tok akcji: to ojciec Cenci. Zbyt potworny, by mógł wzbudzać jakiś interes widza, zbyt oddany jednej, cielesnej żądzy, by był zdolny do jakiejś walki wewnętrznej i tragicznego szamotania duszy, — samem swoim krótkim zjawieniem zdaje się zanieczyszczać scenę, a kilku słowami, pełnemi cynizmu, żądzy i niskiej złości z powodu przeszkód, wzbudza uczucie nie grozy, lecz pogardy i wstrętu.

Kilku zaledwie rysami został scharakteryzowany Padre Anselmo; ale jak plastycznie! Ten staruszek, myślący bardziej o swym ogródku i cebulkach, zakopanych w ziemi, niż otaczających go osobach, nie zdolny do głębszego odczucia i przejęcia się tragedją serc ludzkich, gotowy zawsze sobie wytłómaczyć, że „wszystko najlepiej Bóg wielki układa“, — a jednak taki dobry, taki poczciwy, tak gotowy do wszelkich usług i poświęceń, by zrobić innym dobrze, posuwa-

jący się nawet w końcu do podstępu, by uratować swego kochanego wychowanka, mimowoli jedna sobie naszą sympatyę. Gdy przy końcu tragedyi skarży się staruszek:

Niewdzięczni są ludzie
I to im powiem na ostatnim sądzie.
Ja go kochałem jak mojego syna:
Tyle nadziei moich leży w grobie...

to zapomina się o jego komicznych nieco uwagach, o jego niewczesnem moralizowaniu, którem powoduje śmierć Giana, a czuje się tylko dla niego serdeczne współczucie i litość.

Postać Pietra Negri porównywano z Szekspirowskim Jagonem; zupełnie jednak niesłusznie. Niema w nim nic z wielkości, ani tragizmu. Ciasne serce, pełne egoizmu, niskie i poziome uczucia; jedynym jego celem jest użycie, motywem działania korzyść własna, lub obawa przed karą. Ułatwia on zabicie ojca, aby w ten sposób zdobyć dla siebie Beatrycę; gdy wraca ona z pogrzebu, chce ją mową, lub miodem zniewolić „do tajemniczych słodyczy“; zostaje wreszcie delatorem, aby ocalić siebie od zguhy, gdy widzi, że zbrodnia wyjdzie na jaw. Charakter jego określa krótko i dobitnie Beatrix:

Widać, że garb twój był tylko tłómkciem,
W którym nosiłeś podłość.

Równocześnie jednak obdarza go poeta umysłem bystrym, przebiegłością i sprytem, a przede wszystkim talentem malarskim. Pod względem psychologicznym jest to więc przeciwieństwo ojca Anselma.

Pietro Negri (według rękopisu Słowackiego) jest księdzem; szczegół nietylko odrażający, ale nieprawdopodobny, jeżeli zwążywszy, że jest on od urodzenia garbaty ¹⁾. Bliższe szczegóły co do jego

¹⁾ Dla tego też prof. Małeckı w wydaniu tej tragedyi starał się ile możności ten szczegół zatrzeć, zmieniając np. słowa „księżę“ na „Pietro“, lub np. zdanie: „ja, który chodzę w habicie i boso“, na: „ja, który chodzę ubogo i boso“ i t. p.

stosunków rodzinnych są niejasne. Jest on bratem Giana, jak wspomina w rozmowie z Orsinim ¹⁾; obaj zaś są dziećmi nieprawemi Orsiniego. Giani, zabijając swego brata, wspomina o jednym jego strasznym czynie, o którym jednak niema więcej żadnej wzmianki w tragedyi:

Matki na pomoc wołasz?.. Tyś ją zabił!..
 Zbójco, na pomoc wołasz matki? ha! ha!
 Czy wy słyszycie furey? Ten morderca
 Woła na pomoc tu — zamordowanych
 I mnie tu robi sprawiedliwym...

Obok tych głównych postaci tragedyi wije się jeszcze tłum różnobarwny innych, często jednym rysem genialnym naszkicowanych, scharakteryzowanych jednym słowem, jednym powiedzeniem.

Orsini i Don Lucenzio, przedstawiciele bezwzględnej sprawiedliwości i majestatu sędziowskiego; obaj grają niejako podwójną rolę; jedną w todze urzędowej, drugą zwykłą codziennego człowieka, gdy np. Orsini po wyjściu świadków skarży się, że każdy dzień sądu sprawdza mu bezsenność i wydatek na doktora, — a Lucenzio, gdy rozmawia poufale z odźwiernym.

A dalej Barygiel, dozorca więzienia, i jego córka Dolorida, typowa dziewczyna włoska, piękna i dobra, jak promień jasnego słońca, rzucony na ponure tło więziennicze. Gdy się dowiaduje, że Beatryx ma zginąć wieczorem, mówi z przejęciem:

Gdybym była, Pani,
 Panną Najświętszą, nie zasłoby słońce...

Potem, już po niewczasie, chce na czele ludu wyblagać łaskę u papieża, uważając, że ucięcie włosów jest już dostateczną karą za wszystko. Jedna z tych postaci, których tajemnicę tworzenia po-

¹⁾ Str. 48. Rozmowa ta przypada według rękopisu na scenę 2-gą aktu IV-go. Nawiasem powiedziawszy, akt ten zaczyna się rozmową trzech furej, która w wydaniu została opuszczoną, zapewne ze względu na zbyt częste powtarzanie się.

siadł sam Słowacki; rysami przypomina Lille Wenedę, jak tamta, pełna prostoty i niewymownego czaru.

Znakomite postaci mieszczan i sceny z życia zbiorowego wypełniają ramy tego obrazu, tworzą tło rzymskie, niezrównane w swym realizmie i prawdzie. Patrząc na nie, rozumiemy, dla czego poeta akcyę, przedstawioną przez wszystkie źródła i innych pisarzy w ponurym zamku Petrella, przeniósł do Rzymu. To tło wiecznego miasta i życia w niem wrzącego, nadaje dopiero obrazowi właściwy charakter, jego odrębną południowy koloryt.

Rozbiór powyższy okazuje nam tragedję Słowackiego w nowem zupełnie świetle. Widzimy, że właściwa historyczna fabuła jest tylko podkładem, na którym wyraził Słowacki to, o co mu głównie chodziło, konflikt psychologiczny. Tragedya Słowackiego jest mimo innych pozorów nowoczesnym dramatem psychologicznym; spotykamy tu to, co cechuje dramat nowożytny, przeniesienie ciężaru sztuki z faktów na uczucie, z kulis teatralnych do duszy działających osób.

Nowoczesność tej tragedyi polega jednak nietylko na zewnętrznych cechach, ale na samej naturze tragicznego konfliktu, który chyba w najnowszych czasach dopiero może być rzeczywiście zrozumiany i odczuty. Bo oto stoją przed nami dwa typy, jakby wyjęte z galerii modernistycznych utworów, typ kobiety o charakterze męzkim, woli niezłomnej, rozumie panującym nad czynami, uczuciach uświadomionych, typ „hardej i dumnej dziewczyny“ i typ mężczyzny o nerwach kobiecych, przeczulonego, potrzebującego oparcia i podpory w życiu, podległego halucynacyom i kierującego się przeczuciami. I nietylko on zyskuje w miłości do niej — rzecz naturalna — wszystko, niemal rację swego istnienia, ale także ona, znękana walką wewnętrzną, wstrząśnięta do głębi wypadkami życia, znajduje w nim oparcie moralne, przytułek dla duszy, drżącej z bólu i ze zmęczenia.

Miłość wyrosła na gruncie pesymizmu, wynikła z braku siły do życia i złamana przez nieszczęście, nosi w sobie nieubłagany tragizm. I oto widzimy, jak pod osłoną faktu historycznego wyraził Słowacki ideę konieczną, a więc powszechną i ogólną. Bo wszystko jedno, czy (jak mówi historia) Beatryx została ściętą, czy Giani (jak chce poeta) zabił się szkłem połkniętem. Fakta są tu tylko zrealizowaniem, uplastycznieniem idei; istota tragedyi polega na tem, że tak być musi a ł o, że nieszczęście, tragedia, śmierć, jest nieubłaganą koniecznością dla obu typów, wynikłą z ich duszy, ich uczuć i charakteru, a na odwrót poczucie tego, ta niemal pewność nieszczęścia

koniecznym znów warunkiem miłości. I oto konflikt już nie historycznie, ale psychologicznie prawdziwy, więc nie włożony w ten jeden fakt, przekazany nam przez historię, ale odczuty i zrozumiany sub specie aeternitatis.

Lecz konieczność psychologiczna została u Słowackiego w znacznej części zastąpiona przez konieczność metafizyczną; nici czynów zostały przeciągnięte w zaświat i włożone w ręce tajemniczych postaci, furyj, czy duchów ciemnych. Nad całą akcją zawisła straszna, zaświatowa potęga, w której, jak się słusznie wyraził Szujski, — „niema najwyższej myśli chrześcijańskiej, miłosierdzia Bożego“.

Że nie stało się to mimowoli, ale z myślą i intencją poety, dowodzą ostatnie słowa ojca Anzelma:

Jest to okropna nauka i krwawa,
Ale na całe życie pozostanie —
Tak kto bez Boga, lecz z ciemnymi duchy
Chce porządkować świat, często go łamie
Bóg, tak jak ciebie, i myli go w drodze.

Więc fatum nieubłagane, mszczące się bezlitośnie za błąd ducha.

Wprawdzie przy samym końcu, przy śmierci Giana, furye, które przysły po jego ducha, znikają przed wyższą potęgą Matki Boskiej, ale ta siła cudowna tak słaba jest na ziemi, jak owo cudowne zjawienie w Lilli Wenedzie, które tylko po to ukazuje się nad stosem Wenedów, by dać poznać, że to jest „krew Bogu najmilejsza“ — Na ziemi, w świecie realnym tryumfuje zło, nieożywione nawet żadną głębszą myślą, tylko chęcią wyrządzenia jak najwięcej krzywdy i nieszczęść.

Fatalizm i pesymizm, dwie zasadnicze struny duszy Słowackiego, odezwały się i w tem dziele wyraźnym i donośnym dźwiękiem, budząc nastrój przygnębienia i grozy.

Mimowoli nasuwa się wreszcie porównanie tragedyi Słowackiego z utworem Shelley'a pod tym samym tytułem ¹⁾. Najpierw nale-

¹⁾ Zob. Ferd. Hösiek: „B. Cenci, czyli o rzekomym wpływie Shelley'a na Słowackiego“. „Ateneum“, 1892, I. — Pini: „Kilka słów w sprawie wpływu Shelley'a na tragedję Słowackiego: B. Cenci“. „Ateneum“, 1897, II. — Wila. Zyndram-Kościółkowska: „Dwie Beatrycze, Słowackiego i Shelley'a“. „Tygo-

ży zaznaczyć, iż nie ulega wątpliwości, że Słowacki nie znał utworu Shelley'a, że zatem nie może być mowy o jakimkolwiek wpływie jednego utworu na drugi; zewnętrzne zaś podobieństwa tłómaczą się tem, iż obaj poeci korzystali z tych samych źródeł. Z porównania obu utworów, angielskiego i polskiego, musimy dojść do wniosków nader korzystnych dla Słowackiego. Podczas gdy tragedia Shelley'a pisana jest jeszcze według starych wzorów klasycznych, gdy bohaterowie i sama bohaterka wygłaszają długie tyrady tym głosem patetycznym, znanym jeszcze z tragedyi Webstera — utwór Słowackiego nosi piętno nowożytne, modernistyczne; w technice, w typach, w sposobie ujęcia tematu, wszędzie olbrzymia różnica, która mogłaby nasunąć przypuszczenie, że przynajmniej jakie pół wieku oddziela chwile powstania obu utworów, gdy w rzeczywistości tylko przedział niewielu lat między nimi istnieje ¹⁾. „Nowożytność“ Słowackiego nie wymaga innych dowodów na swoje stwierdzenie, prócz tego jednego, jakim jest jego „Beatryx Cenci“.

DR KAZIMIERZ JARECKI.

dnik Illustrowany“, 1896, II. Drobniejsze prace, dotyczące tego tematu, wymienione są w rozprawie p. Hosička.

¹⁾ Tragedya Shelley'a powstała w r. 1820. Słowackiego utwór powstał w całości w czasie jego pobytu we Włoszech, t. j. przed r. 1838. (P. Méyet posiada dowód, że nawet rękopis, zawierający drugie obrobienie naszej tragedyi, który ja odnosiłem do czasów paryskich, powstał we Florencyi, po powrocie poety ze Wschodu. Tak więc hipoteza, postawiona w pierwszej części mej pracy, zyskuje zupełne uzasadnienie).

PIŚMIENNICTWO.

ADOLF SKAŁKOWSKI. Jan Henryk Dąbrowski. Część pierwsza. Na schyłku dni Rzeczypospolitej (1755—1796). Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Tom IV.

Tom IV monografij poprzedził prof. Askenazy, zarówno, jak i poprzednie, treściwą i pouczającą przedmową, w której zwrócił przede wszystkim uwagę na tych, co o życiu i czynach Dąbrowskiego dawniej pisali. Na pierwszym miejscu został wymieniony Leonard Chodźko i jego pięknie odczute, ale słabo wykonane dzieło francuzkie o legionach włoskich. Następnie w pół wieku po śmierci Dąbrowskiego, napisał o nim także w języku francuskim generał Kołaczkowski. Wspomnienie powyższe wydane niedawno w języku polskim, nacechowane jest serdecznym pietyzmem, lecz oprócz paru ciekawszych szczegółów, nie przedstawia większej wartości. Jeśli do tego dodamy ułamki wydawnicze Raczyńskiego Edwarda i Kraszewskiego trochę drobnostek okolicznościowych, to zdaje się będzie już wszystko. Oczywiście, jak na naukę polską i na Dąbrowskiego za mało, prawie nic. Jeszcze za Księstwa Warszawskiego ofiarował Dąbrowski Towarzystwu Przyjaciół Nauk rzecz swoją o legionach a krótko przed śmiercią przekazał temuż Towarzystwu, wszystką pozostałość przedmiotową i pisemną swej długoletniej służby publicznej. Myśl ofiarodawcy była prosta i jasna. Darował on naczelnej instytucji naukowej polskiej dzieje swoje własne, związane nierozdzielnie z najnowszymi dziejami kraju, a nie chował niczego pod korcem, bo niczego chować nie miał potrzeby. Myśl Dąbrowskiego pojął należycie Staszic, gdy na posiedzeniu w r. 1819 podniósł z naciśkiem potrzebę zbierania troskliwego przez Towarzystwo wszelkich wiadomości do dziejów Narodu, szczególnie z czasów ostatnich. Zajęło się też Towarzystwo sprawą opracowania czynów Dąbrowskiego, lecz powierzono zadanie człowiekowi, który zawiódł zaufanie Towarzystwa i kraju.

Tymczasem historyografia polska nie wyplaciła się ze swego długu względem generała Dąbrowskiego i dlatego to autor niniejszej pracy, założył sobie wypełnić tę posługę, w pewnej przynajmniej, obecnie wykonalnej mierze. W części pierwszej życiorysu przedstawia nam autor, skromniejszą i mniej znaną połowę życia i trudów Dąbrowskiego, zawierającą już przecie wszystkie przesłanki faktyczne i psychiczne, skąd wyrosnąć miała druga połowa. W tej części oglądamy Dąbrowskiego w dzieciństwie, w niejednorodnym środowisku rodzinnym, czysto polskim i katolickim po mieczu, na poły niemieckim i protestanckim po kądzieli. Istniały z macierzystej strony niebezpieczne rozdzwigi polityczne, szczególnie niebezpieczne w ówczesnej zamąconej dobie. Ale za to był zdrowy grunt swójski od strony ojcowskiej, była naogół w domu szlachetna atmosfera moralna, a stąd podatność do zupełnej assimilacji obcych przemieszek. Dzięki takim czynnikom uratowany został Dąbrowski dla przyszłości swojej i kraju, choć nieletnim chłopcem wywieziony do Saksonii, tam na obczyźnie wyrastał na młodzieńca i męża. Mógł on jeszcze ciągle wydawać się na poły Niemcem i nigdy nawet nie nauczył się swobodnie wysławiać po polsku, ale z tej obcej a wysokiej kultury wybierał odrazu, to co najzdrowsze i wszechludzkim idealizmem się karmił.

Technicznej wiedzy militarnej szukał Dąbrowski wszędzie, czy to kiedy zapraszał się na rewję wrocławską do starożytnego Fryderyka, czy to kiedy później czynił starania o asystowanie armii rosyjskiej w kampanii tureckiej, a najwięcej mógł się nauczyć w szkole niemieckiej, najbliższej tradycji Fryderycyjskich. Ale jeśli nauczycielem techniki militarnej był mu wielki cynik-prusak, to wzorem enoty wojskowej pozostał znakomity i szlachetny francuz, Turenus, którego nawet w drobnostkach, bo w maści koni dobieranych pod wierzch, rad był naśladować. Na pierwsze też hasło podane w kraju pośpieszył oddać się na służbę, Rplitej, na służbę całkowitą, dozgonną, na całe ćwierćwiecze, jakie mu jeszcze pozostało do przeżycia. Pierwszy okres życia Dąbrowskiego, kończący się razem z końcem Rzeczypospolitej był przedmiotem badań autora. Największa trudność w wykonaniu powyższego zadania polegała na tem, że bezpośrednio najobszerniejsze i najważniejsze materiały źródłowe do biografii Dąbrowskiego, troskliwie gromadzone za życia przez samego generała, nie są na razie do odszukania. Cała spuścizna pisemna po generale, ze zbiorów po Towarzystwie Przyjaciół Nauk zniknęła i podziśdzień nie wiadomo, co się z nią stało. Staranne poszukiwania podjęte przez autora, we wszystkich niemal znaczniejszych archiwach w Galicyi, w Poznańskim, po części w Królestwie, oraz w niektórych zbiorach

polskich za granicą, pozostały bez rezultatu. Dało się jedynie stwierdzić, że niektóre ułamki poszukiwanej całości, wylaniają się w różnych miejscach. Tak np. ważny list do Kniaziewiczza był w paczce dokumentów, wydobytej z suchej studni, w Kaliszu przez koczaków.

W braku zatraconego kompletnego materiału trzeba było z różnych końców zbierać materiał skąpy i rozrzucony, poddawać go tem ostrożniejszej rewizji i wysnuwać z niego urywający się w każdej chwili źródłowy wątek chronologiczny, osobisty i rzeczowy. Wywiązując się z tego zadania, autor przeprowadził możliwie wyczerpujące poszukiwania w Poznaniu, Gnieźnie, Szrodzie, Rydzynie, Koszutach, Nawrze, Winnogórze i Gdańsku. Następnie w Paryżu przeszukał autor tamtejsze archiwa: *historiques et administratives du ministère de la guerre, des affaires étrangères et nationales*, oraz bibliotekę polską, do której weszły niektóre przyczynki z archiwum di Risorgimento w Medyolanie. Dalej zwiedził autor muzeum w Raperswylu i Hauptstaatsarchiv w Dreźnie, muzeum Ossolińskich, Dzieduszyckich i Baworowskiego we Lwowie, archiwum Czartoryskich, oraz biblioteki Jagiellońską i Akademii Umiejętności w Krakowie, wreszcie korzystał z rękopisów biblioteki uniwersyteckiej, oraz Krasieńskich i Zamoyskich w Warszawie, do czego dołączone zostały niektóre przyczynki z tutejszych rządowych archiwów akt dawnych i sztabu głównego. Kończy prof. Askenazy tem, że oceni każdy rzeczoznawca wiele trudu włożył autor w swoje poszukiwania, a wiele krytyki w ich spożytkowanie naukowe. Oceni zarazem każdy czytelnik, wiele w tę pracę włożył autor serca dla swego bohatera i dla sprawy przez niego wyobrażanej, oraz wiele głębokiego szacunku dla prawdy. Nie masz tu apologii biograficznej, ale narracya prosta prawdy się doszukująca i tym sposobem najlepiej przysługująca postaci Dąbrowskiego, który bez apologii obyć się może, a krytykę najściślejszą wytrzyma. W końcu autor w Przypiskach ogłosił niektóre ważne dokumenta, które zasługiwały na wyróżnienie.

Wywód rodzinny Dąbrowskiego przedstawił autor bardzo szczegółowo i zajmująco. Dziad generała Jan Dąbrowski był chorążym chorągwi królewskiej pod Wiedniem i brał udział we wszystkich późniejszych wyprawach Jana III. Ojciec Jana, Michał, w ciężkich dniach oblężenia Gdańska, musiał strój pazia zmienić na mundur kadeta pułku, a po skończeniu oblężenia wstąpił do kirasierów saskich i został tym sposobem żołnierzem Augusta III. W Polsce przebywał bardzo krótko, a syna Jana Henryka wziął do siebie, kiedy miał lat 11. Jan Henryk w krwi po matce miał anglosaską zaciętość i kalwińską surowość w pojęciu obowiązków. Krwi obcej w jego żyłach

płynęło wiele. Pradziad Alan i prababka Mierówna, byli to emigranci ze Szkocji, a dziad Lettow związany był z Niemcami, jakby z drugą ojczyzną. Jedenastoletni Henryk oddany został głównie dla wyuczenia się języka niemieckiego do szkoły w Kamentz w górnych Łużycach, a kierownictwo nad jego wykształceniem objął pułkownik Lestock, który sam miał syna w równym wieku. Nauka jego w Saksonii trwała lat cztery i już w r. 1770 oddał go ojciec do pułku. W służbie saskiej uległ jednak Dąbrowski wcześniej przygnębieniu, jakie ogarnęło wojskowych tego kraju, na widok niemocy finansowej i w ślad idącej niemożności wszelkich większych reform. W służbie saskiej zapomniał też Jan Henryk języka polskiego. Bliskość sióstr pozwoliła mu zachować w pamięci dużo słów polskich i zachować żywe wspomnienie kraju. Około r. 1775 stosunki w wojsku saskim zaczęły się zmieniać na lepsze. Zaprowadzono nowy regulamin, przeglądy i manewry wojsk. Dąbrowski jakby odżył. W r. 1778 odbył on nawet kampanię, zwaną później „Kartofflaną“, w której pisze: regiment nasz zwiódł kilka małych potyczek. Miałem chęć odznaczenia się, lecz ani wiadomości, ani dostatecznej okazji do tego. — Wojna ta nie była jednak bez znaczenia. Pod wpływem bowiem zapoznania się z urządzeniami fryderykańskimi przeprowadzono wiele ulepszeń w armii saskiej. Dla Dąbrowskiego zaś owa niekrwawa kampanja nabierała tem większej wagi, że była to jego jedyna praktyka wojenna aż do roku 1794.

W r. 1780 ożenił się Dąbrowski z panną Rackel, wesołą, bardzo skromnych obyczajów i wychowaną do życia domowego i gospodarstwa. Przeniesienie się do gwardyi i stały pobyt w Dreźnie, miały wpływ stanowczy na dalsze koleje życia Dąbrowskiego. Wysoka kultura miasta pełnego zbiorów i pamiątek, zetknięcie się z dworem, opiekującym się tak troskliwie dziełami sztuki, oddziaływały silnie na Dąbrowskiego. Oddziaływała również na niego współczesna literatura niemiecka i francuzka, ostatnia jednak niewątpliwie znacznie później. Na wykształcenie militarne Dąbrowskiego wpłynął znacznie pułkownik Bellegarde, wnuk w nieprawej linii Augusta II. W rozmowach z nim poznał Dąbrowski nieumiejętność swoją i zazdrościł kolegom, którzy o książkach wojskowych rozmawiając na wszystko dostateczną mogli dawać odpowiedź, albo stosowne w swoim miejscu czynić zapytania. Obudziła się wtedy w Dąbrowskim żywa chęć pracy nad sobą, nad zdobyciem wiedzy teoretycznej wojskowej, a czując potrzebę mentora udał się do rotmistrza Blüchera, oficera, którego Bellegarde najwięcej cenił, z nim często o dziełach wojskowych rozmawiał. Za przykładem Blüchera, zaczął Dąbrowski uczęszczać na lekcye matematyki, inżynieryi, rysunków topogra-

ficznych i artyleryi. Korzystał z biblioteki, jaką w każdym pułku urządził hr. Bellegarde, a wkrótce pomyślał o założeniu własnej. Rychło wykształcenie jego wojskowe szerokie ogarnęło kręgi. Gruntowną była jego znajomość historii sztuki wojennej i znał życie wodzów sławnych nawet w szczegółach drobnych. W tym też czasie położył podstawy do swego zbioru map i planów, który uzupełniał przy każdej sposobności. Zgodnie z zasadami fryderycjańskimi, które i poprzednio Turenjusz wyznawał; uważał Dąbrowski przezorność, nieufność, podejrzliwość i sztukę tajnienia istotnych zamiarów, za cnoty kardynalne każdego wodza. Według tych zasad należało raczej rzec się korzystnego przedsięwzięcia aniżeli narazić się na niebezpieczeństwo nieregularnego dostarczania żywności swemu wojsku.

W 1790 r. poczęto w Warszawie starania o pozyskanie Dąbrowskiego. Książę Józef Czartoryski, poseł Rzeczypospolitej na dworze saskim, nie przestawał namawiać Dąbrowskiego, aby rzucił gwardyę saskie. Pamiętano też o nim na dworze, a Stanisław August przywiązywał wiele do pozyskania jego osoby i czynił osobiście starania u elektora saskiego o pozwolenie przejścia w służbę ojczyzny własnej. Dąbrowski namyślał się długo i wahał długo, ale przemogła sprawa ojczyzna. Dopiero d. 14 lipca 1792 r. wpisany został Dąbrowski do brygady Wielkopolskiej w randze brygadiera. Korpus ten jednakże, tworzący rezerwę, nie miał już udziału w kampanii. Po przystąpieniu króla do Targowicy, Dąbrowski razem z brygadą otrzymał rozkaz cofnięcia się z pod Warszawy do Wielkopolski. Rok pierwszy upłynął mu w Polsce na pracy organizacyjnej. Zwłaszcza brygada, która nie przeszła krótkiej wojny 1792 r. wymagała znacznego nakładu pracy i doświadczonego kierownictwa. W sierpniu, 1791 r. lustrował ją pisarz połowy Rzewuski z sercem napętnionem zalem. Co do porządku, to brygada w tej mierze żadnego układu nie miała, a co do dyscypliny, to ta była jej obca. Z lustrowanych czterech szwadronów, żaden ani wystąpić podług przepisu, ani uszykować się do parady, ni do boju, ani nawet do maszerowania nie potrafił. Przytem oficerowie elementarnych wiadomości nie mieli i nawet komenderować nie potrafili. Byszewski nie miał żadnych kwalifikacyj na wysoki swój urząd, a Madaliński wyniesiony w czasie obrad sejmowych z porucznika na dowódcę brygady, miał za sobą 24 lat służby, ale służby polskiej, w której się nie mógł nic nauczyć dla kompletnego niedostatku służby wojskowej. Pod biegłą ręką Dąbrowskiego najgorsi nawet oficerowie zmieniali się w pożytecznych, a przynajmniej w znośnych. W pracy zaś tej czysto wojskowej nie dał się Dąbrowski powstrzymać przez postępy Targowicy i jej rządu w kraju.

Dąbrowski, jako żołnierz nie pochwalał taktyki stronnictwa konstytucyjcy 3 Maja, które ograniczając się na protestacyi, kraj opuściło. Nie należał on do tej liczby oficerów, mających sposób do utrzymania życia, którzy się podali do dymisji, lecz należał do tej reszty, która była zmuszona poddać się okolicznościom. Wtedy to rozpowszechniono wieść, że Prusacy mają zamiar otoczyć Wielkopolską dywizję i zmusić ją do wejścia w pruską służbę i jeden Dąbrowski starał się swoje otoczenie bezradne i sparalizowane poczuciem bezsilności, natchnąć śmiałą prawie zuchwałą inicjatywą. Opracował on plan, podług którego należało przenieść dywizję całą pod Warszawę, zająć arsenał, iść potem przeciw Prusakom i zaczepić ich. Plan powyższy, zawczasie wyjawiony Stanisławowi Augustowi, nie zyskał jego aprobaty i musiał być zaniechanym. Byszewski po jego wykryciu odebrał rozkaz udania się w Sandomierskie, gdzie musiał rozlokować swą jazdę ponad Pilicą aż do Koniczyna. Gdy Byszewski lękał się rozbrojenia swego oddziału, Dąbrowski radził mu odmienną dyslokację wojska, jaką łącznie z Wodzickim opracował, a która dwie dywizye wojska tak zbliżała do siebie, że mogły w ciągu dni trzech zająć i okopać obóz projektowany. Byszewski usłuchał tej rady, ale w Warszawie dorozumiano się od razu niebezpiecznej ewentualności, ukrytej w tej nowej dyslokacji. Ożarowski też przesłał niezwłocznie Byszewskiemu i Wodzickiemu rozkaz, aby zajęli z wojskiem natychmiast dawne pozycje.

Dąbrowski nie miał zresztą żadnego udziału w pracach przygotowawczych do wojny w 1794 r. Zwątpił on w możność dalszej walki na ziemiach Polski, wobec zgodnego współdziałania dworu berlińskiego i petersburskiego. Plan jego polegał na tem, aby o ile można zmniejszyć dotychczasowe złe dyslokacje i skutkiem tego planu znalazł się w szeregu Targowicy. Konfederacja ta jednak rozwiązała się 27 lipca, ustępując miejsca Radzie nieustającej i sprawa redukcji wojska wyszła na plan pierwszy. Dąbrowski pragnął klęskę powyższą przez szereg oszczędności uczynić jaknajmniejszą i zachować siły najlepsze. Przez ówczesną komisję wojskową starał się przeprowadzić kontrabandę, nie jedną myśl użyteczną, ale coraz bardziej uwydatnia się próżność jego zabiegów i rola jego stawała się raczej rolą grabarza aniżeli reformatora armii polskiej. Rada Nieustająca nakazała też niezwłocznie redukcję armii przyprowadzić do skutku i oznaczyła termin ukończenia takowej na 15 marca 1794 r. Ruszyła się pierwsza brygada Madalińskiego, który ustanowił sąd wojenny na podejrzanych oficerów i zdaje się, że mocą tego sądu skazał Dąbrowskiego na infamję i śmierć. Wyrok zapadł zaocznie, bez przesłuchania oskarżonego, ale dla Dąbrowskiego nie miał żadnych ważniejszych

następstw. Dopiero po ruszeniu się Warszawy, Dąbrowski zdecydował się ostatecznie złączyć swoją szczupłą komendę z resztą walczącego wojska. Przedewszystkiem musiał on stanąć przed wydziałem wojskowym rady zastępczej, jako zdrajca na śmierć skazany, ale śmiałe przemówienie do tłumu uratowało mu na razie zagrożone życie. Rezolucją departamentu wojskowego, któremu przewodniczył, został Dąbrowski uznany za niewinnego i tym sposobem honor i obywatelstwo Dąbrowskiego ocalały.

Z początku polecono Dąbrowskiemu strzeżenie Pilicy, gdzie objął komendę po Haumaie. W sierpniu spotykamy go w obozie pod Czerniakowem, skąd wykonał dwa wielkie rekonesanse przeciwko stanowiskom zajęтым przez wojska rosyjskie. Wkrótce jednak Kościuszko przeniósł go do obrony Marymontu i Powązek, gdyż tam ważyły się losy Warszawy i całej kampanii. Na tych pozycjach stoczył on kilka uporczywych walk z Prusakami, które w obozie Pruskim zrodziły wątplenie, czy całe oblężenie przyda się na cokolwiek. W początkach września wysłany został Dąbrowski z korpusem pomocniczym do Wielkopolski. Nie był to oddział zbyt okazały, bo składał się zaledwie z 3100 ludzi i jakoś tego żołnierza była bardzo różnolita, a jazda była nierównie lepsza od piechoty. W ciągu marszu oddział wzrósł do 8,000 ludzi, ale $\frac{3}{4}$ składu tego oddziału trzeba było uczyć elementarnych wiadomości służby polowej. Przy pierwszym większym starciu, pod Łabiszynem, jeszcze niektóre szwadrony Dąbrowskiego nie umiały dotrzymać placu i cofnęły się przed natarciem huzarów pruskich. Sam Dąbrowski znajdował się w niebezpieczeństwie, ale zwycięstwo znajdowało się już po jego stronie. Pod sam koniec kampanii ten sam korpus bez płaszców i butów, bez namiotów, wystawiony na zawieruchy i chłody zbliżającej się zimy, zatrzyma najdłużej spoistość wewnętrzną i zdolność bojową. Będzie to najpierwszy korpus całej armii.

Kiedy oddział posiłkowy Dąbrowskiego posunął się do Wielkopolski i opuścił linię Bzury, żądał naczelnik, aby specjalny korpus został posłany ku Sochaczewu, któryby utrzymywał w miejscu wojska pruskie i tyłu jego oddziałowi brać nie dozwolił. Pozycje wojska polskiego nad Bzurą zostały mimo to stracone. Wojska pruskie wyparły księcia Poniatowskiego z Kamionny i zatrzaśnięto wrota, przez które wszedł Dąbrowski do Wielkopolski. Polacy też z boleścią, a prusacy z zadowoleniem uważali ów śmiało rzucony korpus za enfant perdu. Dąbrowski tymczasem posuwał się nieustannie w głąb Wielkopolski; z tym rodzajem wojsk nie mógł on marzyć o wojnie w wielkim stylu, ograniczał się raczej do partyzantki, ale prowadził ją tak, że wszystkie drobne akcje wiążą się z sobą i zmierzają do wspólnego

celu. Przytem zdolność tajenia swych zamiarów, tak cenioną przez Fryderyka II, że domagał się jej przedewszystkiem od swoich generałów, rozwijał Dąbrowski z zupełnem powodzeniem od pierwszych chwil aż do schyłku wyprawy Wielkopolskiej. W końcu, w krytycznym momencie swej wyprawy, utrzymywał Dąbrowski tak długo naczelnego wodza armii pruskiej (Schwerina) w niepewności, którą drogę obierze z powrotem, że spokojnie z całym taborem mógł się przeprowadzić pod Mietrzewicami i po drugiej stronie Bzury zająć obronną pozycję.

Cały przebieg wyprawy Wielkopolskiej został przez autora opisany szczegółowo i krytycznie, z należytem wyzyskaniem dawniejszych i nowych prac niemieckich, które tej kampanii poświęconemi zostały. Przedewszystkiem autor wytknął z całą gruntownością szereg błędów, jakie popełniła główna komenda pruska, a następnie przedstawił wyraźnie niezmordowaną czujność Dąbrowskiego i zręczne maskowanie swych zamiarów, które stale wprowadzało w błąd nieprzyjaciela. Oprócz tego zanotowano skrzętnie najdrobniejszą potyczkę i niepominięto tych ciężkich chwil Dąbrowskiego, kiedy Madaliński chciał się z swoją komendą odłączyć od niego i zaszczerpić nieposłuszeństwo w jego oddziale. Myśl stworzenia siły zbrojnej polskiej, po za granicami kraju, dla prowadzenia dalej pod opieką Francji dzieła 1794 r., była własnością Dąbrowskiego. Legiony miały być protestem przeciwko państwowej zagładzie i podstawą do działalności na przyszłość.

Monografia Skałkowskiego, do której dołączono nie tylko pisma Dąbrowskiego, ale i liczne przypisy i źródła, jest pierwszą wyczerpującą i pełną biografią generała Jana Henryka Dąbrowskiego. Autor przedstawił nam go na bogatym tle ówczesnych pojęć o wojskowości i odtworzył wybornie psychologiczny proces przeistaczania się różnolitych pierwiastków narodowych, jaki się odbył w duszy młodzieńca. Ale autor nie poprzestał na tem. Skreślił on nam nie tylko wyczerpująco całą działalność Dąbrowskiego, w 1794 r. ale i wpływ tej kampanii na dojrzanie i ustalenie się jego obywatelskiego ducha. Wśród olbrzymiej klęski, zapowiadającej niechybną zagładę, Dąbrowski ani na chwilę nie zwątpił, ani na chwilę nie poddał się rozpaczcy, a przedewszystkiem ani na chwilę nie pogрузzył się w bezczynność i apatyę. Niczem niezachwiana wiara w przyszłość nadała też postaci Dąbrowskiego, jakby żywiołową czy mesyaniczną siłę, którą autor zrozumiał, odczuł i wybornie odtworzył.

„Pamiętniki majora S. T. Kierzkowskiego. Warszawa, 1904.

W postaci Kierzkowskiego spotykamy typowego niższego oficera, który nie sili się na opisywanie rzeczy wielkich i rozległych, ale pozostaje zawsze w szczupłym i ciasnym kole tego, co sam doświadczył, lub co na własne widział oczy. Owa bezpretensjonalność, tak rzadka u niższego oficera, budzi do pamiętnika wielkie zaufanie, i jeżeli jakiś drobny opis wywołuje w czytelniku pewną wątpliwość, to się przypisuje tej okoliczności, że Kierzkowski dopiero w lat trzydzieści po ukończonym zawodzie wojskowym zaczął spisywać swe pamiętniki. Wspomnienia Kierzkowskiego są z tego względu interesującymi, że opisują nie tylko kampanie republikańskie i napoleońskie, wspominają nie tylko San-Domingo i Hiszpanię, ale poświęcają uwagę kampaniom polsko-rosyjskim z 1792 i 1794 r., które w zbyt wielu pamiętnikarzy nie obfitują.

Kierzkowski zawiadamia nas, że się urodził w domu uczciwym szlacheckim, ale ubogim, przyczem dodaje: ojciec mój lubił gości, a bardziej jeszcze karty, więc łącno z tego można poznać taką strategię. Dziwna przygoda skłoniła Kierzkowskiego do wstąpienia do wojska. W r. 1771, kiedy Kierzkowski mógł zaledwie przy pomocy mamki siedzieć na poduszce, zaszła w wiosce Smuszewie, pod Krotoszynem, potyczka konfederatów barskich z nieprzyjacielem. Zabłąkana kula trafiła w poduszkę, na której malec siedział, a ten wyciągał spokojnie pierze z poduszki i niemi się obsypywał. Od tego czasu zaczęto Kierzkowskiemu prognostykować, że będzie wojskowym dla tego, że był tak wcześnie w ogniu i kule go mijały. W roku 1787 Kierzkowski wstąpił do wojska polskiego. Pułk jego wymaszerował na Ukrainę, dla uspokojenia buntów, tam wszczętych, i wtedy Kierzkowski zaczął pierwszy raz utyskiwać na trudy wojenne, albowiem marsze wśród wielkich upałów trwały od wschodu do zachodu słońca. Szlachta podwód wzbraniała się dawać, wojsko nienawidzone było od obywateli, zdawało się, że było obcem, a nie polskiem, szlachta nawet żadnych rekrutów do wojska nie dawała i sama była wolna od służby wojskowej. Były tylko w użyciu gwałtowne werbunki do wojska, z których często wynikały bitwy i porywanie się na wojsko.

W r. 1791 pułk Kierzkowskiego wyruszył pod Braclaw. Tam się zebrało kawaleryi i piechoty 12,000, prócz artyleryi. Obóz był pod rozbitymi namiotami przepysznie urządzony, tak, że zdawał się prze-

ypsznem miastem. Na lustracyę tego obozu zjechał wielki hetman, Ogiński. Po odbytej lustracyi rozkazał hetman wojsku zrobić różne manewra, podczas których znajdowało się dwóch generałów rosyjskich z armii Potemkinowskiej, stojącej na Wołoszczyźnie. W czasie manewrów wojsko występowało w największej paradzie, a generałowie rosyjscy zastanawiali się nad manewrami wojska polskiego, które polegały na tem, że książę Józef atakował obóz, a Kościuszko bronił go uporczywie. Manewry trwały, dopóki zimna nie zaczęły dokuczać, i wtedy regiment Kierzkowskiego cofnął się do Tarnopola.

Kampanię 1792 roku odbył Kierzkowski pod komendą generała Paparta. Bez żadnego oporu wojska opuszczały najbogatsze, żyzne prowincye. Na grobli Boruszkowieckiej znajdował się Kierzkowski po raz pierwszy w ogniu. Opisuje on też ową niezbyt fortunną potyczkę dla wojsk polskich dosyć żywo i obrazowo. Wojska rosyjskie pod groblą Boruszkowiecką pragnęły odciąć i zniszczyć całą awangardę polską. Pomiędzy lasami i jeziorami — pisze Kierzkowski — nie można było widzieć nieprzyjaciela, który ku grobli zabiegał z swoją artyleryą. Uformowaliśmy czworoboki i niedaleko od grobli zaczęła się bitwa. Artylerya nasza dawała ognia do jegrów pieszych, którzy krzewiną podeszli do naszych, na kroków 40, i dużo nam ludzi ubili. Broniliśmy się, sądząc, że nas będą sukursować nasi, ale daremna nadzieja. Straciwszy połowę ludzi, reszta nas przypadkowym sposobem, z podpułkownikiem Grochowskim po nad jeziorem, krzewiną, trzęsawiskami, uchodziliśmy z rąk niewoli, lub śmierci. Tak ubiegliśmy z pół mili drogi do jednego młyna. Przeprowadzili nas młynarczykowie, bo mosty nasi pozrucali z rozkazu księcia Józefa. Przybyliśmy do Połonnego, połowy batalionu brakowało. Z całej tej aryergardy, 2,000 ludzi wynoszącej, zaledwie tysiąc pozostało. Ta nieszczęśliwa aryergarda była dla mnie bardzo przykra. Po utraceniu wszystkich mych rzeczy, w jednej koszuli zostałem, a ponieważ nie byłem jeszcze oficerem, więc mi się dała uczuć bieda nie do zniesienia. Kierzkowski opisuje również bitwę pod Zieleńcem, a potem pod Dubienką, ale w tych opisach nie może krytycznie objąć całego pobojowiska, i tylko darzy nas szczegółami podrzędniejszego znaczenia.

W opisie kampanii 1794 r. skreślił Kierzkowski żywo i szczegółowo bitwę pod Szczekocinami, w której otrzymał trzy cięcia szablą w głowę od kirasyerów rosyjskich. Zaczęła się batalia — jak pisze Kierzkowski — o godz. 11-ej zrana i trwała do godz. 4 po poł. Czternaście tysięcy wojska polskiego walczyło przeciwko 30,000 Prusaków i 6 tys. Rosyan. Polacy mieli 27 armat, a nieprzyjacielskich armat było sześć razy tyle. Kanonada nieprzyjacielska zrobiła wielkie wrażenie. Kosynierzy, wystawieni na kule i kartacze, zaczęli ucho-

dzie z naszego regimentu, gdzie się zrobiła luka pomiędzy dwoma naszymi batalionami. Z powodu tego generał Grochowski wpadł pomiędzy pierzchających, zwracał ich napowrót, lecz od kuli armatniej poległ na placu, a w tem kawalerya rosyjska wpadła między dwa nasze bataliony, otoczyła nasz czworobok naokoło, ale nie mogła go zaraz rozbić. Dopiero kiedy z drugiej naszej linii nie mogli już nas widzieć z pomiędzy kawaleryi nieprzyjacielskiej, dali nasi z armat kartaczami ognia, i nasze czworoboki zostały uszkodzone od własnych armat, ponieważ kartaczami tak, jakby półtoracznym wozem, przejechał przez kawaleryę i przez nasz czworobok, to nas zgubiło, gdyż od naszych wiele swoich ubitych było, reszta rannych i do niewoli zabranych. Jazda polska ruszyła do ataku na lewe skrzydło rosyjskie, ale kozacy, ukryci w boru, wypadli na tył naszej jazdy, która się galopem napowrót cofnęła. Stratę armii polskiej w bitwie pod Szczekocinami oblicza Kierzkowski na 6,000 ludzi. Wziętych nas do niewoli — pisze on — strzegła warta rosyjska. Przy samym trakcie wielkim, na małej łączce, przy moście, zatrzymali nas razem z dwiema naszymi armatami i dwoma, naszego regimentu, sztandarami, złożonemi na armatach.

Około nas — pisze dalej wzięty do niewoli, ranny Kierzkowski — przechodziła wielka liczba rannych Prusaków i Rosyan, oprócz co na wozach mocno ranionych dużo wieźli. Zdawało się, że cała ich armia raniona była. Wtem bieży jedna żołnierka pruska z płaczem, narzekając, że mąż jej zginął. Spostrzegła naszych niewolników, podniosła kamień na drodze i rzuciła w złości na nas, lecz nie trafiła żadnego. Oficer rosyjski od naszej warty spostrzegł to, pobiegł do niej szybko, kopnął ją nogą tak, że baba się na ziemię przewróciła. Ledwo się to stało, wpada pomiędzy nas na koniu huzar pruski w zielonym mundurze, bez myca na głowie, a medal na piersiach. Widać było starego, zasłużonego żołnierza, wąsiska obwisłe, pijany, za ledwie mógł na koniu usiedzieć. Dobytym pałaszem zaczął rąbać naszych niewolników. Oficer rosyjski, rozgniewany już na żołnierkę, nie zważając na medal, uchwycił huzara z tyłu za harcap, ściągnął z konia i pałaszem dobrze okładał, wołając: „wot tiebie, ty plenny choczysz rubat’ “. W dodatku jeszcze go aresztował. Już się zbliżył wieczór, król pruski, powracając z pola bitwy, spostrzegł nas niewolników, armaty i sztandary. Zatrzymał się i zapytał, przez kogo my zabrani byli. Generał Igelstrom był przy boku króla, widział oficera od swoich przy nas na warcie, przybył do niego i zapytał się, przez kogo my zabrani. Odpowiedział oficer: „nasi wzięli w plen“. Igelstrom powrócił do króla z raportem, a król pojechał do pałacu starościny Olbromskiej.

Następnie opisuje Kierzkowski smutną swoją dolę w niewoli u Prusaków, którym się ostatecznie dostał w udziale. Opis ten rzuca ponure światło na ówczesne stosunki sanitarne wojenne. Kierzkowski razem z innymi rannymi pozostawał bez opatrunku aż do trzeciego dnia. Nareszcie przyszli pruscy lekarze, ale i ci tak powierzchownie opatrywali rannych, że dopiero polskiemu lekarzowi, który przybył na czwarty dzień, zawdzięcza Kierzkowski swoje ocalenie. Wzmocniwszy się na siłach, Kierzkowski uciekł z niewoli pruskiej i doznał od włościan zwłaszcza, niezmiernie dużo współczucia i pomocy. Po wielu kłopotach dostał się nareszcie do Warszawy i tam go opatrywano jeszcze przez czas jakiś w lazarecie. Wiele go razy wyzdrowionego spotkał Kościuszko, zawsze się pytał, czy mu się rany nie odnawiają, a do oficerów świty mówił: „Widać, że nie uciekał z placu bitwy, bo ma z przodu rany, a kto uciekał, to z tyłu“.

W roku 1800 wstąpił Kierzkowski w służbę Rzeczypospolitej francuskiej. Przebywając w Toskanii, nie otrzymywali oficerowie polscy żadnego żołdu, ani nawet żadnej racyi żywności, tylko żołnierzom udzielono żywności. Trwało to prawie cały kwartał. Rząd francuski nic o Polaków nie dbał. Oddaleni od własnego kraju, wśród nieprzyjaciół, przywiedzeni oni byli do rozpacz. Wielu też sobie odebrało życie z tego powodu, jeden np. zastrzelił się, jeden brzytwą gardło poderznął, a jeden z pierwszego piętra wyskoczył. Z Paryża przyszła propozycja, żeby Polacy wstąpili w służbę Etrury, ale odrzucili oni te propozycje i chcieli pozostać w służbie Rzeczypospolitej francuskiej, ponieważ sztandary z kolorami narodowymi mieli sobie od niej ofiarowane. Z legionami polskimi wyruszył, a raczej popłynął Kierzkowski na San-Domingo. W ową niebezpieczną podróż wybrał się on z młodą małżonką. Dla nas — pisze Kierzkowski — San-Domingo było przeklęte, gdzie nam grób Napoleon w przeciągu sześciu miesięcy wykopał. Niebo mu wypłaciło wet za wet, i jemu na wyspie grób wykopano. Gdy podpłynęliśmy pod San-Domingo, ujrzeliśmy owe okropne góry, nasze przyszłe groby. Istotnie z dwóch brygad polskich ocalało kilkunastu oficerów, a może 150 żołnierzy i podoficerów. Odplywając do Europy z portu Cap Francci cieszył się Kierzkowski, że nareszcie odbiją od tej przeklętej wyspy, aż tu znowu na otwartem morzu schwyciła ich w parę dni potem okropna burza. Kierzkowski ujął w objęcia swoją małżonkę i czekał śmierci, a wszyscy, co tylko mieli na okręcie do wypicia, wypili. Ocalenie przyszło w ostatecznej chwili, ale zastało tylko próżne butelki, które nie pozwoliły oblać radośnie szczęśliwego zdarzenia.

W roku 1806 wstąpił Kierzkowski napowrót do wojska francuskiego i dostał się pod komendę marszałka Lannes. Korpus V-ty

przeznaczony był później do Hiszpanii, i brał udział w zdobywaniu Saragossy. Bitwę pod Albuera z Wellingtonem opisuje Kierzkowski dokładniej i przytacza kilka szczegółów o zachowaniu się ułanów Konopki. W chwili, kiedy artylerya angielska zadawała ciosy kawalerji francuskiej, a piechota angielska uderzała odważnie z bagnetem w rękę na piechotę francuską, lewe skrzydło francuskie poczęło się cofać, a prawe nacierać na Anglików. W tem — pisze Kierzkowski — posłał mnie generał Latour-Maubourg do Konopki, którego nie było przy pułku, tylko Kostanecki, ażeby jeden szwadron ułanów klusem uderzył na tył piechoty angielskiej. Kostanecki, szef szwadronu, uderzył na piechotę, zabrał cały batalion i sztandar, tudzież cztery armaty. Anglicy wysłali szwadron huzarów na ułanów polskich, ale ci nie śmieli uderzyć, widząc świeży szwadron ułanów, pomykający się naprzód. Kanonada coraz się powiększała, kula armatnia przeleciała memu koniowi przez brzuch z ukosa, zerwała strzemię, i dostałem mocnej kontuzji nogi. Ułany polskie znosiły w każdym natarciu kawaleryę angielską, z powodu, że angielskie konie bały się chorągiewek przy lancach i w tył się nmykały, a z tyłu żgali Polacy uciekających. Bardzo się Anglicy uskarżali na polskich ułanów, którzy swych dzid nie żalowali na Anglików.

W bitwie pod Albuera miał Kierzkowski zdarzenie nie bardzo przyjemne. Zmęczony upałem, gdy się napił wody z pobliskiej strugi, spostrzegł pod brzegiem gałęziami przykrytego trupa, mającego w boku ranę od ręcznej broni, lub też od bagnetu. Zaraz go porwały wymioty, zachorował mocno i był przymuszony udać się na kuracyę do Seville. Przez cztery lata pobytu w Hiszpanii, Kierzkowski zwiedził wszystkie prowincye wraz z miastami głównymi i znalazł je okazałe, przepelnione ogrodami i pięknymi kościołami. Hiszpania—jego zdaniem—jest to kraj bogaty, wszystko ma niemal lepsze od innych, ale żyć w nim Hiszpanie nie umieją. Wina po wszystkich prowincyach dużo. Pomarańcz, cytryn, kakao moc obfita. Bydła mają dużo dzikiego, które w górach się chowa, krów do doju bardzo mało. Świń mało widać i te są gołe, nie mają na sobie szczecin. Owiec prześlizczny mają gatunek, na lato pędzą je w góry, a na zimę spędzają z gór. Ptactwa dzikiego na zimę zlatuje się pełno, po polach stadami chodzi, rzeki nigdy nie zamarzają. Kuchnia Hiszpanów nie najlepsza i trudnią się nią tylko kobiety. Czekolady dużo używają, prawie nią żyją, często dwadzieścia razy na dzień gotują i z ciastami, lub grzankami jedzą.

Z Hiszpanii podążył Kierzkowski w ślady wielkiej armii. Spóźnił się jednak widocznie, bo pod Augustowem spotkał Napoleona, wracającego z Rosyi. Wkrótce do Augustowa przybyli jeszcze gene-

rałowie ranni i książę Józef. Kierzkowski pobiegł do ranego generała Paszkowskiego, który mu opowiedział, że cała armia prawie wymarła i mało co powraca. Kierzkowski pośpieszył do Elbląga, gdzie miała być kwatera króla Murata, i w tem miejscu spotkali mnóstwo przemarzłych Francuzów bez nosów, bez uszu, bez palców. Ubiór ich był osobliwszy, jedni jak pasterze z poprzewiązwanemi do szyi skórąmi owczemi niewyprawnemi, drudzy w ornatach, jak księża, inni poprzywiązywali sobie kobiece spódnice pod szyję, pokryli pod nie ręce, tak, że ich widać nie było. Zdawało się, że to podczas karnawału maski. Francuzi przybyli zgłodniali, ale mieli pieniądze, kazali sobie dużo dawać jeść i pić, i z tego wielu poumierało. W kampanii 1813 r. Kierzkowski brał udział, a w r. 1814 został wzięty do niewoli pod Fère Champenoise. Czworobok piechoty, obskoczony przez masę jazdy nieprzyjacielskiej, bronił się od 10 rano do 4 po południu, dopiero jak nadeszła gwardya rosyjska i z 50 armat biło do czworoboku, oddział generała Amey, w którym znajdował się Kierzkowski, poddał się cesarzowi Aleksandrowi I-mu.

Pamiętnik Kierzkowskiego posiada pewną wartość, zwłaszcza do kampanii 1792 i 1794 r. Nosi on typowy charakter wspomnień niższego oficera, pozbawionego twórczej fantazyi i opisującego z zamiłowaniem i z dokładnością to, na co sam patrzył i czego sam doświadczył. Pamiętniki Kierzkowskiego były już dawniej drukowanemi, ale stały się bibliograficzną rzadkością, i wydawcy mieli słuszną, uprzystępniejszy i przypomniawszy je naszemu społeczeństwu.

A. R.

ŚWIATŁOMIR: Ciemnota Galicyi. Lwów 1903.

Parę miesięcy temu ukazała się książka p. Światłomira p. n.: „Ciemnota Galicyi”. Prasa postępową warszawską powitała rzecz tę pochwałami, nieodpowiadającemi wcale jej wartości. Już to bowiem znaną jest prasa rzeczona ze złego poinformowania o stosunkach galicyjskich i z niechęci do Galicyi.

P. Światłomir twierdzi, że „wolny postęp szkolnictwa galicyjskiego jest wynikiem trzech przyczyn: nieprzychylnego stanowiska sejmu wobec oświaty ludowej, wadliwego urządzenia rady szkolnej, ducha naszej naczelnej władzy szkolnej. „Wszystkie te trzy przyczyny dadzą się jednak sprowadzić do jednej: nieprzychylnego sta-

nowiska partji rządzącej względem oświaty ludowej" ... Stąd aplauz dla p. Światłomira.

Książka ta zawiera tyle błędów, iż sprostowanie ich wymagałoby napisania innej. W krytyce swojej zatrzymam się tylko nad wykazaniem niektórych jedynie błędów p. Światłomira.

Najpierw, co do części historycznej. Autor twierdzi, że rząd austriacki nie tylko zachęcał szlachtę i księży do zakładania szkół, lecz nadto czuwał (?), aby szkoły nie świeciły pustkami. Rozporządzeniem z dnia 20 października 1781 r. nakazano nie przyjmować dzieci bez świadectwa szkolnego do służby ani do rzemiosła. Co do uposażenia szkół ustaliła się zasada, że utrzymanie szkół jest obowiązkiem gromad i dominiów (str. 2). Otóż rozporządzenie powyższe było jednym z tych licznych patentów okresu t. zw. oświeconego absolutyzmu, które nie miały żadnego zastosowania praktycznego, gdyż nie odpowiadały warunkom obiektywnym.

Z relacji naczelników okręgów i radców gubernialnych od 1785 do 1789 r. (t. zw. Kreisbereisungen) złożonych po lustracji odpowiednich okręgów, widać, że w każdym ze zbadanych 18 okręgów Galicyi, było po kilka zaledwie szkół. Uczące się dzieci stanowiły tak nieznaczny odsetek, że nieprzyjmowanie do usług lub rzemiosła dzieci, nie umiejących czytać, wykluczone było przez stosunki faktyczne.

Rząd nie łożył nic na szkoły elementarne po wsiach, nie pomnażał ich na gruntach kameralnych, gdzie nań padały bezpośrednio obowiązki, leżące na dominiach. Wielu przedstawicieli biurokracyi austriackiej typu Józefińskiego, widziało w szkołach pożądaną czynnik germanizacyjny. Udzielano nauczycielom nagrody za postępy uczniów w języku niemieckim i radca gubern. Korthum, znany autor odpowiedzi na zażalenia szlachty galicyjskiej z 1790 r. proponował w r. 1786, aby w szkołach ludowych uczono religii w języku niemieckim. Wobec germanizacyjnych tendencyj rządu austriackiego w szkolnictwie krajowym, niemożliwością było współdziałanie społeczeństwa polskiego w tej dziedzinie.

Autor, opierając się na danych statystycznych z 1846—1857 r. twierdzi ironicznie, iż „tak gorąco krzątano się u nas około zakładania szkół ludowych, że liczba ich w końcu zmniejszyła się o 90“. Zapomina widocznie, iż był to okres reakcyi społecznej i politycznej, odwrotnej fali germanizmu i centralizmu; najlepsi wyginęli w walce 1846 i 1848 r. lub siedzieli po więzieniach, społeczeństwo polskie pozbawione było możności jakiejś akcyi zbiorowej na szerszą skalę w Galicyi, nawet dawnych postulatowych sejmów, zwoływanych na parę dni w dowolnych odstępach czasu, od r. 1848 nie zwoływano już

więcej. „Gdy po nadaniu konstytucyi— pisze autor— Sejm galicyjski objął w r. 1861 opiekę nad potrzebami kraju, spodziewano się, iż jednym z głównych punktów programu będzie podniesienie sprawy szkolnej. Oczekiwania zawiodły. Dopiero d. 31 stycznia 1863 roku prof. d-r J. Dietl zabiera w sejmie po raz pierwszy głos w sprawie szkolnictwa krajowego, domagając się utworzenia komisji edukacyjnej krajowej. Dwuletnie milczenie było odpowiedzią na to żądanie“ (str. 6).

Otóż p. Światłomir ignoruje lub przez ignorancję przeocza fakt, iż Sejm w 1861 r. obradował wszystkiego dnia 10, że ukonstytuowanie się Sejmu, sprawa językowa w Galicyi, kwestya obsyłania lub nieobsyłania parlamentu, kwestya konstytucyi austriackiej i stosunek Galicyi do Austrii — musiały wypełnić krótką kadencję sejmową, w której jednak znaleziono czas, aby się upomnieć o fundusz edukacyjny Galicyi. Wobec nawału spraw, które wyłoniły się na pierwszym Sejmie w 1861 roku, Sejm zwrócił się do cesarza z prośbą o ponowne zwołanie go we wrześniu 1861 r. Prośby tej nie uwzględniono, trudno więc czynić zarzuty, iż Sejm nie załatwił tych lub owych spraw. P. Światłomir bardzo łatwo mógł znaleźć przyczyny, dlaczego to „milczenie dwuletnie było odpowiedzią na żądanie posła Dietla“. Dnia 31 stycznia 1863 r. Sejm został zamknięty na długo, zebrał się dopiero w listopadzie 1865 r. Każde zwrócenie uwagi, że budżet szkolny winien odpowiadać budżetowi krajowemu, każde żądanie przystosowania szkół do potrzeb kraju, do potrzeb tych stanów, które dają główny kontyngens wychowañców tej lub owej kategorii szkół — podchwytuje autor jako objawy wstecznictwa, niechęci do oświaty.

Stąd wśród „wsteczników“ figuruje Zybliekiewicz, którego hasła: „Szkoła w każdej wsi, chociażby w chacie wiejskiej“ nie uwzględnia autor, podsuwając mu tylko chęć obniżenia poziomu szkolnictwa krajowego. Wobec tego jednak, iż do dziś dnia środki, któremi rozporządza Sejm galicyjski, nie zezwalają na założenie dostatecznej liczby szkół dla wszystkich dzieci galicyjskich, wobec tego, iż typ ośmioklasowej szkoły ludowej galicyjskiej urobiony według szablonu austriackiego, w olbrzymiej liczbie wypadków nie dał się zrealizować w Galicyi, wobec tego, że znaczna cyfra szkół nie posiada dostatecznej liczby klas i procent takich szkół niepełnych odpowiada w powiatach poszczególnych szczeblowi ich rozwoju ekonomicznego — wyzwolenie szkolnictwa galicyjskiego z pod szablonowej rutyny, szkołę wolną, niekrępującą inicjatywy prywatnej, należałoby uważać za objaw bardzo pożądanym dla Galicyi. Tylko przyjęcie tej zasady jedynie umożliwiłoby w wielu wypadkach wykonanie

uchwały sejmowej z 1873 r. (zamilczał o niej p. Światłomir), iż w każdej gminie, w której jest 40 dzieci, obowiązanych do nauki szkolnej, ma być założona publiczna szkoła ludowa.

Czy kurs szkoły ludowej trwać będzie 2, 3 czy 8 lat, jest rzeczą mniejszej wagi, byle dała fundament dalszego kształcenia się ludu galicyjskiego, co powinny wziąć na siebie różne towarzystwa oświatowe, wykłady i wydawnictwa popularne. Dzisiejsza szkoła ludowa nie wyklucza recydywy analfabetyzmu. Pochodzi to stąd, iż przez czas długi brakowało nam odpowiedniej samopomocy społecznej w akcji oświatowej w Galicyi, przedewszystkiem jednak przypisać to należy naszej strukturze gospodarczej, nie wywołującej znacznego zapotrzebowania na znajomość czytania, pisania i rachunków w masach chłopskich. Trudno też uważać za objaw wstecznicwa jak to czyni p. Światłomir, iż Sejm i Wydział krajowy pragnęli uzależnić szkolnictwo bezpośrednio od Wydziału krajowego.

Były to tylko objawy zdrowego instynktu kraju. Powołując do życia krajową Radę szkolną, chciano mieć krajowe ministerium oświaty, niezależne od wiedeńskiego. Nie przecząc bynajmniej, iż Rady szkolne krajowe, a między nimi i galicyjska, podlegają ministerium, posłowie polscy uzyskać pragnęli, by ministerium to nie było bliżej określone w ustawie, „a przeto dla Galicyi będzie niem ministerstwo czyli kanclerstwo galicyjskie, o którego utworzenie gorliwie się starali — pisze p. Bobrzyński w rozprawie „Statut Rady szkolnej krajowej galicyjskiej“.

W pierwszych latach swego istnienia dążyła władza szkolna krajowa do wyemancypowania się z pod zależności ministerium. Był to okres, w którym instytucja ta cieszyła się największą powagą w kraju. Centraliści niemieccy zdołali jednak zmniejszyć wpływ i zniweczyć samodzielność tej instytucji. Rozporządzeniem z 1875 r. odjęto Radzie szkolnej prawo nominacji nauczycieli i dyrektorów szkół średnich. Poseł Romanowicz, zapominając o rozporządzeniu tem, mówił w Sejmie w 1882 r., że od r. 1875 Rada szkolna przestała być tą instytucją autonomiczną, jaką wyobrażaliśmy ją sobie kiedy powstała, i jest tylko departamentem szkolnym namiestnictwa.

Degradacja Rady szkolnej była umotywowana skargami prasy polskiej na tę instytucję. Nieokreśloność położenia instytucji galicyjskich, jako przez pół autonomicznych, przez pół organów centralistycznych, ich łatwa odwołalność, mogąca być umotywowana przez naszą krytykę instytucji owych, musi prowadzić do ich wykoślawienia. Dążność więc do przeniesienia sfery ich działalności na instytucje całkowicie autonomiczne, uważać musimy za bardzo ważną dla rozwoju naszego.

Ocenianie różnych objawów politycznych może być bezwarunkowo rzeczą sporną, ale są fakty, zaprzeczyć się nie dające, a doniosłe dla danej dziedziny. Do faktów takich zaliczyć należy tendencyjnie pominiętą uchwałę z 1873 r. wspomnianą powyżej, dalej pominiętą uchwałę sejmową z 1874 r. o przyspieszenie wykonania uchwały uprzedniej, oraz pominiętą uchwałę sejmową z 1894 r., mocą której Sejm nałożył na obszary dworskie podatek szkolny, obowiązujący dotąd wyłącznie gminy wiejskie.

P. Światłomir, zarzucając niechęć względem oświaty Sejmowi galicyjskiemu opiera się na tem, że Sejm zaczął od r. 1873 dopiero wyznaczać fundusz szkolny. Ignoruje fakt przytaczany w cytowanej przez się rozprawie p. Bobrzyńskiego o statucie Rady Szkolnej. Projekty ustaw o zakładaniu i utrzymaniu i o stosunkach prawnych nauczycieli, opracowane zostały przez Radę Szkolną; gdy rząd z aprobatą ich zwlekał, przedłożyli je sejmowi posłowie Pietruski i Czerkawski, a sejm uchwalił je, uwzględniając poprawki, których rząd w ciągu rozpraw się domagał.

Uchwały Sejmu otrzymały sankcye z dnia 2 maja i 25 czerwca 1873 r., a Rada Szkolna w 5 lat po swajem powstaniu uzyskała w nich dopiero wszystkie warunki działania na najważniejszym polu szkół ludowych (Bobrzyński: Statut Rady Szkolnej str. 31). Widzimy tu objaw t. zw. obstrukcyi biurokratycznej, zwykłego u biurokratów ministeryalnych wiedeńskich zwlekania z załatwieniem projektów władz galicyjskich.

W pierwszych latach autonomii np. w 1865/6 roku cały budżet kraju wynosił zaledwie 806,457 złr. Trudno było podnieść znacznie budżet krajowy przez dodatki do podatków, gdyż indemnizacya wymagała 51 ct. od każdego florena podatków stałych wraz z dodatkiem $\frac{1}{3}$. Siły podatkowe kraju były tak słabe, iż cent dodatku do podatków stałych przynosił 59,010 złr., gdy w r. 1888/9 jeden cent dodatków do podatków wynosił już 103,500 złr., dochodzi zaś obecnie do 130,000 złr. U kolebki autonomii galicyjskiej stały głody, nawiedzające Galicyę co lat parę, klęski elementarne, które w roku uprzednim nawiedziły ciężko różne strony kraju, obudziły już wówczas obawy częściowej nędzy. Ze strony c. k. rządu przedsięwzięto środki zaradcze, ażeby zapobiedz głodowi w stronach zagrożonych. W tym celu rozdawano między cierpiących niedostatek ze środków państwa i kraju, jako zapomogi, zaliczki, ograniczone jednakże do najściślejszych potrzeb. Załagodzenie ciosów zadanych gospodarstwu krajowemu, mąsiano pozostawić urodzajom lat przyszłych.

Niestety, po tym zgubnym roku następował znów nieurodzaj... „W przybliżeniu podane doniesienia władz rządowych nie pozosta-

wiają żadnej wątpliwości, że z przyszlą wiosną głód zagraża w rozmaitych stronach kraju i że nie będzie dostatecznej ilości zboża na zasiewy wiosenne“, czytamy np. w allegacie sejmowym z roku 1864/5.

W Sejmie od r. 1873 w ciągu lat kilku poruszano sprawę zubożenia kraju. Finansista p. Światłomir wyrzeka, czemu to sejm podniósł dyety poselskie z 3 złr. do 5 złr. w pierwszych latach autonomii, czemu podnosił płace funkcyjonyuszom i członkom Wydziału krajowego, zamiast użyć tych pieniędzy na szkolnictwo.

Funkcyja szkolnictwa jest bardzo szacowną funkcyą, ale bez powołania odpowiednich sił do Sejmu i Wydziału krajowego, kraj nie może spełniać wszystkich swych funkcyi samorządu. Interesy samorządu wymagają aby funkcyjonyusze nie byli mniej zdolni i wykwalifikowani od funkcyjonyuszy organów państwowych, stąd muszą nie być gorzej płatni od tych ostatnich.

Dla autonomisty autoramentu p. Światłomira kwestye autonomiczne Galicyi rozwiązywać się dają bardzo łatwo: zwiększyć liczbę szkół, podwoić liczbę nauczycieli, podnieść pensyę nauczycielom ludowym, a produkcyja krajowa podniesie się w kilkakroć, dobrobyt zapanuje.

P. Światłomir, jako odkrycie statystyczne wypisuje z „Handbuchu“ statystyki austriackiej, iż w Galicyi jest znacznie mniejsza wytwórczość każdego zboża z hektaru niż w Czechach, na Ślązku i na Morawach wykrzykując, iż kraj rolniczy jest właśnie pod względem rolnictwa bardziej zacofany od krajów przemysłowych. Ależ — wszak to objaw ogólny i zwykły, iż kraj nie posiadający przemysłu, nie posiadający przeto rynków wewnętrznych na warzywa i nabiał, stać będzie znacznie niżej od kraju przemysłowego, no, — lecz na to nie poradzą żadne szkoły.

Następnie, figurują u p. Światłomira porównania statystyczne w wielu względach między Galicyą a Austryą niższą, której przeszło $\frac{3}{4}$ ludności stanowi Wiedeń, porównanie do przemysłowych Czech, Śląska. Wszystkie te porównania mówią tylko, iż dzisiaj wieś jest pod każdym względem bardziej zacofana od miasta, że kraje o przeważającej ludności przemysłowej, są bogatsze niż kraj o przeważającej ludności rolniczej.

Jaką metodą statystyczną posługuje się autor, zilustrujemy kilku przykładami.

Mówi on: „Wszystkie gorzelnie w państwie naszym (!) wyprodukowały 1,514,029 hl. z czego na gorzelnie galicyjskie przypadło 617,220 hl. Autor przytacza to, jako dowód pijaństwa Galicyi, robiąc błąd à la p. Feldmann, który z produkcyi tego lub innego wyrobu w kraju, robi wnioski o konsumpcyi.

Znaczną ilość spirytusu produkujemy na eksport. Śmiesznem jest u autora zestawianie liczby szynkowni z liczbą szkół w Galicyi, gdyż w Szwajcaryi znacznie jest więcej szynkowni niż szkół, liczba zaś szynków galicyjskich nie wynosi nawet 18% całej Austrii. Porównanie wydatków na szkoły Czech i Galicyi, bez uwzględnienia różnicy budżetu krajów tych, nie wytrzymuje krytyki.

Właściwie napisaćby trzeba tom cały, aby sprostować fałsze i błędy naukowe książeczki p. Światłomira.

Unikając cyfr, które są dlań niedogodne, p. Światłomir nie daje nam zestawienia budżetów sejmowych, a wykazałyby one jak szczupłym jest ów budżet i jak znacznym stał się wydatek na szkoły, gdy przestaliśmy ponosić wydatki na indemnizację. Nie zestawia autor cyfry dzieci, uczących się dziś i na początku ery konstytucyjnej.

Posiadając szerszy samorząd z zakresu szkolnictwa ludowego niż z zakresu polityki ekonomicznej, władze krajowe usiłowały wielokrotnie dźwigać nasz rozwój ekonomiczny drogą szkolnictwa. Smutne rezultaty szkół przemysłowych wykazały, iż wybrano mało skuteczną drogę.

Różne dziedziny życia społecznego znajdują się w zależności funkcyjnej pomiędzy sobą, rozrost jednych niemożliwy jest bez odpowiedniego rozrostu innych. Bez powołania do życia bardziej intensywnego rozwoju ekonomicznego, bez wytworzenia prawnopolitycznych warunków rozwoju, niema i nie może być szybkiego i pomyslnego postępu oświaty Galicyi.

Postępów jednak w dziedzinie tej negować niepodobna. W roku 1869 było 163,911 uczniów w szkołach galicyjskiej, w 1902 r. jest już 840,407, jak to sam p. Światłomir podaje. Jest to postęp względnie do naszych warunków ekonomicznych bardzo znaczny. Wprawdzie 25·98% dzieci w wieku szkolnym nie korzysta z nauczania ani w szkołach publicznych, ani w prywatnych, ale stoją temu na zawadzie: szczupły budżet Sejmu i brak odpowiedniej finansowej kompetencyi jego, a skrępowanie w wyborze systemu finansowego — uniemożliwia wydatki zbyt wielkie na oświatę.

Są jednak zarzuty, czynione przez p. Światłomira władzom szkolnym krajowym, z którymi solidaryzować się musimy — mianowicie szablon i formalizm biurokratyczny, zabijające wszelką inicjatywę i samodzielność nauczyciela. Ale jest to niemoc biurokratyczna z Austrii rodem, przez Austrię nas zarażająca. Następnie zaś — austriackość naszych podręczników szkolnych. Czarno-żółty kierunek szkół galicyjskich wywoływał już wielokrotnie skargi w Sejmie nawet wśród posłów, których o brak sympatyi dla Austrii posądzić niepodobna. Przyczyna leży tu w nieokreśloności położenia Rady Szkol-

nej i jej wrzekomej autonomiczności, czerpiącej siły swe w zaufaniu rządu centralnego przedewszystkiem.

Rada jest na to jedyna — zamiana rzekomej autonomii na prawno-państwowy samorząd kraju.

WŁADYSŁAW STUDNICKI.

IGNACY MATUSZEWSKI. Twórczość i twórcy, studia i szkice estetyczno-literackie. Cele sztuki.—Psychologia krytyki.—Mickiewicz w literaturze wszechświatowej—Wzniosłość u Słowackiego—Fantastyczność u Prusa—Sieroszewski—Reymont—Żeromski — Weysenhoff—Dauilowski—Berent—Witkiewicz—Rozprawy i rozprawki (Polemika i estetyka—Sława—Don Kiszot i Robinson—Bajki indyjskie)—Notatki artystyczne (Lenartowicz — Kamiński — Botticelli — Moreau), Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1904. r. str. 370, cena rb. 2.

Matuszewski jest krytykiem i z urodzenia i z przygotowania literackiego. Rozległa erudycja w dziedzinie estetyki i teorii sztuki, a także literatury powszechnej, bystra przenikliwość pięknoznawcza, szeroki umysł syntetyczny, samodzielność umysłowa, która pozwala mu widzieć piękno wszędzie, gdzie ono jest, bez względu na wszelkie uprzedzenia i namiętności partyjne, trzeźwość i logiczność myśli—oto warunki, które uczyniły z niego krytyka. To też należy on do najbardziej cenionych i najbardziej popularnych krytyków literackich z pośród młodszego pokolenia, a dzieła jego, jak: „Swoi i obcy“ „Dyabeł w poezji“, „Słowacki i nowa sztuka“ doznały wielkiego powodzenia, niektóre doczekały się powtórnej edycji, co dla dzieł krytyczno-literackich jest wielką rzadkością.

Wszystkie te cechy dodatnie, któremi zalecały się dawniejsze prace Matuszewskiego, znamionują i najnowsze jego dzieło, p. t. „Twórczość i twórcy“. Nie jest to, właściwie mówiąc, jednolite dzieło, lecz zbiór różnych artykułów, studyów i notatek, drukowanych różnymi czasy w prasie peryodycznej, wygłoszonych w kształcie odczytów i konferencji, a więc wywołanych nieraz potrzebą chwili bieżącej.

Nie można jednak powiedzieć, aby wartość tych rzeczy ograniczała się na aktualności. Przeciwnie. Sądy i zdania, wypowiedziane przez Matuszewskiego, są zawsze nacechowane głęboką znajomością przed-

miotu i głębszem jeszcze odczuciem wartości estetycznej dzieła, poddanego rozbiorowi; nie mają one więc wartości tylko przemijającej, sprawozdawczo-dziennikarskiej, ale przyczyniają się do lepszego wyrozumienia przepaścistych nieraz głębi dzieł literatury i jako takie, mają doniosłość trwalszą nad przemijającą dzisiejszość. I dlatego z prawdziwą przyjemnością widzimy zgromadzone w jednej książce te studia i szkice, przedtem rozrzucone po czasopismach; jest to bowiem pożądane uprzystępnienie rzeczy, do których nieraz zajrzeć, na które nieraz powołać się wypadnie.

Autor podzielił artykuły i prace, zamieszczone w niniejszym tomie, na kilka grup („Powieściopisarze i powieści“, „Rozprawy i rozprawki“, „Plastycy-poeci), dodawszy jeszcze kilka oddzielnych dłuższych rozpraw („Cele sztuki“, „Artyści i krytycy“, „Stanowisko Mickiewicza w literaturze wszechświatowej“, „Wzniosłość u Słowackiego“, „Stanisław Witkiewicz i krytyka subiektywna“.) Tak przedstawia się cały zasób „Twórczości i twórców“; jak możemy wnioskować z samych tytułów, obszerny on i różnorodny, dotyczy psychologii twórczości i estetyki, literatury powszechnej i polskiej, romantyzmu i dzisiejszej doby.

Celem bliższego rozejrzenia się w zawartym tu bogatym materiale, podzielimy go na dwie główne, a nierówne części: pierwszą możemy nazwać teoretyczną, drugą — praktyczną; w pierwszej autor wypowiada swoje zapatrywania w dziedzinie teorii sztuki i teorii krytyki, w drugiej — stosuje swoje zasady estetyczno-literackie do autorów i dzieł różnych czasów, różnych krajów i obozów.

Do pierwszej grupy zaliczyć można dwa utwory: „Cele sztuki, studium estetyczne“ i „Artyści i krytycy, przyczynek do psychologii krytyki“.

W pierwszym z nich Matuszewski jasno i logicznie wyprowadza z powszechnie uznanych podstaw wniosek, że sztuka jest sama sobie celem, że musi iść po własnej drodze, nie wkraczając na obce dla niej dziedziny moralności i dziennikarstwa. Słowem, jest to propaganda hasła „sztuka dla sztuki“, tak sprofanowanego dziś przez ludzi, którzy wymawiają je, nie rozumiejąc zgoła jego wewnętrznej treści.

Trzeźwy i uniarkowany umysł nie pozwala jednak Matuszewskiemu dojść w tej propagandzie do krańcowości takich np., jakie wygłaszał niedawno Miriam w programowych artykułach „Chimery.“ Naturalnie, nie zarzeka się on, jak t. zw. moderniści, ideowości w sztuce, bo „moralność, polityka, historia i życie społeczne“ równie dobrze, jak i stany psychiczne, mogą być źródłem nastroju poetyckiego.

„Artysta może przesycić swój utwór ideami—mówi dalej,—ale idee te muszą być jego własnymi dziećmi, nie bękartami tendencji i aktualności; muszą lśnić promieniami wiecznego światła, nie ogniem bengalskim efemerycznych hasła partyjnych“ (str. 29).

Matuszewski, idąc wzorem najnowszych estetyków i teoretyków twórczości artystycznej, wyznacza sztuce nader doniosłe zadanie syntetyzowania zjawisk natury, zjawisk, które nauka bada analitycznie, syntetyzowania nie przedmiotowego, co jest celem filozofii, lecz nawskroś przeduchowionego. Na zasadzie też zestawienia nauki i sztuki, dochodzi on do określenia istoty i zadań tej ostatniej. „Sztuka i nauka—powtarza za Helmholtzem—są to dwie dziedziny, różniące się bardzo zewnętrznymi stosunkami i metodą roboty; poza tem jednak, muszą wyznać, że jestem szczerze przekonany o głębokiem powinowactwie w e w n ę t r z n e m sztuki i nauki. I sztuka także wygłasza prawdy, p r a w d y p s y c h o l o g i c z n e, chociaż w innej zupełnie formie, a mianowicie w formie z m y s ł o w y c h z j a w i s k, nie p o j ę ć o d e r w a n y c h (str. 19).

Ten punkt widzenia, nawskroś nowoczesny, jedynie prawdziwy, a zarazem pojednawczy, powinien położyć kres gorszającym niesnaskom pomiędzy zwolennikami kultu „sztuki dla sztuki“ i sztuki tendencyjnej. Słusznie też rozprawa ta została położona na czele książki, stanowi ona bowiem punkt wyjścia dla dalszych studyów.

Wychodząc więc z założenia, że sztuka jest syntezą natury, Matuszewski w następnem studyum, p. t. „Artyści i krytycy“, przyczynek do psychologii krytyki“ wnioskuje, że celem krytyki jest uchwycenie tej wewnętrznej muzyki w dziełach sztuki, muzyki, która jest właśnie syntezą, i uprzyśtępnienie zagadek twórczości i sztuki szerszemu ogółowi. Wyznacza więc krytyce wysokie i niezależne stanowisko w dziedzinie sztuki, mówiąc, że „krytyk istnieje i pracuje nie dla artystów i poetów, lecz o b o k artystów i poetów, jako przedstawiciel odrębnego odłamu twórczości“ (str. 71); a gdzieindziej stwierdza, „że krytyka artystyczno-literacka prócz odpowiedniego przygotowania i wykształcenia, wymaga specjalnych i wrodzonych zdolności, że więc stanowi s a m o i s t n ą dziedzinę działalności duchowej, r ó w n o u p r a w n i o n ą z innemi“ (str. 69).

Równie głębokie i trafne jest w tej rozprawie rozróżnienie krytyki artystów i krytyki zawodowej. W pierwszej autor widzi dużo stron dodatnich, przyznaje jej wiele zasług, zwłaszcza na polu techniki artystycznej, ale zarzuca jej jednostronność i sekciarstwo, usterki nienuknione, nawet przy najlepszych chęciach.

Do drugiej grupy studyów, zamieszczonych w tomie „Twórczość i twórcy“ zaliczymy wszystkie pozostałe. Wszystkie one są zasto-

sowaniem metod krytycznych, wyłożonych w powyższych pracach: analityczno-syntetycznej i porównawczej. Z dłuższych położymy na pierwszym miejscu rzecz p. t. „Stanowisko Mickiewicza w literaturze wszechświatowej“. Autor określa tu warunki, które pozwalają uważać jakiś utwór literacki za wiekopomny, ustawia pewien szereg kategorii utworów poetyckich, a wreszcie wyznacza Mickiewiczowi nader poczesne stanowisko w szeregu wielkich geniuszów ludzkości. Matuszewski używa tu ulubionej metody porównawczej, wykazując przytem wielką erudycję, która nawet poniekąd przytłacza przedmiot: część, poświęcona Mickiewiczowi, jest tu znacznie mniejsza od pierwszej, przygotowawczo-porównawczej.

Rozprawka p. t. „Wzniosłość u Słowackiego“ jest jakby jednym rozdziałem z pracy o „Słowackim i nowej sztuce“; autor traktuje tu o wzniosłości wogóle ze stanowiska estetyczno-psychologicznego, a potem stosuje wyciągnięte stąd wnioski do poezji Słowackiego, na której piętno wzniosłości kładzie się tak wyrazistymi rysami.

Wymienimy wreszcie z dłuższych rozpraw rzecz o „Stanisławie Witkiewiczu i krytyce subiektywnej“, gdzie Matuszewski wywalcza prawa należne krytyce subiektywnej, której już w jednym ze szkiców w książce „Swoi i obcy“ poświęcił kilka kart wymownych; szkic ten więc można zaliczyć do programowych, obok „Celów sztuki“ i „Artystów i krytyków“.

Inne rzeczy, zamknięte w niniejszym tomie, to już drobne szkice, sylwetki i przyczynki; w każdym wszakże z tych drobiazgów znajdziemy jakieś spostrzeżenie trafne i niezmiernie ciekawe, pewien rys postaci duchowej jakiego poety czy powieściopisarza, przedtem niedostrzeżony; słowem, rzeczy to, mimo niewielkich rozmiarów, godne uwagi i interesujące.

W dziale „Powieściopisarzy i powieści“ czytamy następujące szkice i przyczynki: „Fantastyczność u Prusa“, która doskonale podchwytuje tę dość mało znaną i mało wydatną stronę twórczości autora „Placówki“; „Ewolucya powieści egzotycznej i Wacław Sieroszewski“ stoi znów na gruncie porównawczym, wyznaczając naszemu Sirce zaszczytne stanowisko w szeregu autorów powieści egzotycznych, jak De Foe, Kipling, Loti, van Rees, Multatuli; studjum to pod względem budowy i współmierności oddzielnych części o wiele wyżej stojące od powyżej scharakteryzowanej rzeczy o Mickiewiczu; szkic p. t. „Władysław Reymont (evolucya talentu)“ kreśli znów dzieje twórczości autora „Fermentów“ od „Komediantki“ aż do „Chłopów“ w sposób trafny i umiejętny; rzecz o „Stefanie Żeromskim“—nie ma luje ewolucyi talentu autora „Popiołów“, lecz ogranicza się na rozbiore jednego z najcelniejszych jego dzieł, „Ludzi bezdomnych“, w któ-

rzym jednak Matuszewski trafnie charakteryzuje główne rysy wytwórcze twórczości Żeromskiego; dopełniają tego cyklu szkice o Józefie Weyssenhofie, Gustawie Daniłowskim i Wacławie Berencie.

Inny znowu cykl został poświęcony artystom, których twórczość stoi na pograniczu między sztukami plastycznymi, (rzeźbą i malarstwem) a poezją. Mamy tu więc szkic biograficzny o Teofilu Lenartowiczu oraz sylwetki Antoniego Kamieńskiego, Botticiego, Gustawa Moreau.

Wreszcie—kilka „Rozpraw i rozprawek“ pomniejszej wagi o różnej treści, jak: „Miara estetyczna w polemice“, kilka rozprawek, zgrupowanych pod wspólnym tytułem „Sława“ („Sława a reklama“, „Sława u obcych“, „Psychologia pomników“), dalej studjum porównawcze „Don Kichot i Robinson“, wreszcie rzecz o „Duchu bajek indyjskich.“

Oto bogata treść ostatniej pracy Matuszewskiego. W powyższym jej zarysie trzymaliśmy się w granicach ściśle sprawozdawczych, nie wdając się w krytykę poszczególnych punktów, twierdzeń i spostrzeżeń. Zresztą, zastrzeżenia nasze mogłyby dotyczyć tylko oddzielnych szczegółów i myśli drugorzędnych. Wogóle zaś piszemy się najzupełniej na wywody autora, który w dziejach naszej dzisiejszej krytyki literackiej dużą odgrywa rolę, jako człowiek, który wnosi do zatęchłej atmosfery naszych przyjacielskich wzmianek i koteryjnych wycieczek, nowe podstawy krytyczne: psychologię twórczości i metody porównawczej.

HENRYK GALLE.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Młody, ruchliwy publicysta, p. Stefan Gorski, wydał świeżo książkę p. n. Łódź współczesna. Książka ta, ze względu, że jest pierwszą u nas od czasów Flatta (1853) monografią miasta, będącego głównym siedliskiem przemysłu i handlu polskiego, zasługuje na bliższą uwagę.

„Przez lat wiele — pisze autor we wstępie -- jako Kolumbowie, Łódź odkrywali dziennikarze. Łamy pism przepełniały się artykułami o „nowo-odnalezionem“ mieście, by za lat kilka zapomnieć o odkryciu i dać pole wynalazczości dla innego publicysty. Aż nadszedł czas przerwania ciągu tych dziwnych, stale powtarzających się obrazków. Nadszedł czas, że społeczeństwo zainteresowało się własnym miastem chociaż tyle, że pamięta o jego istnieniu, a w uroczystych chwilach bilansów ekonomicznych kraju lubi się szczyścić swoim wielkim ogniskiem przemysłowem. Dziwny zbieg okoliczności nie pociąga jednak ogółu społeczeństwa do bliższego poznania tego, iście po amerykańsku wyrosłego na gruncie ziemi naszej, miasta. Z ust, do ust podają się sprzeczne z rzeczywistością opinie o Łodzi, zakradając się nieraz do poważnych skąd inąd podręczników geografii krajowej. Można też śmiało powiedzieć, że suma wiadomości ogółu społeczeństwa o Łodzi da się streścić w kilku, stale powtarzających się ogólnikach: miasto posiada jedną tylko, bardzo długą ulicę, szczyści się sławą przemysłu, bogactw, kradzieży i rozbojów.

Brak jakiegokolwiek nowszej pracy książkowej o Łodzi — mówi dalej p. Gorski — skłonił mnie do napisania szkiców niniejszych, w których „starałem się ująć całokształt przejawów życia i pracy w mieście, gdzie odmienne warunki i charakter zajęć stworzyły ciekawe środowisko nowoczesne, dalekie od tradycyi naszych grodów dawnych.“

„Przewodnią ideą pracy mojej było wystawić stosunki w świetle prawdy i bezstronności.“

„Łódź—czytamy w innym miejscu—znajduje się w chwili niezmiernie dla nas ważnego przełomu: pierwiastek swojski bierze w niej górę nad opozycją niemiecką, ten pierwiastek wymaga jednak ciąglego zasilania, aby rósł dalej i potężniał. Jest to dalekim nieziszczonym zapewne, moim ideałem autorskim, aby przez książkę tę zwrócić uwagę czytelników polskich na potrzebę imigracyi do Łodzi i jej miast okolicznych. Wiele pracy, wiele trudów leży jeszcze przed społecznymi potrzebami miasta, ale w pierwszym rzędzie potrzeba: aby nasze krajowe siły fachowe garnęły się do zdobywania stanowisk przemysłowych w Łodzi. Jest tam jeszcze dużo niewyzyskanego pola do pracy i kapitałów polskich—kryje się tam wielka przyszłość dla tych ogromnych sum naszych potentatów pieniężnych, które, miast leżeć nieprodukcyjnie w bankach i listach, winnyby raczej zdobywać sobie coraz więcej placówek polskich w wielkim przemyśle łódzkim.“

Zaznaczywszy w ten sposób swoje stanowisko zasadnicze, p. Gorski przechodzi w następstwie do kolejnego rozbioru najznamienniejszych objawów życia łódzkiego, grupując materiał w szeregu poszczególnych rozdziałów, które noszą takie tytuły: I. Miasto. II. Społeczeństwo łódzkie. III. Życie towarzyskie. IV. Etyka, moralność oświata i szkolnictwo. V. Nauka, literatura i sztuka. VI. Filantropia i towarzystwa społeczne. VII. Przemysł i handel. VIII. Fabryki. IX. Towarzystwa współdzielcze. X. Hygiena i zdrowotność. XI. Rodzina miast — czyli miasta okoliczne Łodzi.

Podział ten jest bardzo dobry i ułatwia czytelnikowi objęcie całokształtu życia łódzkiego, szkoda tylko, że autor, który posiada niewątpliwy talent publicystyczny, umiejętnie patrzy w ruchliwą i zmieniącą falę zjawisk społecznych i obyczajowych i potrafi wyławiać z tamąd fakty najcharakterystyczniejsze — nie trzymał się ściśle dróg, dla poważnego publicysty najwłaściwszych, ale dał zupełną przewagę feljetonowemu sposobowi pisania, wskutek czego książka jego zyska może na poczytności, ale straciła na pogłębieniu i nie zajmie w naszej publicystyce tego miejsca, jakiego jej słusznie przypaść mogło.

Mimo to wszakże, p. Gorskiemu należy się szczerze uznanie za to, że pojechał do Łodzi, że ją studjował, że zebrał sporo ciekawego materiału obserwacyjnego, tudzież sporo faktów i cyfr, zaczerpniętych z właściwych źródeł, że to wszystko rozsegregował, uporządkował i wyzyskał, słowem za to, że napisał swoją „Łódź współczesną“, która powinna dać początek całemu szeregowi książek i broszur, poświęconych baczniejszemu zbadaniu życia prowincyi.

P. Gorski tę właśnie potrzebę zrozumiał, i ciężący oddawna na publicystyce polskiej obowiązek zaznajomienia szerszego ogółu z ekonomicznym i społecznym stanem kraju, odczuł bardzo silnie.

„Warto, — powiada on między innymi w zakończeniu swej pracy — aby środowiska rejonu łódzkiego z ludnością z górą 100.000 znalazły nareszcie szersze zainteresowanie. Warto, aby prasa, poza wysyłaniem niekiedy swych przedstawicieli na większe uroczystości w tych miastach, poza wygłaszaniem pięknych i składnych toastów na wieczornicach, po skończonych przedstawieniach amatorskich, zajęła się szerzej temi ogniskami życia. Warto, abyśmy nie zapominali, że Zgierz, Pabianice, Zduńska Wola, Konstancinów... leżą w obrębie Król. Polskiego, że w ogólnych obrachunkach ekonomicznego rozwoju kraju lubimy się szczycić ich istnieniem, ich wzrastającą produkcją, ale w praktyce życiowej lekceważymy ich byt, ich istnienie.

„W chwili wyrastania wielkich haseł uprzemysłowienia kraju oczy wszystkich obywateli społeczeństwa powinny być z naprężeniem zwrócone w stronę istniejących na ziemi naszej ognisk wytwórczości rodzimej. Winno się obserwować ich życie, współdziałać im w rozkwicie, a w rozwoju przemysłu upatrywać wzrost dobrobytu i poprawę stosunków ekonomicznych. Ostatnio tymczasem mogliśmy spostrzedz, że uwaga całego społeczeństwa bardziej zwracana była w kierunku jednej, niedużej fabryki ołówków, czy piór stalowych niż rozrostu ogółu środowisk przemysłowych kraju. Podobnie jednostronny prowincjonalizm ekonomiczny krzywdę wyrządza ogółowi. Uświadomione gospodarczo społeczeństwo powinno zrozumieć, że rozwój kraju polega nie na egzystencji jednej czy dwóch fabryk, ale na jego wielostronnej dźwigni przemysłowej.“

Wszystko to jest niewątpliwie i słuszne i prawdziwe.

Zobaczmy teraz, co autor, który tak jasną zdaje sobie sprawę z zadań publicystyki, mówi o Łodzi.

Naturalnie, nie będziemy tu streszczać wszystkich jego wywodów i wniosków gdyż zaprowadziłoby to nas zbyt daleko, a nie piszemy sprawozdania z książki ani jej krytyki — tylko sygnalizujemy pojawienie się ciekawej i godnej przeczytania pracy. Z tego względu wybierzemy tylko te rzeczy, które mogą najbardziej zainteresować czytelnika i zachęcić go do poznania całości.

A więc przede wszystkim niektóre uwagi o „społeczeństwie łódzkim“.

„Gdyby zapytać o właściwą narodowość ogół mieszkańców Łodzi — mówi p. Gorski — jest rzeczą pewną, że znaczny procent nie umiałby powiedzieć, do jakiego społeczeństwa ma się zaliczyć. W życiu potocznym sami nazywają się „Lodzermenschami“ i to najzupełniej

im wystarcza. W takich warunkach o dokładnej statystyce narodowościowej mowy być nie może.“

Mimo to — jak dowiadujemy się dalej — proces asymilacyjny posuwa się powoli naprzód.

Łódź jest dzisiaj w poważnej fazie przejściowej. Obok warstw „chwiejących się“ liczy ona całe zastępy bardzo odpornych na asymilację, a nawet przenikniętych ideą germanizacji — prusaków.

A teraz niespodzianka:

„Lekceważony — pisze p. Gorski — i mało dostrzegany przez prasę naszą objaw — to zatracenie (!) w Łodzi języka ojczystego przez rdzennych polaków. Być może, że są to zabytki dawnych, lepszych dla niemieczyzny czasów, faktem jest jednak, że ludzie, częściej mający styczność ze sferami robotniczymi, spotykają się nieraz z jednostkami o nazwisku i pochodzeniu polskim, z którymi dziś rozmówić się można — j e d y n i e p o n i e m i e c k u !

Prawdopodobnie są to skutki mieszanych małżeństw, w każdym razie — musimy sobie powiedzieć, że nie są to objawy pocieszające — już choćby z tego względu, że tego rodzaju jednostki mogą żyć w polskim mieście i, znając własne pochodzenie, nie zapragnąć nauczenia się mowy ojczystej.

Bogata w różnorodność kombinacji Łódź ma jednak nietylko zniemczonych polaków, ale i germanizujących się żydów. Jest to przeważnie kategoria ludzi, sprzeniewierzająca się tradycjom religijnym i narodowym żydów. Nazwisko niepolskie odstępca ich od asymilacji z nami, gdy potęga siły niemieckiej imponuje i przyciąga ich do siebie. Ludzie ci, przeważnie bez silniejszych zalet duchowych, mówią wyłącznie po niemiecku, czytają pisma germańskie i pozują na „wyższych“ od swych współwyznawców.

Żydzi wogóle odgrywają w Łodzi rolę potężną i stanowią $\frac{1}{3}$ część jej mieszkańców.

Idea syonistyczna zyskała tam jedną z najbardziej wpływowych placówek w państwie.

Polacy w handlu i przemyśle łódzkim zajmują stanowiska przeważnie podrzędniejsze. Przypuszczać należy, że w przyszłości stosunki te znacznie się zmienią. Bądź co bądź i obecna, choć zbyt skromna ilościowo kolonia polska, nabiera w mieście przemysłowem wiele żywotności i inicjatywy. Przygląda się i wdraża w bieg tych form życia, przez które zachód przeszedł oddawna. My dzisiaj zaczynamy dopiero wkraczać w poważną erę u p r z e m y s ł o w i a n i a się. Polacy nabierają w Łodzi zmysłu przedsiębiorczego, odradzają się ze szlacheckich sfer, wydostają się ze sfer przesądów i dziwnych niekiedy konwenansów życiowych. Od łodzian bije życie i ener-

gia, bije zapał do wywalczenia niezależnych stanowisk. Wyrabiają w sobie pracowitość i rzutkość. Słowem, Łódź stworzyła wielką, nową, szkołę życia, z której jednostki o trwałych podstawach i wyrobionym światopoglądzie wyjdą mężne i zwycięskie. Nowy zwrot wśród młodzieży rzucania się na drogę handlową i techniczną pozwala rokować, że na gruncie łódzkim m ł o d z i znajdują podatne pole do wyrobienia się i nabrania tej rutyny na nowej drodze, jakiej ogółowi społeczeństwa brak przez zbyt długie zasklepanie się w tradycyjnych przesądach. Nowa generacja przyniesie nadto do stosunków miejscowych wiele pierwiastku intelektualnego, którego niedostatek dziś silnie odczuwać się daje. Odbija się to niewątpliwie i na poziomie etycznym łodzian, o których p. Gorski tak mówi:

„Łódź rosła szybko, składała się z najróżnorodniejszych warstw i narodowości, nie stworzyła więc kultury ani przemysłowej, ani handlowej, ani towarzyskiej — jestto zbiorowisko ludzi, żyjących jedną myślą — interesu, zbiorowisko, nie przebijające w środkach przy nagromadzeniu bogactw.

W Łodzi wyrodziła się niezwykła pobłażliwość opinii publicznej — a można powiedzieć, że właściwa, zdrowa, racjonalna opinia społeczna w mieście tem nie istnieje. Sędzia kryminalny i policja strzegli moralności — opinia publiczna nie miała wpływu, bo jej faktycznie nie było.

Złapany w biały dzień na gorącym uczynku podpalacz własnej fabryki nie przewiązał sromotnie oczu, nie unikał przejrzystego wzroku sądu opinii, lecz szedł wśród ludzi i obcował z nimi, nie czując się splamionym na życie całe. Podpalenie fabryki, ubezpieczonej wysoko w kilku towarzystwach, uważał za równie dobrą transakcję, jak pomyślną sprzedaż domu, którego chce się pozbyć. Któż sprawdzi, ilu ludzi zrobiło wielkie majątki na pożarach, kto dojdzie, ile pożarów było istotnie „z niewiadomej przyczyny“? Kiedy złe czasy dla przemysłowców łódzkich nastąpiły — straża ogniowe były ciągle czynne, a na stronach mówiono: „oto komuś potrzeba pieniędzy...“

Kryminalistyka ma obszerne pole do zbierania materiałów dla przyszłej historii etyki i moralności w Łodzi. Z ust do ust przechodzą do potomności opowiadania o drogach szybkiego dorabiania się niektórych ludzi. Sądy wykrywały nieraz sprytne fałszowania ksiąg handlowych przez całe lata. Są firmy, które co kilka lat, świadomie ogłaszają upadłość itd. Niedarmo więc Łódź cieszy się „złą marką“ nawet na rynkach niemieckich, a na naszej ziemi, jak twierdzi p. Gorski, jest ona „stolicą oszustwa i nadużyć“. Naturalnie — nie trzeba tego zbyt uogólniać, w Łodzi są bowiem i firmy solidne i ludzie uczci-

wi, acz nie oni nadają ogólny ton melodyi życia fabryczno-handlowego.

A teraz odwróćmy kartę i przejdźmy do obrazów jaśniejszych.

Jedną z cnót łodzian — mówi p. Gorski w rozdziale o *F i l a n t r o p i i i t o w a r z y s t w a c h s p o ł e c z n y c h*, — jest wielka ich ofiarność na cele otarcia łez niedoli ogólnoludzkiej.

Praca filantropijna w Łodzi ogniskuje się w dwóch towarzystwach dobroczynności: chrześcijańskim i żydowskim. Wydatki tych dwóch instytucji w r. 1902 sięgały 196209 rb. Tow. Dobr. chrześcijańskie liczy członków 2093, opłacających rocznie 16485 rb. Towarzystwo ma wielką za sobą zasługę przez założenie szpitala dla umysłowo chorych w Kochanówce. Nadto towarzystwo utrzymuje Dom starców i kalek, przytułek położniczy, przytułek noclegowy, sześć herbaciarni i trzy ochronki dla dzieci.

Bardzo pomyślnie rozwijają się w Łodzi kolonje letnie, a i dalsze prace na polu filantropii obiecują piękne owoce. Oto są obecnie w projekcie: Dom zarobkowy, Tow. przeciwzembracze i żłobek dla sierot.

Również żywotne i ruchliwe jest młodsze znacznie Tow. dobr. żydowskie, cieszące się w mieście uznaniem i sympatją.

Pozatem niektórzy przemysłowcy utrzymują dla dzieci swych robotników własne ochronki, a przy jednym z zakładów fabrycznych istnieje nawet specjalny gmach dla inwalidów, byłych pracowników firmy.

Wszystko to świadczy o pewnem społecznem wyrobieniu mieszkańców Łodzi, aczkolwiek, sięgając głębiej w pobudki łożenia pieniędzy na cele filantropijne — można zdaniem autora, niekiedy odnaleźć przyczyny mniej wzniosłe i mniej idealne. Niejednokrotnie mianowicie ofiary wywoływane bywają potrzebą własnych interesów, lub odpowiednio składających się okoliczności. Nie można tego powiedzieć o wszystkich, ale nie wolno nie uchylić rąbka prawdy.

Pomijam tu najobficiej reprezentowane w książce uwagi o życiu ekonomicznem, obrotach handlowych i przemysłowych Łodzi, o jej *d o r o b k a c h* materialnych, są to bowiem rzeczy lepiej nam znane, niż ogólne strony charakteru jej mieszkańców, które zarysowują się mniej lub więcej wyraźnie w streszczeniu powyższem. Nie mogąc jednak dłużej zajmować uwagi czytelnika książką p. Gorskiego dla braku miejsca na to — radbym odesłać go bezpośrednio do źródła tj. do samej książki. Sądzę, że powinna się ona znaleźć w ręku każdego, kto interesuje się głębiej własnem społeczeństwem i dla kogo rozwój tego społeczeństwa nie jest obojętny. W Łodzi rozwój ten odbywa się w zupełnie innych ramach niż w Warszawie, ma on swój

specyaluy, odrębny, typowy charakter, który godzi się poznać bliżej, to miasto bowiem, stanowiące wielkie środowisko kulturalne, wywierają i wywierają będzie szeroki wpływ na całą okolicę i odgrywa poważną rolę w różnorodnym procesie przekształcania się naszego kraju rolniczego w przemysłowy. Tymczasem zaś — p. Gorski ma rację — my Łodzi nie znamy zupełnie...

*

*

*

Wydawnictwa naukowe Akademii umiejętności nie mają u nas zbytu. Publiczność wie o nich mało, lub zgoła nic nie wie, prasa codzienna i tygodniowa pomija je milczeniem, lub poprzestaje na suchych wzmiankach bibliograficznych, krytycy wolą pisać o powieściach i o poezjach, niż o jakimś zapomnianym, dawnym pisarzu XVI lub XVII wieku, a księgarze? o tych nawet nie mówmy. Chowają oni wydawnictwa Akademii po kątach, jeżeli idzie o firmy pierwszorzędne, a nie mają ich wcale na składzie, jeżeli mowa o drugorzędnych. Co im potem? Jeżeli raz na lat kilka zdarzy się ktoś, kto zażąda takiego wydawnictwa — no, to mu się sprowadzi i koniec. Ale po co balast niepotrzebny mieć na półkach?

Tak jest oddawna i Akademia, jako firma nakładowa, znikąd niema poparcia. Nie jest to objaw pocieszający. Nie dojrzelismy jeszcze widocznie do zrozumienia tego obowiązku, jaki spada na całe społeczeństwo wówczas, kiedy trzeba poprzeć usiłowania nauki. Umiemy tylko biadać nad tem, że nauka polska nie może się należycie rozwijać, że życie umysłowe bije u nas coraz słabszym tętnem, że jałowuje i upada. Naturalnie — bo nic a nic nie współdziałamy jego rozwojowi, najzupełniej będąc obojętni na losy nauki, bo nie podajemy jej ręki, nie gromadzimy dla niej środków materialnych, nie stwarzamy potrzebnych do pracy naukowej warsztatów. Myślimy obecnie o uprzemysłowieniu kraju — mówią na to ludzie z sumieniem.

Bardzo pięknie, ale jedno drugiemu nic a nic nie przeszkadza. Zresztą nauka potrzebna jest i do postępu techniki, bez niej, bez wielkich wynalazków przemysł byłby ciągle jeszcze w kolebce. Ona dopiero wyzwoliła go z powijaków i uczyniła potężną dźwignią dobrobytu narodów i państw. I Angliki, i Francuzi i Niemcy mają przecież przemysł, ale mają też i naukę, która dzięki środkom, zdobywanym przez pierwszy, kwitnie i rozwija się tam bardzo pomyślnie. Mo-

glibyśmy więc i my te dwie rzeczy traktować współrzędnie. Moglibyśmy—tylko nie chcemy, całą pracę i całą odpowiedzialność w tym kierunku zwalając na barki jednostek, które ofiarowały się na trudną i nieopłatną służbę pod sztandarami nauki. „Niech k a p ł a n i o tem myślą“ powiedzieliśmy sobie i nie odczuwamy żadnych z tego powodu wyrzutów. A tymczasem zapadamy w bagno. Przystajemy się interesować najważniejszymi zagadnieniami wiedzy, nic a nic nie wiemy o jej postępach, żyjemy coraz powierzchowniej, coraz płycej, oddając się pracy na chleb, na zdobycie majątku i na użycie tanich niewybrednych, a poziomych rozkoszy. Gmach P r a w d y i P i ę k n a stoi przed nami, ale—zamknięty na siedem pieczęci, których zerwanie wcale nas nie pociąga, bo straciliśmy wszelką ciekawość do tego, co mieści się wewnątrz.

Stan taki jest niewymownie smutny i grozi nam poważną klęską na przyszłość—klęską wykreślenia z listy ludów, pracujących na rzecz cywilizacyi. Musimy się z tego odrętwiania ocknąć, musimy przejrzeć.

Nawoływania do tego odzywają się już z rozmaitych stron, a oto świeżo właśnie, na ostatniem dorocznem posiedzeniu publicznem Akademii Umiejętności w Krakowie, sprawę tę poruszył hr. St. Tarnowski, wspominając o zawiązaniu „Towarzystwa popierania prac i wydawnictw Akademii.“

„Słowo“ tak streszcza to znamienne przemówienie:

„W ostatniej chwili Akademia otrzymała wiadomość—mówił hr. Tarnowski—że z prywatnej i bardzo poważnej inicjatywy wyszła myśl zawiązania „Towarzystwa popierania prac i wydawnictw Akademii“. Podobno nawet zgłosiła się już znaczniejsza liczba członków, których dotychczasowe wniesione składki mają wynosić 40,000 koron. Objaw to bardzo pocieszający. „Nigdy nie można dość pamiętać o tem, że Krakowska Akademia Umiejętności daleką jest pod względem uposażenia od podobnych instytucyi zagranicą i że wszelkie jej zadania wytwarzają wielkie potrzeby materyalne, które zaspokajać wedle sił, choćby z wysiłkiem, jest pierwszorzędnym polskim obowiązkiem społecznym.

„Nie można też zapominać, że istota badań naukowych ujmuje ten obowiązek w szczególne warunki. Ciągłe ewolucye, jakim podlega wiedza, zwracają jej prąd ku coraz nowym strefom i każą szukać coraz nowych zdobyczy. Niejedna gałąź zamiera chwilowo z biegiem lat na korzyść innych, ważniejszych w danym momencie, a świadectwo tej prawdzie daje niejedyn dar, złożony na specjalne badania w pewnym zakresie, dziś unieruchomiony, wraz z posunięciem się punktu ciężkości na inne dziedziny. Prawdziwą i najpewniejszą też ko-

rzyść wróży nauce ta przedewszystkiem ofiarność, te fundacye, legaty i zapisy, które nie są ściśnione i ograniczone zbyt szczegółowemi warunkami, lecz tworząc dość szerokie ramy, pozostawiają rozstrzygnięcie areopagowi wiedzy polskiej.

„Ofiarność jest obowiązkiem i wyrazem wdzięczności społecznej. Apelując w tym duchu do opinii właśnie dzisiaj, gdy polska nauka przyjmuje od ogółu hołd pracowitej zasługi—t. j. na posiedzeniu dorocznem—jesteśmy niezawodnie wyrazem uczuć wszystkich, których jednoczy wdzięczność za to, co dotychczas zdziałano i zapobiegliwa dla przyszłości piecza o polską wiedzę, sztukę i kulturę.“

Do słów powyższych komentarza pisać nie trzeba. Co najwyżej można tylko jeszcze raz powtórzyć pierwsze zdanie ostatniego ustępu: Ofiarność jest obowiązkiem i wyrazem wdzięczności społecznej.

*

*

*

Powracamy do sprawy, którą już na tem miejscu poruszaliśmy niejednokrotnie, a która wszakże, dzięki obojętności na nią ogółu, nie może się doczekać pomyślnego załatwienia. Sprawą tą jest opieka nad pamiątkami historycznymi, których kraj nasz nie posiada zbyt wiele, a które mimo to, ciągle stopniowo ulegają zniszczeniu. Tak np. dzieje się z dawnymi portretami po kościołach, gdzie niema żadnej opieki nad tem, co wymaga pieczy, staranności a nadewszystko poszanowania. Bo proszę tylko posłuchać:

„Ze znanych mi kościołów—pisze ks. Al. Wiszniewski w „Gazecie Warszawskiej“—w jednym znajdowały się dwa starożytne portrety fundatorów świątyni, ale pozwolono je zabrać jakiemuś amatorowi. W drugim—było ich kilkanaście, przeważnie osób historycznych. Przy restauracyi kościoła wyrzucano je na poddasze; następnie zaniedbano, a ponieważ były malowane po większej części na cynie, ktoś ze służby kościelnej sprzedał je potajemnie na funty.

Takiemu wandalizmowi możnaby w ten sposób zapobiedz, aby w spisie inwentarza, zwanym *fundi instructi*, portrety, będące w owym kościele, szczegółowo wymienić i tym sposobem nie dopuszczać do niszczenia zabytków przeszłości.

Zaznaczając dalej ze smutkiem, że archiwa i biblioteki kościelne, w których nieraz zawierają się rzeczy bardzo cenne, również są w zaniedbaniu, autor tak się skarży:

„To nieocenywanie i nieposzanowanie pamiątek przeszłości pochodzi stąd, że mamy wielu ludzi w społeczeństwie stracących dla myślenia, którzy życie, naukę, literaturę, sztukę, o ile to wszystko pojmują, uważają za środek do zaspokojenia codziennych potrzeb, którzy nie rozumieją, że po za tem są też pewne idee, którym służyć należy.“

W dalszym ciągu artykułu ks. Wiszniewski zwraca uwagę redakcyi naszych pism obrazkowych na liczny zbiór godnych reprodukcji i opisu portretów, znajdujących się w klasztorze OO. Kapucynów w Nowem mieście nad Pilicą. Między innymi są tam portrety: O. Marka, karmelity, biskupa Szymańskiego, O. Prokopa i t. d.

Czy takie „utrwalenie“ tych portretów wystarczy jednak? Czy za lat kilka lub kilkanaście nie ulegną one temu samemu losowi, co portrety z pomienionych wyżej dwóch kościołów?

Jest to bardzo prawdopodobne i dlatego, wracając do tej kwestyi, przypominamy jednocześnie o potrzebie założenia u nas towarzystwa, opiekującego się zabytkami sztuki kościelnej. Projekt takiego towarzystwa podał przed dwoma laty, o ile nas pamięć nie myli p. Borawski, znany artysta malarz, mieszkający w Petersburgu. Wówczas to w Tyg. ilustrowanym pojawił się artykuł, omawiający nawet szczegóły tego projektu, skończyło się jednak wszystko na słowach.

Tymczasem towarzystwo takie jest naprawdę rzeczą pilną i doniosłą. Inicytywa do jego założenia wyjść powinna z łona duchowieństwa, które najbardziej powołane jest do rozciągnięcia w tym kierunku opieki nad kościołami. Przypuszczam jednak, acz nie jestem tego pewien, że duchowieństwo, jako stan, nie może się we własnym gronie stowarzyszać. I w tym wypadku jednak ciąży na niem obowiązek zajęcia się tą sprawą, co zresztą zalecone jest przez *motu proprio* Ojca Świętego, który zwrócił był uwagę na zaniedbanie sztuki kościelnej i niszczenie jej zabytków, zalecając gorąco duchowieństwu katolickiemu całego świata pieczę nad pamiątkami i pomnikami kultury chrześcijańskiej. W tym celu uznał za potrzebne postawienie w seminaryach duchownych wykładów historii sztuki i jej zabytków na właściwym poziomie tak, aby księża, obejmujący w następstwie probostwa, wiedzieli, jak i na co patrzeć należy. Wobec tego w przyszłości stosunki zmieniają się niewątpliwie. Dziś wszakże jest jeszcze cały zastęp duchowieństwa prowincjonalnego, które, niestety,

zupełnie mimowoli i w najlepszych intencjach, dbając tylko o schludny wygląd domu Bożego—popelnia ciężkie grzechy przeciw sztuce i estetyce. Należałoby więc corychlej pouczyć ich, choćby w najpopularniejszy sposób, o tem, jak trzeba zachowywać się wobec starych obrazów, rzeźb, fresków i t. d. Dobrzeby zatem było, aby tak doskonały znawca sztuki kościelnej, jak ks. Brykczyński, zechciał wydać w tym celu odpowiednią broszurę, która powinna dojsć rąk każdego proboszcza, a nadto oświecić także i t. zw. „kollatorów“, jako również powołanych do opieki nad kościołami. W krótkich, zwięzłych słowach w broszurze takiej możnaby wyluszczyć ogólny pogląd na sztukę kościelną i podać szereg wskazówek, niezbędnych do oceny jej tworców, do określenia wartości, epoki, stylów i t. d., nadto zaś podkreślić obowiązek zwracania się w ważniejszych albo wątpliwych wypadkach do specjalistów.

*

*

*

W ostatnich latach pojawiło się u nas kilka wydawnictw, które rozwinęły sztandar „Wielkiej i prawej sztuki“.

Zenon Przesmycki (Miriam) stworzył „Chimerę“, p. Napoleon Hirszbard (Cezary Jellenta) przekształcił „Ateneum“, księgarnia Altenberga we Lwowie zaczęła wydawać „Sztukę polską“.

W roku bieżącym do tych wydawnictw przybyło jeszcze jedno, nowe, na którego czele stanęli pp. Antoni Potocki, jako redaktor i Władysław Granzow, jako kierownik artystyczny.

Wychodzi ono w Paryżu i nosi w nagłówku wiele mówiący tytuł „Sztuka“. Zobaczymy, jak to nowe pismo zadania swoje pojmuje.

Przystępując do wydawnictwa—mówią redaktorowie—pragniemy zająć dotychczas nie zajęte u nas stanowisko.

„Podobnie, jak sztuka polska w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu spotężniała, rozkrzewiła się bujnie i wszechstronnie i stała się samodzielną w życiu naszym potęgą—podobnie pragniemy, by pismo nasze podjęło samodzielne wśród całego piśmiennictwa polskiego zadanie.

Pragniemy niepodzielnie, wiernie i wytrwale służyć „Sztuce“ (a więc tak samo, jak „Chimera“). Pragniemy podać jak najgodniejsze jej odbicie, pragniemy towarzyszyć wszystkim jej wzlotom i wy-

siłkom, pragniemy rozważać w miarę sił jej wiekiustą treść w nieustającej nigdy przemianie kształtu—pragniemy, słowem, być dla wszystkich czytelnym komentarzem wielkiego dramatu twórczego duszy ludzkiej—Sztuki.

Zajmując w ten sposób nowe w piśmiennictwie naszym stanowisko, rozumiemy całą odpowiedzialność jego. Kościół chcemy budować nie kapliczkę. Pragniemy dać obraz sztuki samej w jej nieraz sprzecznych pozornie zdobyczach, nie zaś nasze na nią poglądy.

Przewodniczyć nam będzie nie moda lub wzgląd na schlebianie czyimkolwiek bądź gustom, lecz jedynie szacunek dla wielkiej i samoistnej pracy twórczej tych, którzy sztukę tworzą, chociażby byli samotni i zapoznani. Miara czci dla pracy jest najmniej zawodną i tę jedynie obieramy sobie w rozpoznawaniu wartości nieprzebranych dziś skarbów Sztuki.

Tak rozumiemy swój obowiązek, lecz również zdajemy sobie sprawę z wielkiego przywileju, którym Sztuka tych, co służyć jej pragną, po królewsku obdarza. Otwiera ona każdemu, kto ją ukochał, skarbiec swój, skarbiec nieprzemijającej wartości, gdzie trzeba tylko wejść, by stać się współdziedzicem.

My zaś za szczególniejszy swój przywilej wśród pism całego świata sztuce poświęconych, uważamy to, że przynosimy jej dary sztuki polskiej. Wśród tylu dorobków twórczych porachowanych i ocenionych—dorobek nowy, pełen sił żywotnych, pełen dobrej wróżby na przyszłość, a z dniem każdym potężniejszy, wszechstronniejszy, a bardziej samoistny.

Nam przypadnie w udziale ten polski plon twórczy porachować i zestawić z dorobkiem sztuki współczesnej na Zachodzie.

Pozbieramy polskie kłosa w złoty snop pod zasiewy przyszłości.

I to jest najdroższy nasz przywilej, zupełna racya bytu i cel. Ani słowa—powiedziane to jest pięknie—i daj Boże redakcyi wytrwać w przedsięwzięciu i spełnić zapowiedziane zadanie.

Dalej czytamy jeszcze w sprawie środków i dróg, któremi Sztuka dążyć będzie do osiągnięcia swych celów, następujące wyjaśnienie:

Pismo nasze dla względów natury wydawniczej wychodzić będzie przez rok bieżący w Paryżu. Pozwoli to nam wypełnić pierwszy, a zasadniczy punkt programu, a mianowicie postawić w piśmie sztukę reprodukcyjną na poziomie, osiągniętym dziś na zachodzie. Liczne grono polskich artystów będzie pracowało nad tem.

Ale—program pisma nie ogranicza się bynajmniej sztuką plastyczną: Pragniemy również—mówią redaktorowie—dać wyraz krytycznej lub twórczej pracy u nas w zakresie poezji lub muzyki. Będziemy chcieli utrzymać w piśmie ten sam związek zażyły między wszystkimi dziedzinami twórczości, który istnieje w życiu. Związek to nieformalny, lecz tem istotniejszy. Podobnie w piśmie naszym nie obiecujemy niezmiennych rubryk ze wszystkich naraz dziedzin Sztuki, lecz pamiętać będziemy o każdej i w każdej podawać to, co najżywotniej, najsilniej wyrazi się w danej chwili. Zadaniem naszym będzie również gromadzenie prac z zakresu historii sztuki swojej i obcej, z dziedziny estetyki i krytyki estetycznej. Będziemy pragnęli roztrząsać i rozważyć wszelkie zagadnienie, z twórczością związane. Podamy wreszcie sprawozdania z życia estetycznego u nas i zagranicą, z wystaw, konkursów, wydawnictw artystycznych i t. p. Podejmiemy w miarę potrzeby i sił specjalne wydawnictwo artystyczne, oraz zorganizujemy szereg konkursów artystycznych i literackich.

Widzimy z tego, że obietnice redakcyi są wielostronne i że częściowe choćby ich spełnienie—może już w naszym ruchu artystycznym odegrać rolę poważną. Widzimy też, że program „Sztuki“, w stosunku do programu „Chimery“ i „Ateneum“, z którymi przychodzi ona niejako współzawodniczyć, jest znacznie szerszy i więcej pogłębiony, nadto zaś „Sztuka“ wiąże się ściślej niż tamte dwa pisma z ogólnym ruchem na polu naszych wysiłków i dążeń kulturalnych. Z tego też względu może ona liczyć na powodzenie, naturalnie, jeżeli dotrzyma swych zobowiązań i nie zniechęci się napotkaniami przeszkodami, o które u nas na tej drodze tak łatwo.

*

*

*

Rozwój Warszawy, jako wielkiego miasta, zatrzymały dwie niezdecydowane i wlokące się latami sprawy: sprawa budowy trzeciego mostu i sprawa dworca centralnego. I oto pierwsza z nich nareszcie doczekała się pomyślnego załatwienia.

W chwili, kiedy piszemy te słowa, nadeszła z Petersburga wiadomość, że władze rządowe zatwierdziły ostatecznie projekt budowy

trzeciego mostu przez Wisłę, według oferty Towarzystwa francuzkiego „Batignolles“.

Był wprawdzie na widoku drugi projekt, wykonany przez inż. Marszewskiego i mający przez długi czas szanse zwycięstwa, ale w ostatniej chwili przechylono się na stronę francuzką.

Dla czego? W to nie wchodzimy. Oczywiście musiały być jakieś powody ku temu, które zapewne w czasie właściwym zostaną bliżej magistratowi wyjaśnione. Na razie ważniejszą ponadto rzeczą jest pewność, że most w najbliższej przyszłości powstanie.

Staje się to w chwili jaknajbardziej do tego odpowiedniej. Przesilenie ekonomiczne, wywołane przez wypadki wojenne, przesilenie, o którego pierwszych objawach w Warszawie i Łodzi pisaliśmy już w kronice poprzedniej, przybiera charakter coraz groźniejszy. Liczba fabryk, ograniczających produkcję wzrasta, ilość robotników, pozbawionych chleba zwiększa się z dniem każdym. Nędza rośnie przerażająco szybko i dziś ludzi potrzebujących jakiegokolwiek pracy liczyć już można na tysiące. O pracę tymczasem trudno. Niema jej. I oto przed wyobraźnią każdego zarysowują się tłumy głodne i wynędzniałe, pogrążone w niedoli, na którą nie pomoże żadna filantropia. Jałmużna społeczna, rzucana nawet nojobficiej, najszczodrzej przez klasy zamożniejsze, nie podoła tym potrzebom, które się wyłaniają. Może ona otrzeć trochę łez, chwilowo podeprzeć upadających, ale nie powstrzyma ich od upadku, od stoczenia się w otchłań, rozwartą pod nimi. Uczynić to może tylko choćby mierny, ale trwały zarobek, praca, dająca równowagę duszy i przynosząca w wyniku swoim zaspokojenie potrzeb ciała. O tę pracę też należy się starać i wyczerzać wszystkie siły w kierunku stworzenia jej dla potrzebujących.

I dla tego budowa trzeciego mostu, jako przedsięwzięcie, które będzie wymagało licznych rąk roboczych, jest bardzo pożądana.

Cała Warszawa powitała ją z radością, spodziewa się bowiem, że, uwzględniając ciężkie położenie ubogiej ludności miasta, magistrat w umowie swojej z Towarzystwem francuzkiem położy nacisk na to, aby roboty przygotowawcze rozpoczęte były natychmiast i jeszcze w ciągu letnich miesięcy roku bieżącego zatrudniły jaknajwiększą ilość ludzi. Czy się nie łudzimy?

Miejmy nadzieję, że władze miejskie zdają sobie dokładnie sprawę z tego wyjątkowego położenia i rozumieją obowiązek, który na nich ciąży.

Obok tego powinny one rozwinąć również usilne starania o to, aby roboty żelazne, których tyle będzie wymagała budowa mostu, wykonane były w kraju.

Dzienniki doniosły już, że najważniejsze z tych robót powierzono będą fabrykom francuskim, a materiały już gotowe nadchodzić

mają do Warszawy drogą wodną — z Francji morzem do Gdańska, a z Gdańska Wisłą. Jeżeli to jest prawda, to, aczkolwiek ze względów ekonomicznych ta kalkulacja dla przedsiębiorców budowy może być korzystną, jednak n a m wyrządza ona straszną krzywdę. A ponieważ umowy nie są jeszcze zawarte, zamówienia niepoczynione, więc magistrat ma jeszcze sposobność do postawienia swych żądań w tym kierunku.

Jednocześnie byłoby rzeczą pożądaną, aby bez zwłoki przystąpić do robót regulacyjnych na Saskiej Kępie i na Powiślu. Trzeci most stanowi chwilę przełomową w dziejach rozwoju jednej i drugiego. Na Kępie trzeba będzie przeciąć ulice, zabrukować je, przygotować pod przyszłą dzielnicę nowej Warszawy, która niewątpliwie przetrze się tam z całą siłą z nastaniem pomyślniejszych koniunktur przemysłowych i handlowych. Miasto, przewidując to, powinno wbrew swojej metodzie dotychczasowej, która polegała na zaprowadzaniu bruków, trotuarów, wodociągów i oświetlenia *ex post*, t. j. dopiero wówczas, gdy dana ulica zabudowała się już całkowicie — obrać obecnie metodę amerykańską, t. j. zawczasu poczynić te ulepszenia. Zapewniłoby to pracę tysiącom ludzi i dopomogłoby skutecznie ubogim warstwom do przetrwania ciężkiego roku, a nadto przyczyniłoby się znakomicie do szybkiego rozwoju miasta, co już leży bezpośrednio w interesie magistratu.

Bacznego rozejrzenia się w tem wszystkim i skrupulatnego określenia tego, co jest możliwe do wykonania, a co nie jest — wymaga chwila obecna. Sądzimy też, że dołożone będą wszelkie starania do tego, aby w miarę środków rozporządzalnych, przystąpić do jaknajwiększej ilości robót — przy moście, na Kępie i na Powiślu.

*

*

*

Dnia 10 czerwca r. b. zmarł w majątku swoim na Litwie ś. p. Stanisław hr. Puttkamer, ziemianin, znany w szerokich kołach z umysłu światłego i obywatelskich dążeń.

Zmarły był synem ś. p. Wawrzyńca Puttkamera i Maryli z Weszczaków, której postać należy do poezji polskiej i wiąże się tak ściśle z geniuszem Mickiewicza.

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

Posiedzenie Komisji do badania historii sztuki w Polsce, odbyło się dn. 28 kwietnia b. r. pod przewodnictwem prof. M. Sokołowskiego.

P. Tomkiewicz przedłożył naprzód komunikat o „Resztach pałaców i pomnika Lubomirskich w Dąbrowie“. Referent, podniósłszy monumentalność i wspaniałość licznych rezydencji Lubomirskich, zwrócił uwagę na jeden z mało znanych pałaców tego rodzaju, na pałac w Dąbrowie. Sądząc z resztek i wiadomości, jakie referent o budowie tej zebrał, była ona jednak dawniej bardzo okazałą. Powiatowe dziś miasteczko Dąbrowa należało w początku XVII wieku do Ligenzów. Przez małżeństwo Jerzego Lubomirskiego, marszałka W. Koron. z Ligenzianką, Dąbrowa przeszła w dom Lubomirskich. W roku 1697, Michał Kazimierz Lubomirski powiększył i przebudował dawny budynek, zamieniając go na pańską rezydencję. W roku 1780, Dąbrowa, wystawiona na licytację, przeszła w ręce Stojowskich. Pałac stał jeszcze wówczas w całości. Zniszczonym został w czasie rzezi roku 1846, a pożar z roku 1847 dokonał reszty. Dzisiaj jedynym śladem dawnej, wspaniałej budowy jest barokowa brama wjazdowa, dekorowana panoplijami i herbem Szreniawa.

Sekretarz odczytał następnie sprawozdanie z posiedzenia lwowskiego Komisji, odbytego w dniu 26 lutego bieżącego roku. Prof. dr Ludwik Finkel okazał cztery berła Uniwersytetu lwowskiego, znalezione przed niedawnym czasem w lokalu sekretaryatu uniwersyteckiego. Z aktów archiwum uniwersyteckiego okazuje się, że wyszły one z pracowni pasamonika lwowskiego, Stolza w roku 1817, zamówione za 85 fl., wedle rysunku mechanika uniwersyteckiego, Jürgensa, na uroczystość ponownego otwarcia uniwersytetu; dawniejsze bowiem berła srebrne, które uniwersytet lwowski otrzymał od pierwszego swego rektora, X. Betańskiego, zostały przez rząd w roku 1809 zabrane i stopione w mennicy państwowej.

Dr Aleksander Czółowski, w komunikacie pod tytułem: „O zamku w Laszkach, murowanych pod Chyrowem“, część druga, opisał znajdującą się tam dawniej galerję obrazów, według inwentarza, z własnego zbioru rękopi-

sów. Główną ozdobą dawnego, wspaniałego zamku Mniszechów w Laszkach murowanych, była wielka liczba obrazów. Wymienia je pojedynczo inwentarz zamku, spisany w roku 1748. Obrazów tych było razem 604 sztuki; przeważały w nich sceny treści religijnej, następnie portrety, których było 260, dalej szły obrazy treści mitologicznej, historycznej i „martwe natury“. Część powyższej galeryi przeniesiono około roku 1775 do Wiśniowca, reszta pozostała w zamku laszeckim i dzieliła smutne jego losy za dziedzictwa Zerbonich, którzy, rozbierając zamek do fundamentów, na wsze strony sprzedawali pozostałe w nim pamiątki.

Trzecim referatem, przełożonym na posiedzeniu grona lwowskiego z 26 lutego bieżącego roku był komunikat prof. Jana Bołoz Antoniewicza o obrazie, znajdującym się w posiadaniu Arcybiskupstwa ormiańskiego we Lwowie, a przedstawiającym Św. Rodzinę z osobami fundatorów, Ormian, z roku 1612. Obraz malowany olejno na drzewie, jest kopią Św. Rodziny Andrea del Sarto z galeryi Barberini w Rzymie, miernego pędzla. Najciekawszą ze wszystkiego jest dolna część obrazu — fundatorowie. Klęczą tu w jednym rzędzie trzy modlące się osoby, dwóch mężczyzn i kobieta, ubrani w mieszczańskie stroje XVII wieku. Po typach poznaje się odrazu Ormian. Pewnem jest, że te postacie, zupełnie portretowo traktowane, domalowano już później, równocześnie z odmalowaniem obrazu, dokonaniem w roku 1612, którą to datę podaje napis, w prawym, dolnym rogu umieszczony.

P. Zygmunt Hendel referował z kolei „O zamku w Rzemieniu“. Zamek, ze wszystkich stron oblany wodą, leżał na płaszczyźnie, otoczony wałami i fosami. Dzielił się na dwie części: gospodarską i obronną, połączone z lądem mostami. Wieża, to jest część obronna, stanowiąca właściwy zamek, składała się w piwnicach, na parterze i na pierwszym piętrze z trzech, na drugim piętrze z dwóch ubikacji. Stare wejście, którego górna część pochodzi z roku 1625, zachowało się do dziś dnia. W piwnicy przez cały mur środkowy przechodzi przesklepiony kanał, o zagadkowym znaczeniu. W piwnicy również znalazł referent pierwotne żelazne drzwi zamku z herbami: Leliwa, Dębno, Pomian i z jakimś nieznanym bliżej herbem. Referent illustrował swój wykład zdjęciami fotograficznymi, oraz rysunkami, wśród których zwracał uwagę plan rekonstrukcyi zamku.

Przewodniczący odczytał następnie komunikat p. Klemensa Bąkowskiego „O autorze hełmu wieży Maryackiej w Krakowie“. Dr Bąkowski postawił mianowicie hipotezę, że za autora hełmu wspomnianej wieży uważać należy niemal na pewno Wita Stwosza, nie podobna bowiem przypuścić, aby rajcy miejscy, za których staraniem wzniesiono w roku 1478 ołowiem pokryty dzisiejszy szczyt wieży, jak o tem świadczy współczesny dokument, znaleziony w gałce wieży przy sposobności jej restauracyi w roku 1843, nie mieli zasięgnąć pod tym względem rad Stwosza, pracującego od roku 1477 do 1489 nad wielkim ołtarzem kościoła Maryackiego.

Prof. P i e k o s i ń s k i przełożył wreszcie odpisy trzech kwitów z archiwum p. Stanisława Rusieckiego w Warszawie, wystawionych przez dwóch rzeźbiarzy włoskich, oraz kilku puszkarzy, w Polsce w XVI wieku pracujących. Z pierwszego dowiadujemy się, iż Jan Marya Padovano jeszcze w roku 1572 był czynnym w Krakowie, drugi, z r. 1595, stwierdza, że autorem „kaplicy i grobu“ Stefana Batorego w katedrze wawelskiej był Santi Guccio, co zresztą jest wiadome, trzeci wreszcie, z roku 1561, mówi o czterech puszkarzach z Kamieńca Podolskiego.

— Posiedzenie Wydziału Historyczno-Filozoficznego odbyło się w poniedziałek dnia 20 czerwca bieżącego roku o godzinie 6-ej wieczorem. Sekretarz Wydziału przedstawił referaty: 1) D-ra Stanisława Zakrzewskiego; 2) D-ra Franciszka Bujaka: Nazwy miejscowe, jako podstawa historii osiedlenia w Polsce. Potem odbyło się posiedzenie administracyjne, na którym prof. Czermak przedstawił plan wydawnictwa aktów do historii Unii Polski z Litwą.

— Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza niniejszem konkurs im. Czerwińskiego na napisanie „*Historji sztuki w Polsce*“. Warunki konkursu są następujące:

1. Historia sztuki w Polsce ma uwzględnić wszystkie ziemie dawnej Polski, łącznie z Litwą i Rusią;

2) powinna objąć czas od przyjęcia chrześcijaństwa przez Polskę, aż pod koniec stylu *empire*;

3) ma być syntezą dotychczasowych badań na tem polu; samodzielnych rezultatów się nie wymaga, są jednak pożądane;

4) układ i rozmiary dzieła pozostawia się autorowi;

5) fotografij ani rysunków autor nie jest obowiązany dołączyć do rękopisu;

6) do konkursu dopuszczone mogą być prace zbiorowe, ewentualnie przez kilku autorów wykonane, jednakże jednolitej redakcyi;

7) termin konkursu upływa z dniem 31 grudnia 1906 roku.

Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Umiejętności bezimiennie, pod godłem obranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, a opatrzonej tem samym godłem. Według § 18 Regulaminu Akademii, wypłata wszelkich nagród konkursowych następuje dopiero po ogłoszeniu drukiem pracy nagrodzonej. Nagroda konkursu imienia Czerwińskiego wynosi rubli tysiące (1,000).

NOWE KSIĄŻKI:

— Piśmiennictwo historyczne wzbogaciło się materiałem źródłowym pierwszorzędnej wartości. Nakładem hr. Maurycego Ordynata Zamoyskiego wyszedł z druku tom pierwszy „*Archiwum Jana Zamoyskiego*“ (1553 — 1579). Na wydawnictwo to czekaliśmy z upragnieniem oddawna; jest ono owocem obrad III-go zjazdu historyków polskich (r. 1900), na którym

dr W. Sobieski wystąpił z wnioskiem wydania korespondencji wielkiego kanclerza i hetmana koronnego. Wniosek ten, poparty energicznie przez prof. Tadeusza Korzona, stał się dziś rzeczywistością dzięki hr. Ordynatowi Zamoyskiemu, który postanowił własnym funduszem pokryć wszystkie, nie-małe koszty wydawnictwa. Dr Sobieski przystąpił z wielką energią do przygotowania olbrzymiego materiału. Przygotował on siedm tysięcy listów do druku, z których zaledwie $\frac{1}{10}$ była dotychczas znana. Wydawca odbył w latach 1901 — 1902 liczne podróże archiwalne i zebrał w kraju i za granicą 1,500 listów, nie objętych zbiorami Ordynacyi Zamoyskiej. W tomie pierwszym zamieścił 430 listów, co dowodzi, na jak wielkie rozmiary zakreślone jest całe wydawnictwo. Zanim pióro kompetentne zda czytelnikom *Biblioteki Warszawskiej* sprawę z naukowej wartości tej pomnikowej publikacyi, zaznaczamy tu pokrótce, że na czele tomu znajdujemy uwagi o życiorysie i portrecie Jana Zamoyskiego, następnie nieznaną a bardzo cenną biografję współczesną Hetmana: „Elogium Joannis Zamoseii“, następnie Spis chronologiczny listów i aktów, objętych tomem pierwszym, spis alfabetyczny osób, które utrzymywały korespondencyę z Zamoyskim, wreszcie na końcu sporego tomu „Spis osób i miejscowości“. Pod względem druku i papieru tom ten przynosi zaszczyt tłoczni warszawskiej P. Laskauera. Wspaniała heliografura portretu Zamoyskiego, odszukanego we Florencyi przez prof. T. Korzona, wykonana u Łopińskiego, upiększa wydawnictwo, które niewątpliwie stanie się ozdobą każdej naszej poważnej biblioteki, tak publicznej, jak prywatnej.

— „Życie płciowe ze stanowiska dziejów rozwoju“. Odczyt prof. Heima, wygłoszony dla młodzieży męskiej. Spolszczył H. R.—Łódź. Tow. Nakł. *Postęp*. MCMIV (Rychliński i Wegner).

Spolszczeniem broszurki prof. Heima dobrze zasłużył się ogółowi naszemu p. H. R. Wobec szerzącej się coraz bardziej i w Warszawie, i na prowincyi rozpusty i idącej w ślad za nią degeneracyi fizycznej i moralnej, głos poważny i naukowy prof. Heima (z Zurychu) powinien wywrzeć wpływ zbawienny. Wśród szwajcarskiej młodzieży uniwersyteckiej utworzyło się stowarzyszenie dla walki z rozpustą. Towarzystwo to pod n. „Ethos“ wydało i rozszerza odczyt prof. Heima. Oto mały ustęp z wykładu prof. Heima, mogący dać pojęcie o celu i doniosłości sprawy: „Kłamstwem jest to, że za naszych czasów niema ludzi, wstępujących w związki małżeńskie czystymi. Takich młodzieńców jest o wiele więcej, niż to zwykle przypuszczają, lecz wielu nie ma odwagi przyznać się do swojej czystości, ukrywając swą enotliwość. Pozwólcie waszemu sumieniu, a nie pierwszemu lepszemu rozpustnikowi, być waszym sędzią; nie wstyďte się czystości. Dajcie energiczną odprawę tym, którzy narażają na śmieszność młodych ludzi, zachowujących do ślubu czystość duszy i ciała. Zjednoczcie się silniej, ażeby enota stawała się potęgą wzrastającą.

„Zdanie, że wstrzemięźliwość płciowa jest szkodliwa, jest niczem innym, jak bajką, wymyśloną przez tych, którzy wyuzdanie swe chcą podnieść do stopnia enoty“ (str. 21).

Ponieważ odczyt ten wygłosił nie kaznodzieja-moralista, ale profesor Wydziału przyrodniczego w Zurychu, więc może wykład jego trafi do przekonania nawet tych, którzy na argumenty moralne nie „naukowe“, byli dotychczas głusi.

— Z wydawnictwa M. Areta: „*Książki dla wszystkich*“, ukazały się następujące tomiki:

a) Krótki rys Fizyki. III. Nauka o ciepłe. Napisał Stan. Bouffal (15 kop.). IV. Nauka o świetle (15 kop.).

b) K. Martini: Wulkany. Dr Meunier: Trzęsienie ziemi (15 kop.).

c) Cyd: Poemat średniowieczny hiszpański, opracował prozą Kazimierz Król (25 kop.).

d) M. Offmannski: Przyczynek do życiorysu Ad. Asnyka (15 kp.).

e) Osterloff: Zarys historyczny literatury niemieckiej. Część czwarta. Szkoła romantyczna. Młode Niemcy (20 kop.).

f) M. Bornstein: Zwyródnienie w świetle nauki współczesnej.

g) J. Dohm: Z dziejów ruchu kobiecego. Streściła M. Głotzówna (25 kop.).

BIBLIOGRAFIA.

NAUKI ŚCISŁE. — PRZYRODA.

Prace Matematyczno-Fizyczne przez S. Dicksteina, Wł. Gosiewskiego, Wł. Natansona, A. Witkowskiego i K. Żórawskiego. Tom XV. Warszawa, 1904, str. 205.

W. Bölsche: Pochodzenie człowieka. Z wieloma rysunkami p. Willy Planck. Z dziesiątego wydania przetłómaczyła Iza *Moszczeńska*. Warszawa. „Biblioteka samokształcenia“. Nowy Świat № 37. Lwów. Księgarnia Narodowa. Akademicka № 8. — 1904, str. 98.

Dr K. Doll: O chorobach zakaźnych. O pielęgnowaniu w domu chorych zakaźnych ze szczególnem uwzględnieniem chorób zaraźliwych wieku dziecięcego. Przełożył dr Z. Szymanowski. Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka. Marszałkowska № 143. — 1804, str. 68.

Wacław Mutermilch: O materyi promieniotwórczej. Warszawa, 1904. Nakładem „Przyrody“, str. II + 106.

H I S T O R Y A.

Henryk Dumolard: Japonia pod względem politycznym, ekonomicznym i społecznym. Tłómaczenie M. Sarneckiej. Lwów, 1904. Polskie Towarzystwo Nakład. Okładka według rysunku Eugeniusza Dąbrowy Dąbrowskiego.

Władysław Smoleński: W sprawie konfederacji targowickiej. Polemika z p. Tadeuszem Korzonem. Kraków. Nakładem autora. 1904, str. 20.

Michał Tysszkiewicz: Idea demokratyczna i jej krytycy w Rzeczypospolitej. Uwagi i notatki. Kraków. Nakładem autora. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Spółki. 1904, str. 180. Karton. Cena rb. 4.

Archiwum Jana Zamoyskiego, Kancelarza i Hetmana Wielkiego Koronnego. Tom pierwszy. 1553 — 1579. Nakładem hr. Maurycego ordynata Zamoyskiego, pod kierunkiem Komisji historycznej Akademii Umiejętności w Krakowie, wydał dr Wacław Sobieski. Warszawa. Druk Piotra Laskauera i Spółki. 1904, str. LIII + 530 + 1 nrb. Z portretem (heliograw.) Jana Zamoyskiego, facsimilia tablic pamiątkowych etc.

HISTORYA LITERATURY.

Adolf Černý: Vzpomínky Eduarda Jelínka. Z jeho literární pozůstatosti vydal... Nakladatelské Družstvo Maje v Praze, 1904, str. 166.

D. Merezkowskí: Leon Tołstoj i Dostojewski jako ludzie. Lwów, MCMIV. Polskie Towarzystwo Nakład. Str. 247.

SPRAWY SPOŁECZNE.

Studia Władysława Andrychiewicza, poprzedzone wspomnieniem o nim, skreślone przez Adolfa *Suligowskiego*. Warszawa. Nakładem i drukiem M. Areta. 1903, str. VIII + 380 + VII. Z portretem Andrychiewicza i fac-simile podpisu jego.

Maksymilian Blüht. Zwyczaje giełdy berlińskiej. Łódź. Rychliński i Wegner, str. 24.

Stefan Gorski: Łódź społeczna. Obrazki i szkice publicystyczne. Łódź, 1904. Nakładem Rychlińskiego i Wegnera. Lwów, Księgarnia Narodowa, str. 177 + IV.

Prof. Heim: Życie płciowe. Słowo wstępne L. N. Tołstoja. Łódź, MCMIV. Towarzystwo nakład. „Postęp“. Skład główny w księgarni Rychlińskiego i Wegnera, str. 52.

H. Jastrzębiec: Groźne położenie. Warszawa. Skład główny w księgarni S. Sadowskiego. Marszałkowska № 115. — 1904, str. VII + 144. Cena 60 kop.

Księga adresowa przemysłu fabrycznego w Królestwie Polskim na rok 1904... opracował i wydał Leon Jeziorański. Warszawa. Adres Redakcyi i Administracyi: Sadowa № 12. Cena egzemplarza rubli trzy. Wydawnictwa rok pierwszy. Staraniem Stowarzyszenia Techników w Warszawie, str. 390 + Ogłoszenia.

Sprawozdanie dwudzieste drugie z działalności Kasy Pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym imienia d-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa. 1904, str. 158 + Lista Członków Kasy... po dzień 31 grudnia 1903 roku, str. 42.

Adolf Suligowski: Warszawa i jej przedsiębiorstwa miejskie. Warszawa. Skład główny w księgarni Michała Areta. Str. 100. Ceuca 80 kop.

POEZJA. — DRAMAT. — POWIEŚĆ.

Hugo Bertsch: Rodzeństwo. Z przedmową Adolfa Wilbrandta. Z wydania piątego na język polski przełożyła M. M. Lwów, 1904. Polskie Towarzystwo Nakładowe, str. 226. Okładka według rysunku A. Procajłowicza.

Zdzisław Dębicki: Święto kwiatów. Poezye. Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa. Księgarnia S. Sadowskiego, 1904, str. 151.

Mieczysław Hertz: Ananke. Baśń dramatyczna w sześciu obrazach, zaszczytnie odznaczona na konkursie łódzkim imienia Henryka Sienkiewicza. Warszawa, 1904. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, str. 76 + 2 nlb.

Jerzy Leneveu: H. Ibsen. Tłómaczyła A. Kordzikowska, z przedmową Władysława Jabłonowskiego. Warszawa, 1904 („Biblioteka dzieł wyborowych“, № 331), str. 135.

Włodzimierz Lewicki: O inne życie. Kraków. Nakładem autora (b. r.), str. 91 + 2 nlb.

Adolf Neuwert - Nowaczyński: Siedm dramatów. Wydanie drugie. Lwów. Księgarnia polska. Warszawa. E. Wende i Spółka, str. 308.

Stanisław Przybyszewski: De profundis. F. Fontane & Comp. Berlin. 1904 *Polnische Ausgabe*, str. 92.

Wacław Siemens: Wspomnienia z mego życia. Autobiografia, spolszczona przez M. S., z przedmową prof. G. Tołwińskiego. Warszawa, 1904. („Biblioteka dzieł wyborowych“, № 334, str. 160.

X. Y. i Y. Z. Pamiętnik ex-dziedzica z dopiskami ex-pachciarza. Szkice podwójną kredką w oświetleniu Jankla Maślanki. Warszawa. 1904 („Biblioteka dzieł wyborowych“, № 332). Część pierwsza, str. 150. Część druga, str. 136.

Henryk Zbierzchowski: Na złotej przełęczy. Powieść. Lwów, Księgarnia Polska. Warszawa. E. Wende i Spółka, str. 240.

Wacław Żmudzki: Z pamiętnika psychopaty. Lwów. Księgarnia polska. Warszawa, E. Wende i Spółka.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA

ADAM hr. KRASIŃSKI.